NR 37 (1910) 16 WRZEŚNIA 2025

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ

REPARATIONS FOR POLAND



Wojciech Korkuć KOREKSTUDIO

ISSN 0208-8045
9 770208 040450
37 INDEKS 379433
CENA 9,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

- KROWY ZA SAMOCHODY
- DZIWNI IDOLE MŁODEJ PRAWICY

TYSOL.PL

RAPORT

DRAPIEŻNY ZIELONY (NIE)ŁAD

już dostępny



TERAZ TAKŻE W JĘZYKU ANGIELSKIM!

Pierwsza tak kompleksowa analiza wpływu
polityki klimatycznej Unii Europejskiej
na polską gospodarkę
przygotowana na zlecenie NSZZ „Solidarność”
przez grono niezależnych i uznanych ekspertów.

Kup na

WWW.SOLIDARNOSC.SKLEP.PL

eprasa.pl d4691ad3e6



Michał Ossowski
REDAKTOR NACZELNY

Ponad 6 bilionów złotych – na tyle oszacował straty wojenne specjalny zespół powołany w Polsce w 2017 roku. Suma obejmuje nie tylko zniszczenia materialne, ale też utracony potencjał gospodarczy, skutki demograficzne i straty w dziedzictwie kulturowym.

Debata o reparacjach, które Niemcy powinny wypłacić Polsce za zbrodnie II wojny światowej, wraca cyklicznie, budząc emocje i dzieląc opinię publiczną. To nie tylko kwestia materialna, ale przede wszystkim moralna i historyczna. Polska poniosła podczas wojny straty ludzkie i materialne na niespotykaną skalę – miliony ofiar, zniszczone miasta, zagrabione dobra kultury. Wojna wpłynęła na obniżenie potencjału naszego kraju, którego skutki odczuwamy do dziś. Te krzywdy nigdy nie zostały w pełni naprawione. Dla wszystkich jest też jasne, że argument niemieckiej dyplomacji, że Polska zrzekła się reparacji w 1953 roku, jest absurdalny.

Z przecieków dyplomatycznych, o których pisze w „TS” Krzysztof Karnkowski, wynika jednak, że Niemcy – mimo oficjalnych deklaracji – wcale nie zamknęły drzwi przed rozmowami. W 2023 roku Berlin był gotowy podjąć negocjacje dotyczące wypłat dla Polski. Warunkiem była kontynuacja rządów PiS i jego twardej linii wobec Niemiec – pisze nasz publicysta.

Po zmianie władzy w Polsce trudno było się spodziewać, że Donald Tusk utrzyma kurs obrany przez poprzedni rząd, a przede wszystkim Arkadiusza Mularczyka. Platforma Obywatelska traktowała sprawę z lekceważeniem, a nawet kpiną. Ostatecznie polityczna zmiana w Warszawie i „antydyplomacja” nowych władz doprowadziły do wygaszenia tematu.

Sprawa reparacji jest testem naszej politycznej odwagi. Czy potrafimy mówić jednym głosem w obronie interesów narodowych?

Tymczasem chodzi o sprawiedliwość dziejową i realne pieniądze, które mogłyby wspierać rozwój Polski oraz być symbolicznym zadośćuczynieniem za cierpienia narodu. A przecież sprawiedliwości domagają się nie tylko politycy, ale przede wszystkim zwykli Polacy. Stąd takie inicjatywy jak prowadzona od kilku lat akcja #ReparationsForPoland – oddolna kampania informacyjna mająca na celu uświadomienie międzynarodowej opinii publicznej skali zbrodni dokonanych przez Niemców w okresie II wojny światowej oraz unaocznienie wymiaru strat, które poniosło polskie państwo.

Niemcy doskonale wiedzą, że temat żyje – w Bundestagu powstają analizy dotyczące prawnych aspektów reparacji i roszczeń indywidualnych. To, czy Polska będzie w stanie ponownie wprowadzić sprawę do międzynarodowej agendy, zależy od konsekwencji i determinacji rządu.

Sprawa reparacji jest więc testem naszej politycznej odwagi. Czy potrafimy mówić jednym głosem w obronie interesów narodowych? Czy będziemy umieli wykorzystać argumenty moralne, prawne i historyczne, by upomnieć się o sprawiedliwość? Niemcy wciąż odczuwają presję przeszłości – to, czy wykorzystamy tę szansę, zależy wyłącznie od nas.

MASZYNA DO RYSOWANIA **KARNKOWSKI**



eprasa.pl d4691ad3e6

16.09.2025
WYDANIE Nr
37

W TYM TYGODNIU:

TEMAT TYGODNIA



Reparacje dla Polski

6 **Oddolna akcja #ReparationsForPoland**

9 **Kto się boi reparacji?**

12 **Reparacje: stracona okazja i cień szansy na przyszłość**

16 **Dlaczego młode pokolenie nie kupuje wojny z Berlinem?**

KRAJ

Wielkie marzenie prezesa 18
Dziwni idole młodej prawicy 22
Po co komu Nowa Lewica? 26

ZAGRANICA

Wydmuszka lub horror bez końca 32
Wołowina za samochód 36

KULTURA

Nie muszę się identyfikować ze swoją muzyką. Rozmowa z J. Zaronem 40
Wyrosła z niebytu 44

SPOŁECZEŃSTWO

Jedyna słuszna fobia 52

HISTORIA

Pierwsza sowiecka okupacja, czyli lekcja poglądowa 56
Pogromca Krzyżaków 60

RELIGIA

Kontrrewolucja świętego Maksymiliana. Rozmowa z J. Szkamrukiem 64

ZWIĄZEK

Co w związku 68
„Stała się moją Matką” 70

FELIETONY:

WOŚ 5
OKRASKA 15
GAC 47
PŁUŻAŃSKI 49
KRYSZTOPA 67

POLECAMY:

ŚWIAT WEDŁUG WRÓBLA 21
ŚWIAT WEDŁUG KRASNODĘBSKIEGO 30
ŚWIAT WEDŁUG JASTRZĘBOWSKIEGO 37
KARUZELA Z BLOGERAMI 43
Z ARCHIWUM TOMASZA GUTREGO 48
CZYTAM, CHADZAM, DORADZAM, ODRADZAM 50
PRAWO 72

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ
Czasopismo NSZZ „Solidarność”

Adres redakcji: ul. Prosta 30, 00-838 Warszawa
E-mail: redakcja@tygodniksolidarnosc.com
Tel./fax: 22 882 27 96

Wybór tekstów z każdego numeru „TS” na stronie: www.tysol.pl

Prezes Zarządu: Wojciech Kwidziński

Członek Zarządu: Michał Ossowski

Redaktor naczelny: Michał Ossowski
m.ossowski@tygodniksolidarnosc.com

Zastępcy redaktora naczelnego:
Cezary Krysztopa, Rafał Woś

Sekretarze redakcji:
Beata Rojek, Aleksandra Paulus, tel. 22 882 27 80

Dziennikarze: tel. 22 882 27 96; 22 882 08 21
Bartosz Boruciak, Krzysztof Karnkowski, Marcin Krzeszowiec, Barbara Michałowska, Ludwik Pęzioł, Jakub Pacan, Teresa Wójcik, Agnieszka Żurek

Felieton i komentarz: Marek Jan Chodakiewicz, Karol Gac, Sławomir Jastrzębowski, Zdzisław Krasnodębski, Cezary Krysztopa, Monika Małkowska, Magdalena Okraska, Remigiusz Okraska, Tadeusz Płużański, Piotr Skwieciński, Rafał Woś, Jan Wróbel

Stali współpracownicy: Andrzej Berezowski, Marcin Darmas, Paweł Gabryś-Kurowski, Piotr Grzybowski, Ewa Górska, Kacper Kita, Wojciech Kulecki, Piotr Łopuszański, Marek Nowak, Tomasz Oleksiewicz, Sebastian Pytel, Sebastian Reńca, Łukasz Sakowski, Mariusz Staniszewski, Wojciech Stanisławski, Jakub Szmit, Mateusz Wyrwich, Igor Zalewski, Stanisław Żaryn

Łamanie: Andrzej Chojnacki, Małgorzata Lewicka-Koniak

Foto: Tomasz Gutry, Marcin Żegliński

Rysunki i grafika: Maciej Michalski, Barbara Sadowska, Marek Sobczyk, Jerzy Wasiukiewicz, Zygmunt Zaradkiewicz

Tysol.pl: Aleksandra Jakubiak, Marlena Nowakowska, Kacper Pawowicz, Jerzy Szulwic, Anna Tyszer, Mariusz Tyszer, Robert Wąsik, Anna Zgierska

Artykułów niezamówionych redakcja nie zwraca i zastrzega sobie prawo skrótów oraz zmian tytułów nadesłanych materiałów.

Dział marketingu:
Konrad Wernicki, tel. 510 075 689, e-mail: k.wernicki@tygodniksolidarnosc.com

Wydawca: Fundacja Promocji Solidarności, ul. ks. Jerzego Popiełuszki 6, 80-864 Gdańsk
nr konta: SKOK im. Franciszka Stefczyka 52 7065 0002 0651 8267 6304 0001

Telefon: 58 337 60 44

eprasa.pl d4691ad3e6



Rafał Woś

Allo, Pan Piketty? Jest sprawa do Pana...

Dlaczego prezydent Karol Nawrocki powinien zamówić ekspertyzę dotyczącą reparacji od Niemiec u słynnego ekonomisty Thomasa Piketty'ego?

Pamiętacie Thomasa Piketty'ego? To ten francuski ekonomista, który dekadę temu zyskał sławę pierwszego akademickiego celebryty XXI stulecia. Stało się tak za sprawą jego głośnej książki o nierównościach. Pokazał w niej, że sednem problemu ze współczesnym kapitalizmem jest to, że poziom rozwarstwienia dochodów i majątku powrócił na naszych oczach do poziomów z XIX stulecia. Dla współczesnych społeczeństw ma to skutki fatalne, z widokami na tragiczne. Dokładnie tak, jak było z nierównościami skumulowanymi w XIX wieku, które chwilę później doprowadziły do tragedii dwóch wojen światowych oraz wielkiego kryzysu, który je przedzielał.

Najnowsza praca Piketty'ego z roku 2025 też jest o nierównościach. Ale tym razem globalnych. Chodzi o pytanie, dlaczego Brytyjczycy albo Niemcy są bogaci, a Hindusi albo Togijczycy biedni. We wspomnianej pracy Piketty (i jej współautor Gastón Nievas) wyliczają, że gdyby nie kolonialny wyzysk, to kolejność dziobania wyglądałaby we współczesnym świecie zgoła inaczej. Porównajmy kilka liczb. Dziś jest tak, że PKB na głowę mieszkańca dla tzw. Zachodu (Ameryka Północna i Europa) jest na poziomie ok. 40–50 tysięcy euro. Dla porównania Rosja i Azja Centralna oraz Azja Wschodnia ma PKB per capita w okolicach 20 tysięcy. Ameryka Południowa i Bliski Wschód – koło 15 tysięcy, Azja Wschodnia i Południowa – mniej więcej 8 tysięcy, a Afryka Subsaharyjska to niecałe 4 tysiące euro na głowę mieszkańca.

Ale teraz wyobraźmy sobie, że nie było wyzysku kolonialnego. To znaczy Zachód zawsze płacił za surowce, które z krajów Globalnego Południa importował za uczciwą rynkową stawkę. Nie było też rabunkowego wykorzystania niewolniczej siły roboczej oraz prowadzonego przez kompradorskie elity państw kolonialnych do Londynu, Paryża czy Berlina. Co wtedy? Wtedy – dane czerpię właśnie ze wspomnianej pracy Piketty'ego – Europa i Ameryka Południowa nadal są najbogatsze. Ale Ameryka Łacińska jest już na ich poziomie, czyli wspomnianych 40–50 tysięcy euro na głowę mieszkańca. Zaraz potem sytuują się Azja Środkowa i Bliski Wschód – po 30 tysięcy. Następnie Azja Wschodnia i Południowa (16–20 tys.) oraz Afryka z PKB rzędu 8 tysięcy euro. Zauważmy, że dla wszystkich regionów tzw. Globalnego Południa normalne relacje handlowe zamiast kolonializmu przekładają się na skok poziomu bogactwa o 100 procent lub więcej.

Oczywiście Piketty w politycznym komentarzu do swojego badania pisze wprost, że dawne kraje kolonialne powinny korzystać z jego wyliczeń w budowaniu swoich relacji z dzisiejszym Zachodem. Nie dowodzi, że „było, minęło" albo że krzywdy zostały już przecież wynagrodzone niezliczonymi gestami czy aktami symbolicznej ekspiacji. Nie! On pisze wprost, że gospodarka to nie jest przestrzeń moralna. Tylko bardzo twarda rzeczywistość materialna, w której dawne krzywdy kumulują się w nowe realne nierówności.

Niech mi ktoś, proszę, teraz wyjaśni, czym ta argumentacja różni się od tego, co mówią nasi zwolennicy ekonomicznego zadośćuczynienia przez Niemcy za zbrodnie wojenne wobec Polski? Czy zasada, że z dawnego wyzysku wyrastają bardzo realne współczesne nierówności, w jakiś tajemniczy sposób miałaby w przypadku Polski nie działać? Nie widzę tu absolutnie żadnych różnic.

Gdybym więc był na miejscu polskiego prezydenta albo kolejnego rządu, który będzie chciał temat reparacji pchnąć naprzód, to natychmiast zgłosiłbym się do Piketty'ego o wyliczenie poziomu takich strat. A jeśli kogoś tym tekstem do tego pomysłu przekonałem, to powiem nawet więcej – chętnie pomogę w kontakcie. Gdzieś w starych notatnikach powinienem mieć nawet jego numer...

eprasa.pl d4691ad3e6

Temat Tygodnia



Płonący Zamek Królewski w Warszawie po ostrzale przez artylerię niemiecką, 17 września 1939 r.

Fot. Wikipedia

ODDOLNA AKCJA

#ReparationsForPoland

Akcja #ReparationsForPoland jest oddolną kampanią informacyjną mającą na celu **uświadomienie** międzynarodowej opinii publicznej skali zbrodni dokonanych przez Niemców na Polakach w okresie II wojny światowej oraz unaocznienie wymiaru strat, które państwo polskie poniosło w wyniku niemieckiej agresji.

Agnieszka Żurek

eprasa.pl d4691ad3e6

Akcja #ReparationsForPoland jest prowadzona w mediach społecznościowych, głównie na platformie X.

Polska nie zrzekła się reparacji

Jej zaplecze merytoryczne stanowi grupa ekspertów z różnych dziedzin (historii, demografii, socjologii, ekonomii etc.), która opracowała także raport opisujący wielowymiarowe poniesione przez Polskę w okresie II wojny światowej. Inicjatorzy akcji #ReparationsForPoland domagają się od Niemiec zadośćuczynienia na poziomie materialnym (szacując straty na około 6 bilionów złotych), przypominając, że Polska nigdy formalnie nie zrzekła się roszczeń reparacyjnych, ponieważ deklaracja z 1953 roku została wymuszona na polskich władzach przez ZSRR.

Kampania #ReparationsForPoland prowadzona jest anonimowo przez internautów działających non profit. Zaangażowała się w nią Polonia, zwłaszcza w USA i w Wielkiej Brytanii. Informacje o niemieckich zbrodniach i polskich stratach wojennych zostały przetłumaczone na 24 języki, a posty zawierające relacje rodzin ofiar niemieckich zbrodni stały się popularne w przestrzeni internetowej. 1 września 2018 roku hasztag #ReparationsForPoland został wyświetlony ponad 100 milionów razy. Konta twórców kampanii były blokowane po zgłoszeniach płynących z Niemiec, co jednak tylko zwiększyło zainteresowanie publikowanymi treściami. Rekordowe pół miliarda interakcji kampania osiągnęła we wrześniu 2022 roku. Było to spowodowane podjęciem tego tematu na szczeblu politycznym m.in. przez posła PiS Arkadiusza Mularczyka, opublikowaniem raportu rządu PiS o stratach wojennych oraz wystosowaniem noty dyplomatycznej do Niemiec w tej sprawie. O kampanii pisały wówczas media takie jak BBC i DW. Obecnie zainteresowanie akcją rośnie z uwagi na wizytę prezydenta Karola Nawrockiego w Berlinie i jego stanowisko, w którym domaga się reparacji od Niemiec.

Akcja #ReparationsForPoland ma realny wpływ na zwiększenie świadomości społecznej na temat skali strat poniesionych przez Polskę w czasie II wojny światowej. Miała ona wpływ nie tylko na polską politykę, ale znalazła także oddźwięk w Unii Europejskiej, inspirując np. Grecję do podjęcia podobnych działań. Przeprowadzony przez Instytut Pamięci Narodowej sondaż pokazał wzrost poparcia dla działań mających na celu uzyskanie odszkodowań od Niemiec aż o 20% (z ok. 40% w roku 2017 do ponad 60% pięć lat później).

PRAWO MIĘDZYNARODOWE NIE UZNAJE PRZEDAWNIENIA ZBRODNI WOJENNYCH ANI ZBRODNI PRZECIWKO LUDZKOŚCI.

Niepowetowane straty

W działania twórców akcji wpisuje się opublikowany w języku angielskim raport opisujący wojenne straty Polski. W pracach nad nim wzięli udział m.in. prof. Włodzimierz Suleja, prof. Mirosław Kłusek, prof. Konrad Wnęk i inni. Autorzy zwracają uwagę na fakt, że w czasie II wojny światowej Polska poniosła największe straty ludzkie i materialne spośród wszystkich krajów europejskich w stosunku do całkowitej liczby ludności i bogactwa narodowego.

„Straty te były wynikiem nie tylko działań wojennych, ale także niemieckiej polityki okupacyjnej, motywowanej przekonaniem o rasowej niższości obywateli polskich. Niemcy w sposób celowy i zorganizowany eksterminowali ludność polską na terenach okupowanych oraz intensywnie eksploatowali społeczeństwo polskie, zarówno poprzez przymusową pracę, jak i celowe niszczenie mienia, w tym zburzenie stolicy państwa – Warszawy oraz tysięcy polskich miast i wsi. Szkody i straty spowodowane przez Niemców podczas II wojny światowej oraz utrzymujące się negatywne skutki tych szkód i strat nigdy nie zostały zrekompensowane. Polska wezwała Niemcy do rozpoczęcia rozmów w celu ostatecznego rozwiązania tej bolesnej przeszłości i rozpoczęcia procesu pojednania, jednak Niemcy odmawiają podjęcia tego tematu” – wskazują autorzy raportu opublikowanego na stronie reparations-for-poland.com.

Na poziomie politycznym sprawę nagłośniła powołana 29 września 2017 r. (za czasów rządów Prawa i Sprawiedliwości) grupa parlamentarna ds. oszacowania kwoty odszkodowania należnego Polsce od Niemiec za szkody wyrządzone podczas II wojny światowej. Jej członkowie przypomnieli, że Polska i Niemcy nie zawarły traktatu kończącego II wojnę światową, dlatego też kwestia reparacji pozostaje otwarta.

Autorzy raportu o stratach wojennych wskazali, iż rozpoczynając II wojnę światową, Niemcy naruszyły postanowienia konwencji haskiej

eprasa.pl d4691ad3e6

z 1907 r., która w art. 3 stanowi: „Strona wojująca, która narusza postanowienia niniejszego regulaminu, będzie w razie potrzeby zobowiązana do wypłaty odszkodowania. Odpowiada ona za wszystkie czyny popełnione przez osoby wchodzące w skład jej sił zbrojnych". Zaznaczyli także, iż prawo międzynarodowe nie uznaje przedawnienia zbrodni wojennych ani zbrodni przeciwko ludzkości. „Konwencja z 1968 r. o nieprzedawnialności zbrodni wojennych stanowi, że żadne przedawnienie nie ma zastosowania do zbrodni wojennych ani zbrodni przeciwko ludzkości, niezależnie od daty ich popełnienia. Oznacza to, że zbrodnie wojenne popełnione podczas II wojny światowej również są objęte tym przepisem" – cytują.

„Skończymy, kiedy Niemcy zapłacą"

Autorzy raportu wymieniają różne obszary, w których Polska poniosła dotkliwe straty w wyniku II wojny światowej. Wskazują m.in. na zmiany granic naszego kraju, straty demograficzne, utratę życia i zdrowia obywateli, straty materialne i utratę dóbr kultury, straty w bankowości i ubezpieczeniach oraz straty Skarbu Państwa. Co oczywiste, najbardziej dotkliwą i niepowetowaną stratę stanowią wymordowani przez Niemców polscy obywatele. „Podczas II wojny światowej zginęło 5 219 000 obywateli Polski. 21% tej liczby stanowiły dzieci poniżej 10. roku życia. Jednakże, jeśli chodzi o populację Polski, w latach 1939–1946 liczba ludności kraju zmniejszyła się o 11,2 miliona. Z wyjątkiem niewielkiej grupy Polaków, którzy na początku lat 90. otrzymali symboliczne odszkodowanie finansowe, strata potencjału ludzkiego nie została zrekompensowana. Nie jest możliwe ustalenie dokładnej liczby Żydów zamordowanych w Holokauście ani Polaków i przedstawicieli innych narodowości zamordowanych w niemieckich obozach śmierci w Polsce. Szacuje się, że liczba zabitych wyniosła ponad 3,2 miliona. Ponad 2,1 miliona obywateli polskich zostało wywiezionych za granicę do pracy niewolniczej, a ponad 200 000 niemieckich przedsiębiorstw i gospodarstw rolnych, m.in. Siemens, Allianz, Audi, BMW, Deutsche Bank, Mercedes-Benz, Opel, Porsche i Volkswagen AG, czerpało korzyści z pracy polskich robotników przymusowych. Nie da się oszacować liczby ludzi zmuszanych do niewolniczej pracy, którzy zginęli, pozostali w Niemczech lub powrócili do Polski. Niemcy wybrali 196 000 polskich dzieci, które miały zostać wysłane do Niemiec w celu germanizacji. Tylko 30 000 dzieci powróciło. Niemcy bardzo szybko postawili sobie za cel eliminację polskiej inteligencji, tj. lekarzy, prawników, nauczycieli, duchownych i urzędników, ponieważ grupy te były postrzegane jako potencjalni przywódcy Polaków, którzy mogliby poprowadzić ich do walki z okupantem. W niemieckich operacjach likwidacji polskiej inteligencji zginęło co najmniej 100 000 osób. Niemiecka polityka ograniczania racjonowania żywności dla ludności Polski miała dramatyczny wpływ na liczbę urodzeń. W 1943 r. odnotowano o 22% mniej urodzeń w porównaniu z 1938 rokiem. Niemiecka polityka była również wymierzona w dzieci, które przyszły na świat, poprzez ograniczanie dostępności produktów spożywczych, aby osłabić małe dzieci i zwiększyć ich śmiertelność" – wskazują autorzy raportu.

> POLSKA NIGDY FORMALNIE NIE ZRZEKŁA SIĘ ROSZCZEŃ REPARACYJNYCH, PONIEWAŻ DEKLARACJA Z 1953 R. ZOSTAŁA WYMUSZONA NA POLSKICH WŁADZACH PRZEZ ZSRR.

Kampania #ReparationsForPoland jest przykładem, jak skuteczne mogą być oddolne działania prowadzone przez grupę patriotów. Koordynatorzy akcji wybrali nieujawnianie swojej tożsamości, chcąc w ten sposób zapewnić sobie wolność od nacisków politycznych i ograniczyć możliwość blokowania ich kont w mediach społecznościowych. Generowane przez nich treści zyskują szybki rozgłos dzięki popularyzowaniu ich przez środowiska patriotyczne, polityków, aktywistów i przedstawicieli organizacji pozarządowych. Do kampanii dołączyły tysiące „zwykłych" użytkowników mediów społecznościowych, w tym przedstawicieli Polonii, którzy dzielili się relacjami o niemieckich zbrodniach dokonanych na członkach ich rodzin.

Główny koordynator akcji pozostaje anonimowy, a jedynym medium, któremu udało się do niego dotrzeć, jest „Tygodnik Solidarność". W wywiadzie udzielonym 1 września br. portalowi Tysol.pl osoba ta pytana o to, do kiedy będzie prowadzona kampania #ReparationsForPoland, zadeklarowała krótko: „Skończymy, kiedy Niemcy zapłacą".

eprasa.pl d4691ad3e6

Kto się boi reparacji?

Nasze reparacje wojenne nie mają szczęścia nie tylko w Niemczech. W Polsce jest cała grupa wpływowych środowisk, które ten temat drażni, jest dla nich wstydliwy i w okolicznościach jednoczącej się Europy, która **już dawno przepracowała** temat II wojny światowej z głównym winowajcą na czele, po prostu niepotrzebny.

Jakub Pacan



Fot. Wikipedia

Rynek Starego Miasta w Warszawie w płomieniach powstańczych walk, sierpień 1944 r.

W Polsce, kraju, gdzie nie ma chyba rodziny, w której krwawe historie wojenne opowiadane przy stole nie odcisnęłyby piętna na świadomości potomnych, wyrosły jednocześnie zastępy Polaków, którzy jako „ludzie rozsądni wznieśli się ponad historyczne podziały", jak lubił mawiać Adam Michnik odnośnie do komunistów. Tych rozsądnych bardziej uwiera zaściankowa faszyzująca polska prawica machająca pałką reparacji niż postawa Niemiec.

Zły sen lewicy

Gdy czyta się publicystykę „Krytyki Politycznej" czy „Gazety Wyborczej", przeziera z niej duch zaniepokojenia poczynaniami prawicy, oburzenia i pogardy wobec nieodpowiedzialności Jarosława Kaczyńskiego czy teraz Karola Nawrockiego. Reparacje są dla liberalno-lewicowych elit opiniotwórczych tym wszystkim, co w prawicy najgorsze, czyli patriotycznymi uniesieniami, ksenofobicznymi resentymentami, próbami robienia z siebie ofiary i wybielania własnych win. Ale powstaje pytanie, dlaczego lewica ma taką obsesję na punkcie podnoszonych przez część Polaków, bo nie tylko przez prawicę, tematu reparacji? Dlatego że w tym przypadku prawica ma 100 proc. racji. Dlaczego ma 100 proc. racji? Bo z cierpieniem się nie dyskutuje, bo Polacy, podobnie zresztą jak naród żydowski też niezwykle skłócony wewnętrznie, mają jedną płaszczyznę spotkania, gdzie zaczyna się współczucie i wspólnota losów, ofiara i cierpienie, często niezawinione. Można utyskiwać nad decyzją o wybuchu powstania warszawskiego, ale nikt nie podważy wspólnoty cierpienia.

Ta prawda podnoszona przez domagających się reparacji jest nie na rękę postępowym europatriotom z kilku powodów. Po pierwsze – rozbija tak żmudnie budowane narracje o Polakach jako nie tylko ofiarach, ale i sprawcach, których głównym motorem działania była w czasie wojny podłość, chęć zysku na trupach i bierność wobec tragedii narodu żydowskiego.

Jak można Niemcom, tej ucieczce młodej prześladowanej polskiej lewicy, tej krainie poprawności politycznej, która tyle wkładu i wysiłku włożyła w budowanie Unii Europejskiej, wypominać dzisiaj, że mordowała z przyczyn rasistowskich nie tylko bezbronne mniejszości, w tym seksualne, ale nawet polskich księży. To też wzbudza złość, bo skoro kler był mordowany i męczony, to znaczy, że nie kolaborował i w czasie wojny zachował się w porządku.

eprasa.pl d4691ad3e6

Wypominanie dzisiejszym „Nowym Niemcom" tematu reparacji traktowane jest w środowiskach liberalnych i lewicowych jak puszczenie bąka w domu gospodarza, który zaprosił nas do dobrego towarzystwa, albo jak mówienie o sznurze w domu wisielca. Niemcy już tak bardzo przepracowały swoją winę, tyle wniosły w budowanie tolerancji, że nakazywanie im, by jeszcze raz sypały głowę popiołem, może ich urazić.

Ten zgrzyt mający rangę dysonansu poznawczego jest dla liberalnej mentalności trudny do dźwigania, a ta cholerna prawica ciągle nie daje o nim zapomnieć, wyprzeć go ze świadomości.

Narracja, która wyłania się z głosów pełnych oburzenia na nieodpowiedzialną polską prawicę, idzie dwutorowo: z jednej strony podnoszenie tego tematu może Polsce na arenie międzynarodowej szkodzić, pokazuje brak dojrzałości i demolkę dyplomatyczną prawicy w wykonaniu PiS-u i Jarosława Kaczyńskiego.

Z drugiej strony powtarzają się apele, by ten naród polskich sprawców sam uderzył się w pierś, niech sam uzna swoje winy, sam się rozliczy, podobnie jak wzorcowo zrobiły to „Nowe Niemcy". Jakakolwiek z tych narracji brałaby akurat górę, z punktu widzenia Polski i polskiej racji stanu jest ona postawą poddańczą wobec Niemiec.

Reparacje i populizm

Jak w praktyce wygląda obsługa reparacji po lewej stronie? Oto garść cytatów. „Czy damy się zaszantażować reparacjami? Nie musimy" – pisał w „Krytyce Politycznej" Maciej Gdula jeszcze jako podsekretarz stanu w Ministerstwie Nauki i Szkolnictwa Wyższego 8 września 2022 roku. „PiS domaga się 6 bilionów złotych reparacji od Niemiec dla Polski za II wojnę światową. Obóz pisowski jest zachwycony i sumą, i twardością swojego rządu. Obóz niepisowski zaś zasadniczo przyjął strategię niekwestionowania zasadności polskich żądań i skoncentrował się na pytaniach o ich realność. Ale czy słusznie? Z pragmatycznego punktu widzenia ma to duży sens. Spór o to, czy reparacje się należą, czy nie, byłby dla PiS-u korzystny. Nie bez znaczenia jest przecież to, że według różnych badań 47 proc. Polek i Polaków uważa, że domaganie się finansowego zadośćuczynienia jest słuszne, a 15 proc. nie ma opinii w tej sprawie" – pisze Maciej Gdula. Dodaje, że „sprzeciw wobec reparacji spotyka się z moralnym szantażem prawicy", poza tym „raport o reparacjach jest też elementem prawicowej polityki historycznej. Ma ona pomóc w budowie wspólnoty narodowej opartej na niewinności i poczuciu krzywdy".

> WYPOMINANIE „NOWYM NIEMCOM" TEMATU REPARACJI TRAKTOWANE JEST W ŚRODOWISKACH LIBERALNYCH I LEWICOWYCH JAK PUSZCZENIE BĄKA W DOMU GOSPODARZA, KTÓRY ZAPROSIŁ NAS DO DOBREGO TOWARZYSTWA.

Łukasz Łachecki w tekście pod wiele mówiącym tytułem „Izrael 2.0, czyli co kryje się za pisowską obsesją reparacji" z 4 września 2025 roku tłumaczy czytelnikom: „1 września prezydent Nawrocki podniósł też odwieczny temat reparacji, a wspierali go przy tym piłkarze, kibice, księża i seniorzy. Można było zatęsknić za czasami, gdy Paulina Matysiak, dziś blisko współpracująca z PiS, mówiła o «uczciwym postawieniu sprawy przejętego przez Polskę mienia z Ziem Odzyskanych», być może po raz pierwszy na taką skalę stykając się z potęgą nacjonalistycznego żywiołu [...]. Antyniemiecka propaganda PiS, już teraz toporna, a w epoce prezydenta Nawrockiego z pewnością niezyskująca na subtelności, skrzyżowana z nieustannym lamentem nad polskimi cierpieniami, wybielaniem historii poprzez skupianie się na Polakach ratujących Żydów, widmem rosyjskiego imperializmu oraz uchodźcami

> JAK MOŻNA NIEMCOM WYPOMINAĆ DZISIAJ, ŻE MORDOWALI NIE TYLKO ŻYDÓW I GEJÓW, ALE TAKŻE POLSKICH KSIĘŻY?

eprasa.pl d4691ad3e6

wojennymi, ekonomicznymi i klimatycznymi na granicy, zapowiada naprawdę przykre widowisko".

Problemem nie są niespłacone reparacje Niemiec, problemem nie jest brak powszechnej świadomości Niemców o zbrodniczej okupacji Polski, najgorsze w tym wszystkim jest to, że reparacje to idealna karma dla polskiego nacjonalistycznego żywiołu i „nieustannego lamentu nad polskimi cierpieniami". To odwrócenie uwagi o 180 stopni, przełożenie koncentracji ze sprawcy na ofiarę.

Granie reparacjami może być nawet niebezpieczne, biorąc pod uwagę moment geopolityczny, w którym się znajdujemy. „Nie ma naszej zgody na grę polityczną reparacjami i wywoływanie sporu z Niemcami w sytuacji zagrożenia ze strony Rosji" – powiedziała współprzewodnicząca Zielonych, poseł KO Urszula Zielińska w PR24 we wrześniu 2022 roku, tłumacząc, dlaczego posłowie jej ugrupowania zagłosowali w Sejmie przeciw uchwale dot. reparacji.

„Jesteśmy europejscy, młodzi i patrzymy w przyszłość. Niemcy to nasi sąsiedzi i partnerzy, możemy z nimi rozmawiać o wspólnych projektach i inwestycjach, rozmawiać dyplomatyczną ścieżką. Natomiast nie pozwolimy, by tak instrumentalnie wykorzystywano ten temat bez prawnych szans na to, by te reparacje uzyskać" – tłumaczyła stanowisko swojej partii posłanka KO.

W podobnym tonie o reparacjach można przeczytać i usłyszeć w TOK FM, tytuł jednej z audycji brzmiał: „Nawrocki, PiS, reparacje. Senator aż się zaśmiał: «Trzymam kciuki, aż mi palce zbielały»" czy w „Tygodniku Powszechnym" w tekście Klausa Bachmanna „W pułapce reparacji", w którym można było przeczytać: „Polska nie wyegzekwuje żadnych pieniędzy od Niemiec także dlatego, że obecny rząd nie potrafi zyskać dla tej inicjatywy poparcia niemieckiej opinii publicznej. Ale temat będzie wracał jako wygodne narzędzie utwardzania elektoratu".

Będziesz pamiętał

Kolejny artykuł pokazuje, jak sprytnie prawica chce uciec od dyskusji o polskich trupach w szafie, przerzucając temat na reparacje wojenne od Niemiec. „Ambasador Niemiec mówi trudną prawdę o historii. Polska nadal kłamie" – pisze Katarzyna Markusz w „Krytyce Politycznej 9 października 2020 roku. „Choć trudno od reprezentantów nacjonalistycznego rządu oczekiwać pochylenia się nad prawdą historyczną (albo w ogóle jakąkolwiek inną prawdą), to pewien żal pozostaje. Oprócz rozwiniętego państwa, silnej gospodarki i sprawnej opieki społecznej powinniśmy też zacząć Niemcom zazdrościć nieustającej skruchy i otwartości w mówieniu o własnej przeszłości" – wskazuje autorka. Chcemy „niemieckich odszkodowań za żydowskie domy!".

Na szczęście po drugiej stronie, czyli po stronie Berlina, nasza rozumna część społeczeństwa potrafiąca się wzbić ponad linie historycznego podziału i ksenofobiczne resentymenty ma racjonalnego i taktownego partnera. „Udało się nie pogorszyć stosunków dyplomatycznych między Polską a Niemcami" – pisze Kamil Trepka w „Krytyce Politycznej" 16 grudnia 2021 roku. „Wizyty kanclerza Scholza i ministry Baerbock w Warszawie dobitnie pokazują, czym różnią się polska i niemiecka dyplomacja. Nasza robiona jest na potrzeby krajowych sporów – dlatego wyciągamy z kapelusza temat reparacji wojennych. Berlin z pokorą wysłuchuje nierealistycznych żądań Warszawy, nie obraża się publicznie i ich... po prostu nie realizuje". Uff, roszczeń po prostu nie realizuje, jakie to szczęście...

Żydowska Tora ma 613 przykazań, są to nakazy i zakazy. Po II wojnie światowej upowszechniło się tzw. 614 przykazanie: „Nie będziesz przyznawał Hitlerowi pośmiertnych zwycięstw", czyli „będziesz pamiętał", „będziesz upowszechniał pamięć o Holocauście".

Pytanie do szanownych z lewicy: Czy to też przesada Żydów domagających się pamięci o swoich ofiarach? Czy to też „wygodne narzędzie utwardzania elektoratu" i „nieustanny lament nad cierpieniami"? Warto zadać sobie to pytanie, gdy przy okazji kolejnej rocznicy powstania w getcie warszawskim będziecie wpinać sobie żonkile w klapę marynarki. Chociaż uważacie, że ci wszyscy, którzy 1 sierpnia wychodzą na ulice z biało-czerwoną opaską i znakiem Polski Walczącej, są niebezpiecznym symbolem polskiego nacjonalizmu.

> „RAPORT O REPARACJACH JEST TEŻ ELEMENTEM PRAWICOWEJ POLITYKI HISTORYCZNEJ. MA ONA POMÓC W BUDOWIE WSPÓLNOTY NARODOWEJ OPARTEJ NA NIEWINNOŚCI I POCZUCIU KRZYWDY".

eprasa.pl d4691ad3e6

Reparacje: stracona okazja i cień szansy na przyszłość



Proj. K. Karnkowski

Ta teza brzmi dość sensacyjnie, jednak jest całkiem wiarygodna, gdy zapoznać się z argumentacją ekspertów. Pewne wypowiedzi przedstawicieli Niemiec, oczywiście chcących zachować anonimowość i wygłaszane zakulisowo, wskazują mianowicie, że kraj ten gotów był wypłacić Polsce reparacje. Trzeba było do tego **dwóch wynikających z siebie warunków**: wygranej PiS w wyborach parlamentarnych i kontynuacji asertywnej polityki historycznej wobec Berlina. Nie udało się ani jedno, ani drugie. Być może jednak wciąż nie wszystko jest stracone.

Krzysztof Karnkowski

Temat w polskiej polityce obecny był od lat. Co prawda, PRL zrzekła się pod naciskiem ZSRR reparacji od Niemiec, by nie obciążyć nimi bratniej NRD, jednak trudno traktować tę decyzję jako suwerenną. Co więcej, budziła ona zastrzeżenia nawet w porządku prawnym komunistycznej Polski, nie została na przykład opublikowana w Dzienniku Ustaw. Nic więc dziwnego, że choć Niemcy również po zjednoczeniu właśnie na jej podstawie uznawały temat za zamknięty, nasze stanowisko było inne. Jego wyrazem stała się uchwała Sejmu z 2004 roku, która jednak nie pociągnęła za sobą zbyt wielu działań. W 2017 roku PiS postanowiło podnieść sprawę dużo poważniej niż dotąd. Powołano zespół, który oszacował straty, a następnie w 2022 roku Polska uzbrojona już w poważne naukowe analizy skierowała odpowiednie noty do strony niemieckiej. Równocześnie rozpoczęła się ofensywa dyplomatyczna

eprasa.pl d4691ad3e6

mająca zainteresować tematem również państwa trzecie. Próbowano wreszcie uwspółcześnienia tematu poprzez analogię do sytuacji Ukrainy po pełnowymiarowej rosyjskiej agresji, rozpoczętej w lutym 2022 roku. Choć kolejna podnosząca kwestię zadośćuczynienia (tym słowem na wniosek W.T. Bartoszewskiego zastąpiono w dokumencie „reparacje") uchwała Sejmu zyskała poparcie większości (przeciw byli jedynie Zieloni i Klaudia Jachira, a kilku posłów Polski 2050 i Lewicy wstrzymało się od głosu), w debacie publicznej jedności już nie było. W 2022 roku na falach Polskiego Radia 24 poseł Mieczysław Kasprzak z PSL przekonywał zdumionego dziennikarza, że w 1953 roku Polska była państwem suwerennym, które zrzekło się reparacji mocą własnej, autonomicznej decyzji. W wypowiedziach innych polityków opozycji zaczynał dominować ton kpiący. Sprawa została przez nich upartyjniona. Symboliczna była scena z jednego ze spotkań wyborczych, na którym Donald Tusk wyśmiał pytającego o reparacje mężczyznę, pytając, „z jakiej paki" by nam się one miały należeć.

Odpust zupełny

Temat zaangażowania Niemców w polskie wybory poprzez instytucje europejskie został opisany wielokrotnie. Unia potrzebowała w Warszawie rządu niezagrażającego interesom Berlina. Korzystała z instrumentów finansowych i prawnych, by PiS nie przedłużyło mandatu. Czy jednak dążąc do zmiany rządu, nasz zachodni sąsiad nie załatwiał również w swym odczuciu kwestii zadośćuczynienia za polskie straty wojenne? Oddajmy głos dr. Michałowi Kuziowi, który na łamach „Gazety Polskiej Codziennie" ujawnia ważne szczegóły. „Mój rozmówca współpracujący z niemiecką dyplomacją – pragnący zachować anonimowość – twierdzi wprost, że gdy negocjacje prowadzone przez posła PiS Arkadiusza Mularczyka weszły w 2023 r. w decydującą fazę, strona niemiecka była zasadniczo gotowa zacząć Polsce płacić. Postawiono jednak jeden warunek, i to całkiem otwarcie: PiS musi wygrać następne wybory. Wynika z tego, że Berlin z góry zakładał twarde warunki formułowane przez rząd Prawa i Sprawiedliwości oraz bardziej zachowawcze podejście ewentualnej koalicji pod przewodnictwem Platformy Obywatelskiej. Na tym etapie celowo nie padały konkretne kwoty, co pozwalało utrzymać rozmowy w formule elastycznej i uniknąć politycznego « zabetonowania » liczb, zanim wypracuje się architekturę wypłat i instrumenty prawne. Tak wyglądała sytuacja dwa lata temu, gdy okno możliwości – choć wąskie – pozostawało uchylone". Później, co Kuź opisuje w dalszej części tekstu, nowe władze przyjęły strategię „antydyplomacji", nie reagując na zbyt małe kwoty proponowane w dwustronnych rozmowach przez Niemców i nie występując z żadnymi kontrpropozycjami. Absurdalność tego stanowiska widać w wewnętrznie sprzecznym komentarzu Donalda Tuska do propozycji Olafa Scholza z 2024 roku: „Nie jestem rozczarowany gestem rządu niemieckiego, bo nie ma takiej sumy pieniędzy, która by zrównoważyła to, co stało się w czasie II wojny światowej". Takie nastawienie powodowało faktyczne wygaszanie tematu, który powrócił jednak kolejny raz dzięki mocnym słowom Karola Nawrockiego z 1 września.

> POLSKA UZBROJONA W POWAŻNE NAUKOWE ANALIZY SKIEROWAŁA ODPOWIEDNIE NOTY DO STRONY NIEMIECKIEJ.

Instytuty wydmuszki

Nim odpowiemy sobie na pytanie, czy możliwy jest jeszcze powrót do kwestii reparacji, przyjrzymy się polskiej polityce historycznej po 13 grudnia 2023 roku. Wokół zajmującego się statutowo kwestią dwóch totalitaryzmów XX wieku i konsekwencją ich działań Instytutu Pileckiego, a zwłaszcza jego oddziału w Berlinie, burza trwa od początku kadencji obecnego rządu i odwołania kierującej nim dotąd Magdaleny Gawin. Przybrała ona jednak na sile w listopadzie zeszłego roku, gdy na czele placówki postawiony został Krzysztof Ruchniewicz, naukowiec znany z zajmowania proniemieckiego stanowiska w kwestiach spornych i w polityce historycznej. Bomba wybuchła, gdy kierująca berlińskim oddziałem placówki Hanna Radziejowska ujawniła, że Ruchniewicz szykuje sympozjum dotyczące ewentualnych roszczeń Niemców wobec Polski. Radziejowska została odwołana w atmosferze skandalu i z naruszeniem prawa, w tym przepisów o ochronie sygnalistów. Ruchniewicz ostatecznie też stracił posadę, nie wiemy jednak jeszcze, czy kierujący dziś instytutem Karol Madaj będzie miał chęć i możliwości naprawić poczynione przez poprzednika straty. Jak jednak na łamach „Gazety Polskiej" zauważa

eprasa.pl d4691ad3e6

Jakub Maciejewski, kluczowy dla naukowego podbudowania kwestii reparacji Instytut Strat Wojennych im. Jana Karskiego przez kilkanaście miesięcy działa bez kierownictwa, nie otrzymując też żadnych zadań, obecnie natomiast kierowany jest przez dr. Bartosza Gądka, absolwenta AWF nigdy niezajmującego się wcześniej przedmiotem zainteresowania placówki. „Nie warto osądzać nowego dyrektora o złe intencje – konkluduje Maciejewski – po prostu trudno uniknąć wrażenia, że jest figurantem, który bez wiedzy, doświadczenia i pozycji w strukturach państwa ma zapewnić Instytutowi Karskiemu powolną śmierć albo – w najlepszym wypadku – wegetację".

Trzeba chcieć

Kondycja instytucji, które powinny być merytorycznym (Instytut Karskiego) i wizerunkowym (Instytut Pileckiego) wsparciem państwa w walce o reparacje, jest kluczowa dla przyszłego powodzenia tematu, który w przypadku zmiany władzy zostanie na nowo włączony w rządową agendę. „Niemcy jako państwo są świadome wagi roszczeń reparacyjnych Polski, nawet jeżeli temat ten oficjalnie ucina się jako zamknięty. W lutym tego roku eksperci działu naukowego Bundestagu analizowali kwestie prawne związane z roszczeniami reparacyjnymi za «narodowosocjalistyczną niesprawiedliwość w Wolnym Mieście Gdańsku w latach 1939–1945». Analiza ta pokazała nastawienie Berlina do reparacji wobec Polski przez pryzmat roszczeń Polaków wywłaszczonych w Gdańsku przez Niemców we wrześniu 1939 r. Sam fakt, że tego typu analizy się zleca, pokazuje, że sprawa żyje i nawet jeżeli biegli zastrzegają, że w świetle niemieckiego prawa «Polska sama zrzekła się reparacji, a roszczenia indywidualne się przedawniły», to dodają, że tak naprawdę decyzja o tym, czy coś się przedawniło, czy nie, zależy od niemieckiego ustawodawcy" – tłumaczy Olga Doleśniak-Harczuk z zajmującej się tematyką niemiecką strony BerlińskiTygiel.pl.

> KLUCZOWY DLA NAUKOWEGO PODBUDOWANIA KWESTII REPARACJI INSTYTUT STRAT WOJENNYCH IM. JANA KARSKIEGO PRZEZ KILKANAŚCIE MIESIĘCY DZIAŁAŁ BEZ KIEROWNICTWA.

Michał Kuź widzi możliwość powrotu do tematu w bardzo konkretnych warunkach. „By temat reparacji wrócił, najpierw musi się rozegrać rzecz, która w filozofii Hegla nazywana była walką o rozpoznanie. Nowy rząd będzie musiał stoczyć wojnę o narrację, pokazując rozmiary niemieckiego bestialstwa. Oczywiście Niemcy będą się bronić, spróbują zrobić z nas antysemitów. Płyną sygnały ze strony Niemiec: «Tylko spróbujcie na poważnie ruszyć temat reparacji, zrobimy z was współsprawców holokaustu». Jeśli jednak walkę tę wygramy, nawet potencjalna przyszła koalicja współtworzona przez AfD ze względów wizerunkowych będzie musiała pójść na ustępstwa". Potwierdza to również Doleśniak-Harczuk, choć dodaje, że liczyć możemy raczej na skromniejsze formy zadośćuczynienia, nie reparacje jako takie. „Każdy tego typu «finansowy gest» wobec Polski musiałby wynikać z bardzo konkretnej obawy lub potrzeby Berlina. Obawy przed stratami wizerunkowymi – niemieccy politycy są na tym punkcie bardzo czuli. Potrzeby zjednania sobie Warszawy w sprawach, których Berlin sam z różnych względów nie byłby w stanie przeskoczyć – dostarczenie takich potrzeb byłoby zadaniem polskiej polityki.

> MOŻEMY LICZYĆ NA SKROMNIEJSZE FORMY ZADOŚĆUCZYNIENIA, NIE REPARACJE JAKO TAKIE.

Na razie nie widzę jednak ani gotowości, ani chęci, ani możliwości intelektualnych, by tego typu warunki stworzyć" – puentuje Olga Doleśniak-Harczuk. Wygląda więc na to, że wciąż mamy szanse na uzyskanie choćby i niepełnego zadośćuczynienia za straty wojenne od Niemców. Musimy jednak chcieć. A raczej mieć rząd, który tego chce.

eprasa.pl d4691ad3e6

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ



Magdalena Okraska

Traci polski rolnik

Komisja Europejska przyjęła umowę handlową z blokiem państw Ameryki Południowej. Pozamiatane, chciałoby się powiedzieć. Pełna wersja dokumentu zostanie co prawda poddana pod głosowanie Parlamentu Europejskiego, a całej procedurze mają towarzyszyć tzw. hamulce bezpieczeństwa, ale i tak sam pomysł na takie porozumienie, nie mówiąc o jego kształcie, jest już mocno niepokojący.

Co konkretnie się wydarzy?

Umowa Mercosur jest dla Polski niekorzystna, nie ma nic nieracjonalnego w sprzeciwie wobec niej. Liberalna radość, że oto „może w końcu będą dobre warzywa i owoce", to jakieś nieporozumienie. To właśnie u nas produkty spożywcze są smaczne i stosunkowo tanie, a przy tym przebywają krótką drogę od pola do stołu. Oczywiście tam, gdzie w grę wchodzi wielki handel i wielkie umowy, zdrowie konsumenta absolutnie się nie liczy. Niedojrzały pomidor może spokojnie płynąć przez pół świata, byle ktoś na tym zarobił. Presję na budowanie handlowego bloku z krajami Ameryki Południowej wywiera biznes niemiecki, a robi to w ramach sprzeciwu wobec polityki Trumpa i jego ceł. Zmiany te nie są jednak bezbolesne ani bezkosztowe. Odbędą się one choćby kosztem rolników polskich czy francuskich, czyli przedstawicieli państw produkujących stosunkowo jeszcze niezepsutą, niezglobalizowaną żywność. Presja Niemiec na podpisywanie tak wiele zmieniających umów z Mercosur stoi zresztą w ogromnym kontraście do dotychczasowej polityki unijnej, przynajmniej tej deklaratywnej – mówiło się, że produkty spożywcze mają być lokalne, „zielone", łatwo dostępne itp. Gdy nadszedł czas, przehandlowano te deklaracje za zamorskie umowy na tańszą żywność. Skąd, jak, czyim kosztem – to już nieważne. Teraz tanie mięso będzie ściągane z odległości tysięcy kilometrów, kosztem producentów choćby tych kurczaków, których mamy w pobliżu. Bliskość geograficzna, lokalność, zdrowie straciły już na znaczeniu. Skracanie łańcucha dostaw to teraz znowu puste hasło. Chodzi wyłącznie o cenę, nikogo nie interesuje już jakość i normy produkcji pożywienia, które w krajach Mercosur są oczywiście niższe. To jak z chińskim plastikiem czy ubraniami. Lokalne przestaje być w stanie konkurować z odległym, bo odległe zaleje nas swoim badziewiem i jeszcze zrobi to szybko.

W przypadku Mercosur karty są już rozdane. Kraje, które nie muszą się martwić o dobrostan zwierząt, warunki ekologiczne, płace pracowników itp., są i zawsze będą bardziej konkurencyjne. Ale z kim to konkurencja? Z nami, z producentami i obywatelami z Europy, której granic mieliśmy bronić przed tym, co szkodliwe, niezdrowe, nie do końca uczciwe. Jak zwykle nic z tego nie wyszło. Unia dociska naszych rolników, narzucając im normy, a sama otwiera szeroko ramiona przed drobiem z Brazylii. Nagle to, co było ważne, takim być przestaje. Straci na tym polski rolnik, choć wierzę, że się zbuntuje.

eprasa.pl d4691ad3e6

Dlaczego młode pokolenie nie kupuje wojny z Berlinem?

Zagrożenie płynące ze strony Niemiec oraz ich krajowych popleczników od lat stanowi ważny – jeśli nie wręcz centralny – element narracji Prawa i Sprawiedliwości. Ale czy tak silne **zaznaczanie niechęci** wobec naszego zachodniego sąsiada rzeczywiście przekłada się na skuteczność wyborczą?

Ludwik Pęzioł



Fot. Adobe Stock

Nadmierne samozadowolenie, jakie jeszcze do niedawna można było dostrzec u części działaczy PiS, było dla tej partii zjawiskiem niebezpiecznym. W przekonaniu, że powrót do władzy po kolejnych wyborach jest niemal przesądzony i że koalicja z Konfederacją nadejdzie niejako automatycznie, kryje się kilka poważnych błędów. Po pierwsze – taka postawa prowadzi do demobilizacji w kwestii poszerzania elektoratu. Po drugie – zakłada, że w toku rozgrywki politycznej, która może łatwo się wymknąć spod kontroli, nie dojdzie do spalenia mostów z Konfederacją. Po trzecie – rezygnacja z aktywnej walki o wyborcę prawicowego oddaje pole konkurentowi, osłabiając przyszłą pozycję PiS nawet w przypadku negocjowania kształtu wspólnego rządu. I wreszcie – po czwarte: perspektywa dopuszczczenia do władzy konfederackich „faszystów" może spowodować pospolite ruszenie sił lewicowo-liberalnych, które pozwoli odzyskać im część poparcia.

Nie dziwi więc, że „centrala" z Nowogrodzkiej zaczęła wysyłać sygnały o ambicji powrotu do samodzielnych rządów i zdobycia wyniku zbliżonego do 40%. To cel, którego nie da się osiągnąć bez poszerzenia bazy wyborczej. Tymczasem dotychczasowy przekaz PiS – z jasno wyznaczonym katalogiem przyjaciół, wrogów, wyzwań i zagrożeń – coraz słabiej działa jako magnes na nowych wyborców, zwłaszcza młodych. Widać to zarówno w wynikach badań opinii publicznej po gwałtownym spadku poparcia w październiku 2020 roku (z którego partia nigdy już się nie podniosła), jak i w strukturze elektoratu, starzejącego się i coraz mniej otwartego na nowe grupy.

Dlaczego Niemcy?

Nietrudno dostrzec, że przedstawianie Niemiec w roli czarnego charakteru ma dla PiS wymiar praktyczny – cementuje przywiązanie starszych wyborców, dla których pamięć o wojennych krzywdach wciąż jest żywa. Istnieje jednak także druga teoria. Według niej Niemcy zastępują w tej narracji Unię Europejską, której nie można atakować zbyt mocno ze względu na utrzymujący się w Polsce euroentuzjazm. W ten sposób partia może mobilizować swój tradycyjny elektorat, nie ryzykując zrażenia umiarkowanych wyborców popierających integrację europejską.

Problem w tym, że w walce o młodsze pokolenie taki przekaz może okazać się mało atrakcyjny. W oczach wielu młodych Polaków Niemcy nie są państwem budzącym jednoznacznie negatywne skojarzenia. Wręcz przeciwnie – badania prowadzone w ramach cyklicznego „Barometru Polska – Niemcy" pokazują, że kraj ten jest przez nas oceniany pozytywnie pod względem rozwoju gospodarczego, praworządności czy poszanowania praw obywatelskich. Według najnowszego raportu średnia sympatia w młodej grupie pokoleniowej wynosi 3,5 w pięciopunktowej skali – czyli na poziomie Francuzów,

eprasa.pl d4691ad3e6

i tylko nieco niżej niż w przypadku Brytyjczyków czy Czechów. Aż 65% młodych Polaków deklaruje, że nasz kraj powinien ściśle współpracować z Niemcami – to więcej niż w odniesieniu do Stanów Zjednoczonych. Badani nie mają też problemu z zaakceptowaniem Niemca w roli sąsiada, przełożonego czy członka rodziny.

Choć takich badań nie ma wiele, to pojedyncze analizy potwierdzają tę tendencję: historyczne winy Niemiec pozostają w świadomości społecznej, ale nie determinują postaw politycznych młodego pokolenia. Większość Polaków (niezależnie od wieku) nie chciałaby, aby stosunki z Berlinem były stale antagonizowane.

Zmiana wrażliwości

W świadomości młodego pokolenia stereotypu Niemca nie tworzy już żołnierz w brunatnej koszuli ani esesmanem z podręcznika do historii. To raczej nowoczesny, liberalny i zamożny Europejczyk. Wielu młodych wprost deklaruje, że chciałoby, aby w Polsce „było jak w Niemczech” – widzą bowiem ten kraj jako bardziej rozwinięty i posunięty cywilizacyjnie.

Nie oznacza to oczywiście, że należy zaniechać wskazywania działań Berlina niekorzystnych dla Polski – takich jak wykorzystywanie unijnych instytucji do rozszerzania własnych wpływów czy forsowanie regulacji sprzyjających niemieckiemu biznesowi kosztem naszego rynku. Chodzi jednak o zachowanie proporcji, bo warto pamiętać o słynnej maksymie Paracelsusa: „Dawka czyni truciznę”.

Zbyt częsty i przesadnie alarmistyczny przekaz germanosceptyczny może młode pokolenie po prostu zniechęcić lub znużyć. Dla wielu młodych Niemcy nie są źródłem silnych emocji ani poczucia zagrożenia – zatem nadmiar ostrzeżeń będzie traktowany jak „szum tła”. Punktowe, dobrze udokumentowane przypadki, gdy Niemcy dbają o swoje interesy kosztem Polski, może wywołać silniejszy efekt niż codzienna, monotonna kampania. Ma to dodatkowy walor: pozwoliłoby PiS-owi wygospodarować „czas antenowy” na inne tematy, które młodych naprawdę poruszają. Bo największymi przeciwnikami nie są dla nich dziś politycy w Berlinie, lecz aktorzy życia gospodarczego, którzy realnie utrudniają im start w dorosłość: deweloperzy windujący ceny mieszkań, banki ograniczające dostęp do kredytów, a wielkie korporacje zawłaszczające przestrzeń zarówno prywatną, jak i publiczną. To właśnie te zjawiska: brak perspektyw mieszkaniowych, nadmierny wyzysk, eksploatacja lokalnej przyrody – wywołują autentyczną frustrację. Kolejnym wciąż niezagospodarowanym tematem jest też kryzys zdrowia psychicznego wśród młodych. Refundowana terapia, szybki dostęp do psychologa czy psychiatry dla młodzieży i studentów mogłyby stać się silnym i pozytywnym komunikatem społecznym – tym bardziej że coraz więcej młodych ludzi otwarcie mówi o depresji, lękach i wypaleniu.

Dla wielu z nich spory o traktaty unijne czy „niemieckiego agenta Tuska” to tematy raczej z lamusa, „sprawy starszych panów”, które łatwo obśmiać. To z kolei napędza wyborców Konfederacji, która chętnie stroi się w szaty jedynej formacji „rozumiejącej młodych” i wskazuje winnych w postaci urzędów, podatków i ZUS-u. Tymczasem niewiele sił politycznych o dużym zasięgu pokazuje, że w życiu młodego człowieka szkodzi mu nie tylko państwo, lecz także patologie rynku. PiS, gdyby chciało, mogłoby zająć to pole i przejąć część narracji o ochronie zwykłego człowieka przed nadużyciami wielkiego biznesu.

Przesunięcie akcentów

„Wpuszczenie świeżego powietrza” do przekazu Prawa i Sprawiedliwości nie musiałoby oznaczać utraty dotychczasowych wyborców. Chodziłoby raczej o korektę proporcji. Dziś PiS i sprzyjające mu media zbyt często zakładają, że młode środowiska patriotyczne reagują tak samo emocjonalnie jak starszy elektorat na każdy – autentyczny czy nieco naciągany – przykład niemieckich działań wrogich Polsce. Tymczasem to nie jest dominujący nastrój całego młodego pokolenia. Sama kosmetyczna zmiana, w rodzaju dokooptowania do władz partii kilku polityków o dekadę młodszych od prezesa, nie wystarczy. Potrzebna jest poważna ewaluacja narracji: przesunięcie akcentów z wrogów zewnętrznych, tak doskonale znanych i zrozumiałych dla żelaznego elektoratu, na problemy, które dotykają młodych w ich codziennym życiu.

DLA WIELU MŁODYCH POLAKÓW NIEMCY NIE SĄ ŹRÓDŁEM SILNYCH EMOCJI ANI POCZUCIA ZAGROŻENIA – ZATEM NADMIAR OSTRZEŻEŃ BĘDZIE TRAKTOWANY JAK „SZUM TŁA”.

eprasa.pl d4691ad3e6

Kraj

Wielkie marzenie PREZESA

Czy PiS może jeszcze raz sięgnąć po samodzielną większość w Sejmie? Niewielu w to wierzy, ale właśnie taki jest plan Jarosława Kaczyńskiego. I wcale **nie jest nierealny**.

Mariusz Staniszewski



Fot. Jacek Szydłowski / Forum

eprasa.pl d4691ad3e6

Prezes PiS co jakiś czas jest wysyłany na emeryturę. Najczęściej głosy takie padają ze strony politycznych przeciwników, ale od razu możemy je zignorować. Są jedynie wyrazem nadziei na dezintegrację Prawa i Sprawiedliwości. Ciekawiej się robi, gdy Kaczyński sam zgłasza taką chęć – zawsze wywołuje to zamieszanie w partii, bo rusza giełda potencjalnych następców – albo nawołuje go do tego ktoś z prawicy, jak ostatnio były prezydent Andrzej Duda. Przy tej okazji także ruszyła karuzela domysłów, kto miałby zająć fotel szefa największego polskiego ugrupowania.

Prawda jest jednak oczywista. Dopóki Jarosław Kaczyński jest zdrowy, będzie szefem PiS oraz najważniejszą osobą na polskiej prawicy. Jako jedyny posiada dziś na tyle silny autorytet, by równoważyć różne frakcje, kreować liderów i ogrywać rywali.

W przeciwieństwie do Donalda Tuska, który niszczy wszystkich, którzy wyrastają nieco ponad przeciętność, prezes PiS wychował nowe pokolenie zdolnych polityków – Tobiasz Bocheński, Przemysław Czarnek, Andrzej Śliwka, Paweł Jabłoński, Marcin Przydacz, Zbigniew Bogucki, Marcin Horała, Maciej Małecki – które nie tylko jest gotowe sięgnąć po władzę. Oni mogą na długi czas polską scenę polityczną zdominować.

Ostre przetasowania

Wiele wskazuje na to, że po przyszłych wyborach skład Sejmu zmieni się diametralnie. Według większości sondaży w parlamencie znajdą się cztery ugrupowania: PiS, PO (choć nie wiemy, jak się będzie nazywać po rebrandingu), Konfederacja i Lewica. Na sukces nie ma już co liczyć Polska 2050 Szymona Hołowni, a PSL chyba coraz bardziej oswaja się z myślą, że tym razem się nie uda.

Jeśli w parlamencie znajdą się cztery partie, to zwycięzca musi zdobyć proporcjonalnie mniej głosów, by samodzielnie rządzić. Otrzyma po prostu ogromną premię za zwycięstwo. W 2015 roku, gdy PiS pierwszy raz samodzielnie utworzyło rząd, w wyborach do Sejmu zdobyło jedynie 37,58 proc. głosów. Próg wyborczy przekroczyły jeszcze PO, Kukuiz'15, Nowoczesna i PSL, ale trzy ostatnie partie w sumie uzbierały około 20 proc. głosów. Kluczowa była 13-punktowa przewaga PiS nad PO.

Dziś dwa najsilniejsze ugrupowania cieszą się co prawda podobnym zaufaniem, ale Konfederacja i Lewica razem zbierają właśnie około 20 proc. Jeśli weźmie się pod uwagę wyjątkowo nieudolne rządy Donalda Tuska i przegrywane co rusz potyczki z prezydentem Karolem Nawrockim, to można sądzić, że PiS będzie zyskiwało. Zwłaszcza że głowa państwa nie przestanie punktować obecnej koalicji.

Ale sondaże są tylko nieznaczną częścią rzeczywistości. Słabość rządów obecnej koalicji zniechęca do niej wyborców umiarkowanych. Szczególnie tych, którzy poparli Polskę 2050. Wielu odpłynęło z PiS z powodu narastającej w tej formacji arogancji. Ludzie ci woleli oddać swoje głosy na formację Szymona Hołowni, bo spodziewali się świeżego powiewu w polityce. Nic takiego jednak nie nastąpiło. Standard rządzenia się pogorszył, co szczególnie widać w kadrach, które trafiły do rządu, ale przede wszystkim skokowo w narastającym zadłużeniu.

Wielu z tych wyborców dostrzega dziś, że Mateusz Morawiecki bez porównania lepiej radził sobie z finansami państwa i rozumiał potrzeby biznesu. Nawet jeśli jego program „Polski Ład" okazał się w znacznej części niewypałem, to jednak obecna władza nie proponuje nic lepszego. W zasadzie nie oferuje nic.

Zaawansowane gnicie koalicji

Nawet sympatyzujący z Platformą Obywatelską ekonomiści nie ukrywają, że rządowi wkrótce zacznie brakować pieniędzy. Będzie musiał zacząć ograniczać wydatki, a to może się odbywać kosztem cięć socjalnych, ograniczenia inwestycji lub zatrzymania programu modernizacji armii. To jednak będzie oznaczać fundamentalną klęskę polityczną, gdyż te trzy filary są wyjątkowo wrażliwe w obecnej sytuacji politycznej.

DOPÓKI JAROSŁAW KACZYŃSKI JEST ZDROWY, BĘDZIE SZEFEM PiS ORAZ NAJWAŻNIEJSZĄ OSOBĄ NA POLSKIEJ PRAWICY.

Jarosław Kaczyński doskonale o tym wie i wcale nie pali się do rozbicia koalicji. Pewnie kupił już kilka paczek chipsów i spokojnie przygląda się chocholemu tańcowi Donalda Tuska. Ten co prawda próbuje jeszcze odzyskać inicjatywę, ale skutecznie uniemożliwia mu to Karol Nawrocki, który obnaża lobbystyczną i szkodliwą dla Polski politykę rządu.

Choć PiS toczy kuluarowe rozmowy z PSL-em i kusi Władysława Kosiniaka-Kamysza fotelem premiera, to jednak liderzy obu ugrupowań wiedzą, że – przynajmniej na razie – nic z tego nie będzie. Kosiniak nie zaufa Kaczyńskiemu, a lider PiS wie, że czas pracuje na jego korzyść. Wzrost bezrobocia, wyższe koszty energii, mniej inwestycji oraz narastająca fala skandali będą powodowały niezadowolenie i frustrację elektoratu. Szczególnie, że nieukrywane już kłótnie wewnętrzne tworzą atmosferę chaosu, a słabnąca pozycja premiera oraz ignorowanie jego decyzji przez koalicjantów wzmaga poczucie niemocy.

eprasa.pl d4691ad3e6

Tusk z jednej strony jest politykiem skrajnie niepopularnym, a z drugiej jego wyborcy nie widzą lepszego kandydata na stanowisko szefa rządu. Jego trwanie powoduje więc erozję poparcia, ale zastąpienie go – na przykład zarozumiałym, pozbawionym zaufania aktywu partyjnego i miałkim Radosławem Sikorskim – może skutkować tąpnięciem. Jak dziesięć lat temu, gdy premierem została Ewa Kopacz.

Koalicja nie ma więc dziś możliwości ucieczki do przodu. Aktywność takich ludzi jak Roman Giertych, Waldemar Żurek, Marcin Kierwiński czy wspomniany Radosław Sikorski tylko utwierdzają wyborców, że nic dobrego za tych rządów już nie może się wydarzyć.

Kaczyński może więc liczyć, że ten korkociąg beznadziei, w który wpadła koalicja, prędzej czy później spowoduje krach PO, a to będzie oznaczało wzrost poparcia PiS. Trzynaście punktów różnicy, choć dziś wydaje się odległe, wcale nie jest wykluczone.

Szarża Mentzena

Zwłaszcza że na drugim froncie przeciwnik także wyraźnie osłabł. Wynik Sławomira Mentzena w wyborach prezydenckich najwyraźniej kazał mu uwierzyć, że na stałe wkroczył do politycznej pierwszej ligi.

Nic bardziej mylnego. Lider Konfederacji długo musiał lizać rany po starciu z Mateuszem Morawieckim. Były premier nie tylko zarzucił Mentzena liczbami i statystykami, które podważały proste gospodarcze recepty Konfederacji, ale także przedstawił realną praktykę rządzenia. Oderwaną od ideologicznego chciejstwa i naiwności.

W takich starciach Mentzen wypada słabo nie pierwszy raz. To właśnie na starciach z nim swoją pozycję w polityce odbudował Ryszard Petru, który przed ostatnimi wyborami parlamentarnymi wielokrotnie wykazywał niekompetencję i słabe przygotowanie merytoryczne Mentzena. Wydaje się, że ciągle nie może on wyjść z pozycji polityka trafiającego głównie do młodych, którzy jeszcze nie zaczęli żyć na własny rachunek.

PiS doskonale zrozumiało, że lider Konfederacji nie kieruje się wyliczeniami i realnymi danymi, ale raczej ideologią. Serwuje proste, zrozumiałe recepty, które mają rozwiązać większość problemów. Ten rys charakteru Sławomira Mentzena przypomina często doktrynerstwo prof. Leszka Balcerowicza – osoby skompromitowanej i budzącej wyjątkowo złe skojarzenia. Bliskość ideowa byłego marksisty Balcerowicza i korwinisty Mentzena podważa zaufanie, szczególnie starszej części elektoratu. Odbiera także liderowi Konfederacji polityczną świeżość. Nikt dziś nie chce nowego Balcerowicza.

Na dodatek były kandydat na prezydenta ostatnio ostro atakuje Jarosława Kaczyńskiego i wysyła sygnały, że w przyszłym Sejmie mógłby dogadać się z Platformą. Ta próba gry na dwóch fortepianach jest w rzeczywistości prezentem dla PiS, gdyż pokazuje brak wiarygodności Mentzena wśród prawicowych wyborców. Ponad 80 proc. elektoratu Konfederacji nie wyobraża sobie współpracy z partią Tuska i takie rozwiązanie uznałoby za zdradę. Jednym z głównych celów sympatyków tej formacji jest odsunięcie od władzy zużytego premiera.

Im bardziej Mentzen wykazuje się niedojrzałością i obrotowością, tym bardziej szanse jego partii maleją. Jakby zapomniał, że dobry wynik w I turze wyborów prezydenckich osiągnął właśnie dzięki zawarciu paktu o nieagresji z Karolem Nawrockim i PiS.

Wiatr zmian

Sprzyjający dla partii Kaczyńskiego jest także konserwatywny wiatr zmian, który przywiał z USA i jest wyczuwalny w całej Europie. To oczywiście proces bardzo trudny do uchwycenia, ale opiera się na odchodzeniu od szaleństwa, jakie lewica zaaplikowała społeczeństwom zachodnim w wielu wymiarach – od tożsamości płciowej po energetykę.

Pracownicy i przedsiębiorcy, jak Europa długa i szeroka, protestują przeciwko tej obłędnej polityce. Wyborcy domagają się racjonalności, a nie programu na zbawianie świata w imię fałszywych idei.

> ZASTĄPIENIE TUSKA NP. ZAROZUMIAŁYM, POZBAWIONYM ZAUFANIA AKTYWU PARTYJNEGO I MIAŁKIM RADOSŁAWEM SIKORSKIM MOŻE SKUTKOWAĆ TĄPNIĘCIEM.

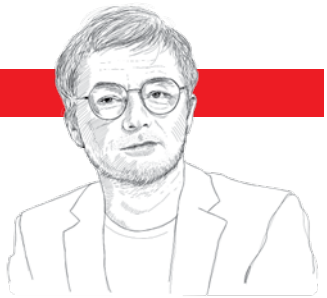
Ten powiew świeżości nie dotarł jeszcze do Platformy Obywatelskiej i jej sojuszników. Ciągle forsują kosztowne i niekorzystne dla przeciętnego obywatela technologie – jak stawianie turbin wiatrowych – które w rzeczywistości powodują spadek liczby miejsc pracy i narastające zubożenie społeczeństw.

W Polsce z pełną siłą wybuchło to przy zawetowanych przez prezydenta ustawach energetycznych, promujących budowę farm wiatrowych oraz na przykład w niszczeniu Lasów Państwowych.

Taka polityka powoduje frustrację i wściekłość wielu grup społecznych, które wkrótce pójdą na wybory. To na nie liczy Jarosław Kaczyński.

eprasa.pl d4691ad3e6

ŚWIAT WEDŁUG WRÓBLA



Co nam zostanie z tych lat?

Jan Wróbel

Niewykluczone, że moje wzruszenie Czytelnikom i Czytelniczkom się nie udzieli. Bo i cóż takiego niezwykłego w artykule umieszczonym w lokalnej prasie 125 lat temu? Pabianicki „Tydzień", rok 1900, pisze o niedawno otwartej, pionierskiej szkole handlowej dla dziewczyn: „Myślano i słusznie, że będzie nadmiar kandydatek, lecz rachuby się nie ziściły, bo widocznie ludziska w Pabianicach są tego przekonania, że dziewczętom nauka niepotrzebna. Ale co myśli okolica i sąsiednie miasteczka [...]? Czy i tam uznają za niepotrzebną oświatę dla kobiet? A może nic nie wiedzą o istnieniu w bliskości takiej szkoły? Bo że dla Łodzi «nie honor» posyłać dzieci do pabianickiej szkoły, to nie dziwota z tej prostej racji, że Pabianice ośmieliły się wyprzedzić na tym punkcie sąsiedniego olbrzyma. A kto wie – może i mieszkańcy Łodzi nie wiedzą, iż w sąsiednich Pabianicach jest tego rodzaju szkoła? Komu leży na sercu dobro jego własnych córek, ten z najdalszego zakątka kraju winien postarać się o pomieszczenie ich w tutejszej szkole handlowej, o ile tylko fundusze jego na to starczą. Stąd bowiem mają wychodzić pracownice, umiejące o własnej sile zarobić na chleb, jeżeli nie zbytkowny, to przynajmniej powszedni".

> Z PIONIERSKIEJ SZKOŁY HANDLOWEJ „MAJĄ WYCHODZIĆ PRACOWNICE UMIEJĄCE O WŁASNEJ SILE ZAROBIĆ NA CHLEB, JEŻELI NIE ZBYTKOWNY, TO PRZYNAJMNIEJ POWSZEDNI".

I pora powiedzieć, co (mnie) wzrusza. Po pierwsze, prasa, normalna, drukowana prasa nieco brudząca palce farbą. Moc pioruna! Mamy problem z rozwojem potrzebnej, niemal wzorowej placówki (do jej męskiego odpowiednika chodzili między innymi bracia Kolbe – i podobno święty Maksymilian pamiętał egzaminy do szkoły jako najtrudniejsze w swoim życiu). Niedobór uczennic powoduje, że budżet szkolny się nie spina? Dawaj, piszemy. Jak gazeta napisze, to coś z tego będzie. Po drugie, jakże wdzięczne wydają się czasy, w których zapaleni społecznicy naprawdę wiedzieli, czego trzeba ludom i ludziom. Główną przeszkodą ich działań były: bierność, źle ukierunkowany konserwatyzm – bohatersko trzeba było nakłaniać ludzi do mycia rąk, używania bielizny, czytania „Trylogii", wreszcie do sportu. Po trzecie, emancypacja mas, w tym emancypacja kobiet, przebiegała z oporami, a skończyła się wygraną. Czyli można. Coś się czasem dobrego utrwali.

Dzisiaj niemała część aktywistów społecznych nie tyle pozycjonuje się (mgliste pojęcie, ale brzmi profesjonalnie) nie tyle jako liderzy społeczni, ile jako reinkarnacja organizacji młodzieżowych w ZSRR. No, dobra, ubierają się lepiej – chociaż zadziwiająco potrafią się w strojach upodabniać, jakby też mieli mundurki. Treść kolejnych objawień klimatycznych, tożsamościowych i pobudzeniowych potrafi być konkurencyjna wobec nauczania przywódców sekt. Prasa? Kto by się ceregielił w zbiorowym wysiłku (gazety nie powstają w samotności!). Siądzie sobie w domu do klawiatury i naprztyka, co zechce.

Naprawdę świat w roku 1900 rajem nie był... A czegoś żal.

eprasa.pl d4691ad3e6

Dziwni idole młodej prawicy



Fot. Wikimedia Commons/© European Union 2020 - Source : EP/ Benoit BOURGEOIS

Jeszcze niedawno stwierdzenie, że przedstawiciele „władzy ludowej" zostaną wskrzeszeni w świadomości młodego pokolenia jako polityczne gwiazdy, brzmiałoby jak scenariusz komedii surrealistycznej. Tymczasem dzieje się to na naszych oczach i – co najgorsze – jest **usprawiedliwiane** przez internetowe autorytety, których słowa znaczą dla młodzieży więcej niż historia walki peerelowskich dysydentów.

Ludwik Pęzioł

Szerokim echem odbiła się kolejna odsłona „piwa z Mentzenem", na którym niemal jak celebryta został przyjęty Leszek Miller. Publiczność (w znacznej części młodzi wyborcy Konfederacji) wiwatowała, gdy Miller mówił o Żydach rządzących światem i zagrożeniu płynącym ze strony ukraińskiej. Dla pokolenia wychowanego w opozycji antykomunistycznej lub choćby pamiętającego czasy quasi-kryminalnych rządów SLD, było to widowisko nie do zniesienia; dla młodych zaś – znakomita zabawa, bo przecież im większe zgorszenie „starych dziadów", tym większa frajda. W efekcie w konfederackich mediach społecznościowych rozlała się wręcz apologia rządów Millera – czasów złotej wolności biznesu, kontrastujących z zamordystycznym reżimem Mateusza Morawieckiego. Wielu obserwatorów przecierało oczy ze zdumienia, ale jeśli spojrzeć szerzej, to wcale nie jest precedens – raczej kolejny etap dłuższego procesu.

eprasa.pl d4691ad3e6

Niepoprawność ponad wszystko

Przyczyn tej osobliwej „rehabilitacji" Millera przez tzw. konserwatywnych liberałów jest kilka. Pierwsza to przekonanie, że był on twórcą najbardziej wolnorynkowych rządów w III RP. Na pierwszy rzut oka istnieją pozory słuszności takich twierdzeń: jego gabinet wprowadził reformę finansów publicznych, zredukował wsparcie społeczne (również dla samotnych matek) i zlikwidował dotacje, np. dla barów mlecznych. Dla mentzenowskiej „prawicy bitcoinowej" to dowód na to, że Miller był politykiem prorynkowym i kryptowolnościowym. W tym obrazie pomija się jednak fakt, że jego rząd słynął z gigantycznej rozbudowy administracji i elefantyzacji prawa (zwanego też „biegunką legislacyjną") – co w oczach prawdziwych libertarian i zwolenników deregulacji powinno być grzechem śmiertelnym.

Drugim powodem jest kwestia poprawności politycznej. Miller – dziś stały komentator telewizyjny – chętnie atakuje „woke" i Ukrainę, dzięki czemu wydaje się antyestablishmentowy, a to zawsze imponuje młodzieży. Młodzi prawicowcy, utożsamiający poprawność polityczną z ideologicznym kagańcem, chętnie przyjmują go więc do grona orędowników sprawy wolnościowej, nie zauważając, że przez większą część życia Miller popierał wszelkie zamordyzmy – w Polsce i za granicą. Na ironię zakrawa fakt, że jeszcze w 2024 roku były premier publicznie opowiadał się za pogłębianiem integracji europejskiej, włącznie z federalizacją UE, co stoi w jawnej sprzeczności z hasłami Konfederacji o suwerenności i podmiotowości Polski. A jednak – jeśli PiS próbuje „bić w Mentzena", przypominając jego spotkania z Millerem, to fani lidera Nowej Nadziei reagują na przekór: bronią Millera, relatywizując jego winy lub twierdząc, że „inni premierzy byli gorsi", w myśl zasady „na złość babci odmrożę sobie uszy". Nie ma sensu mieć o to pretensji do dwudziestolatków, którzy znają Millera głównie z memów i telewizyjnych wypowiedzi. Można jednak oczekiwać większej odpowiedzialności od liderów Konfederacji, którzy w imię doraźnej gry politycznej deformują konserwatywną perspektywę na najnowszą historię polityczną, przez windowanie człowieka, którego życiorys jest zaprzeczeniem ich własnych haseł.

Sukces w kolorze czerwonym

Drugim – obok Millera – symbolem łamania poprawności politycznej stał się Jerzy Urban, który u schyłku życia całkiem nieźle odnalazł się w epoce mediów społecznościowych. W krótkich filmikach i medialnych wypowiedziach prezentował się jako błyskotliwy, złośliwy kontestator. I trzeba przyznać, że inteligencji i ciętego języka mu nie brakowało. Dla młodych jego przeszłość była mało istotna, a im częściej przypominano o jego propagandowej roli w latach 80., tym bardziej traktowali to jak nudną umoralniającą pogadankę. W ich oczach Urban stawał się więc nie „oprawcą z przeszłości", lecz ironicznym komentatorem rzeczywistości, który drwił z „politycznej poprawności" i „świętych krów". Efekt buntu działał tym mocniej, im głośniej starsze pokolenie się oburzało. Nie bez znaczenia było też epatowanie bogactwem. Urban chętnie pokazywał swoją willę, jaguara i występował z cygarem, co dla części młodzieży wychowanej już w realiach kapitalizmu stanowiło dowód jego sukcesu i siły przebicia. W końcu, w narracji współczesnych liberałów, majątek to najlepszy dowód na inteligencję i życiową zaradność, pozwalającą patrzeć z pogardą na rzeszę „leni" i „pasożytów". Niestety, prawica nigdy nie wystawiła przeciw Urbanowi adwersarza o podobnym formacie. Do historii internetowych memów minionej dekady przeszedł program, w którym Urban dosłownie „przechadzał się" po Arturze Zawiszy, wypadającym sztywno, nudno i dużo bardziej „staroświecko" niż Urban, choć to właśnie narodowiec był w tym duecie młodszy o całe pokolenie.

Kolejną postacią wyniesioną na piedestał przez młodą prawicę był Mieczysław Wilczek – minister przemysłu w schyłkowym okresie PRL, autor słynnej „ustawy Wilczka", która wprowadziła zasadę: „Co nie jest zakazane, jest dozwolone". Dla młodych akolitów Janusza Korwin-Mikkego to niemal święty patron wolności gospodarczej w Polsce – twórca

> MILLER – DZIŚ STAŁY KOMENTATOR TELEWIZYJNY – CHĘTNIE ATAKUJE „WOKE" I UKRAINĘ, DZIĘKI CZEMU WYDAJE SIĘ ANTYESTABLISHMENTOWY, A TO ZAWSZE IMPONUJE MŁODZIEŻY.

eprasa.pl d4691ad3e6

„jedynie prawdziwej reformy wolnościowej". Oczywiście w tym obrazie pomija się kluczowy fakt: ustawa Wilczka powstała przede wszystkim po to, aby umożliwić nomenklaturze miękkie lądowanie w nowym ustroju. To dzięki niej partyjni dyrektorzy i oficerowie służb mogli gromadzić prywatne fortuny i zmieniać Polskę w swój prowadzony z ukrycia folwark. W III RP to oni mieli lepszy punkt startowy i znacznie większe możliwości rozwoju niż zwykli obywatele. Dla młodych libertarian te „szczegóły" są niewygodne – bo podważają ich narrację o cudownej sile leseferyzmu, który miał być panaceum na wszystkie problemy świata. W tej wizji wolny rynek jawi się jako neutralna, sprawiedliwa siła, a nie jako narzędzie w rękach ludzi, którzy już w 1989 roku mieli przewagę polityczną i kapitałową.

Noc żywych trupów

Nie tylko „prawica wolnościowa" kształtuje wyobraźnię młodych. Swoje pięć minut mają także pogrobowcy tzw. endokomuny, dla których obecna sytuacja polityczna okazała się nowym „okienkiem możliwości". Wzmożona niechęć do Żydów do zachodniej inżynierii kulturowej i globalnej homogenizacji (tzw. globohomo) sprawiła, że część młodych zaczęła się zastanawiać, czy aby na pewno rosyjska strefa wpływów jest czymś gorszym od Zachodu. Może – jak twierdzą – to tylko „dogmatyczne uprzedzenia", „smęcenie starców ze styropianu" i rusofobiczny „instynkt stadny"? Ta mieszanka – niechęć do Zachodu (zwłaszcza USA), fiksum dyrdum na punkcie Żydów, sceptycyzm wobec współczesnego Kościoła katolickiego połączony z narodowym radykalizmem – znajduje dziś ujście w fascynacji postaciami takimi jak Bolesław Piasecki, Mieczysław Moczar czy Władysław Gomułka. Renesans ich popularności wśród młodej prawicy opiera się na powierzchownych podobieństwach ideowych, wypreparowanych z kontekstu epoki i sprowadzonych do prostego wskazywania wrogów.

Problem w tym, że żaden z młodych admiratorów tych postaci nie chciałby żyć w czasach, gdy panowie ci święcili triumfy. I to nie tylko z powodu braku smartfonów i Netfliksa. Współtworzona przez nich epoka była światem szarości, ideologicznej uniformizacji i wojskowo-pracowniczego drylu, który próbował zdławić każdą odmienność. Jeśli dziś przeraża nas globalna homogenizacja kulturowa – co jest zrozumiałe – to realny socjalizm Gomułki czy Bieruta był jeszcze bardziej duszny i jednolity. Tam kreatywność i wszelkie przejawy niepoprawnej spontaniczności były nie tylko ograniczane, ale karane surowiej niż ban na platformach społecznościowych czy groźby pozwu za „mowę nienawiści".

Nie da się jednak ukryć, że biografie Piaseckiego, Moczara i Gomułki mają w sobie pewien magnetyzm. Ich życiorysy są dramatyczne, pełne zwrotów akcji, a to zawsze przyciąga uwagę. To zresztą mechanizm podobny do fascynacji mrocznymi postaciami kontrkultury – Charlesem Mansonem czy Jimem Jonesem. Nuda jest największym wrogiem młodej wyobraźni, a ci ludzie – jakkolwiek straszne były ich czyny – na pewno nie byli stereotypowi. Nic więc dziwnego, że kiedy publicystyczny „belfer" z poważną miną tłumaczy, dlaczego „czerwone zombie" powinni budzić odrazę, przegrywa w pojedynku na oryginalność.

Kult peerelowskich idoli – będących ucieleśnieniem lokajstwa wobec Moskwy, prymitywnego zamordyzmu i „czerwonej burżuazji"– są zjawiskiem groźnym, bo wprowadzającym chaos do doktryny prawicowej i konserwatywnej. Jest to reakcja na poprawność polityczną, ale reakcja wyjątkowo nietrafna, bo sięgająca po coś jeszcze gorszego niż samo zjawisko, z którym się walczy. Dopóki ten kult będzie skutecznym narzędziem do prowokowania starszego pokolenia i wywoływania oburzenia, dopóty będzie wciąż odtwarzany i powielany.

> DOPÓKI KULT IDOLI PRL-u BĘDZIE SKUTECZNYM NARZĘDZIEM DO PROWOKOWANIA STARSZEGO POKOLENIA, DOPÓTY BĘDZIE WCIĄŻ ODTWARZANY I POWIELANY.

Rekomendacja w leczeniu tej choroby, może być jedna: potraktowanie jej poważnie, ale ze stoickim spokojem – bez moralnej piany na ustach, której oczekuje młody ideologiczny „prankster". Najlepiej mogą to zrobić nieszablonowi popularyzatorzy historii najnowszej, którzy nie zanudzą odbiorcy, ale pokażą, że PRL nie był ani romantycznym snem o silnym państwie, ani krainą pełnej suwerenności, lecz światem, który odbierał ludziom nie tylko wolność polityczną, ale i zwykłą radość życia.

eprasa.pl d4691ad3e6

Sprzedawcy na pierwszej linii profilaktyki

Jak szkolenie z odpowiedzialnej sprzedaży wpływa na dostępność alkoholu dla nieletnich?

Jednym z ważnych elementów działań profilaktycznych jest uniemożliwienie zakupu alkoholu osobom niepełnoletnim i tym z grup ryzyka. **Wsparciem** dla sprzedawców są szkolenia z odpowiedzialnej sprzedaży alkoholu, takie jak „Zostań OSA – Odpowiedzialnym Sprzedawcą Alkoholu!". Dzięki nim sprzedawcy zyskują umiejętność asertywnego odmawiania sprzedaży alkoholu.

W debacie o profilaktyce uzależnień coraz częściej podkreśla się, że kluczowym elementem jest ograniczenie dostępu do alkoholu dla tych osób, które ponoszą największe szkody z powodu jego używania, przede wszystkim młodzieży. Udostępnienie napoju alkoholowego osobie niepełnoletniej jest nie tylko niemoralne i niepedagogiczne, ale pociąga też za sobą konsekwencje prawne (art. 208 kk: „Kto rozpija małoletniego, dostarczając mu napoju alkoholowego, ułatwiając jego spożycie lub nakłaniając go do spożycia takiego napoju, podlega grzywnie, karze ograniczenia wolności albo pozbawienia wolności do lat 2"), naraża młodego człowieka na szkody zdrowotne (fizyczne i psychiczne) oraz społeczne. Mając świadomość tych zagrożeń, autorzy programu „W rodzinie siła!" („Solidarność" Przemysłu Spożywczego) ujęli w Dekalogu Odpowiedzialnego Rodzica punkt: „Nie pozwalam na sprzedaż i picie alkoholu przez niepełnoletnich".

Eksperci podkreślają, że skuteczna profilaktyka wymaga konsekwentnej współpracy wszystkich stron – rodziców, nauczycieli, instytucji publicznych i sprzedawców. Ci ostatni mają realny wpływ na codzienną dostępność alkoholu. To oni decydują, czy niepełnoletni klient wyjdzie ze sklepu z butelką alkoholu, czy usłyszy stanowcze: „Nie".

– Identyfikacja wieku klienta może rodzić trudności, nie każdemu asertywna, stanowcza odmowa przychodzi łatwo, nie wszyscy sprzedawcy zdają sobie sprawę z konsekwencji sprzedaży alkoholu osobom niepełnoletnim. Z myślą o nich przygotowaliśmy szkolenie „Zostań OSA!" – deklaruje Bartłomiej Morzycki, dyrektor generalny Związku Pracodawców Przemysłu Piwowarskiego Browary Polskie.

Uczestnicy szkoleń takich jak „Zostań OSA!" zyskują umiejętność asertywnego odmawiania sprzedaży alkoholu nieletnim, zapoznają się z technikami proszenia o okazanie dowodu tożsamości, podnoszą poziom kompetencji interpersonalnych i – co najważniejsze – stają się świadomymi uczestnikami i koalicjantami profilaktyki uzależnień. Jeśli szkolenie jest skuteczne, po jego przejściu uczestnik nie ma wątpliwości przy podejmowaniu decyzji o niesprzedawaniu i niepodawaniu napojów alkoholowych osobom niepełnoletnim.

Szkolenie „Zostań OSA – Odpowiedzialnym Sprzedawcą Alkoholu!" przygotowane przez Związek Pracodawców Przemysłu Piwowarskiego dostępne jest bezpłatnie na stronie www.odpowiedzialnysprzedawca.pl. Ukończenie go zajmuje kilkanaście minut. Po zapoznaniu się z materiałem i odpowiedzeniu na sześć pytań podsumowujących uczestnik otrzymuje certyfikat Odpowiedzialnego Sprzedawcy, czyli takiego, który zna konsekwencje związane ze sprzedażą lub podawaniem alkoholu nieletniemu, wie, na jakie przepisy powołać się, odmawiając sprzedaży alkoholu młodo wyglądającej osobie, oraz rozumie, jak duże znaczenie dla zdrowia i życia młodego człowieka może mieć taka odmowa. Od momentu uruchomienia pierwszej edycji szkolenia „Zostań OSA!" w 2015 r. skorzystało z niego ponad 50 tys. pracowników handlu i gastronomii.

– Od lat prowadzimy działania, których celem jest zapobieganie sprzedaży alkoholu osobom poniżej 18. roku życia. Zaowocowały one wyraźną zmianą podejścia Polaków do zjawiska sprzedaży alkoholu niepełnoletnim. Zmniejszyło się przyzwolenie społeczne na takie postępowanie przy jednoczesnym zwiększeniu świadomości zagrożeń wynikających z picia alkoholu przez młodzież – mówi Bartłomiej Morzycki.

Artykuł powstał we współpracy ze Związkiem Pracodawców Przemysłu Piwowarskiego w Polsce – Browary Polskie.

eprasa.pl d4691ad3e6

Po co komu Nowa Lewica?

Pytanie o polityczny **sens istnienia** to najważniejsze pytanie, jakie musi postawić sobie zarówno każdy polityk, jak i każda formacja polityczna. Będą musieli odpowiedzieć na nie politycy Nowej Lewicy w ciągu najbliższych miesięcy, które dzielą nas od wyborów nowego przewodniczącego tego ugrupowania.

Marek Nowak

W jednym z najlepszych odcinków brytyjskiego serialu science fiction pt. „Black Mirror" niedoszły komik i życiowy rozbitek Jamie Salter (w tej roli Daniel Rigby), podkładający głos animowanemu błękitnemu misiowi o imieniu Waldo, zostaje nieoczekiwanie wciągnięty w wir polityki. Szefostwo telewizji decyduje, że Waldo będzie kandydował w wyborach. Ostatecznie kampania błękitnego misia polega na pozbawionych politycznej treści atakach na rywali. W jednej ze scen reprezentująca Partię Pracy polityczka wykrzykuje w kierunku Saltera: „Zrozumiałabym, gdybyś był rewolucjonistą, ale nie jesteś. Jakie wartości reprezentujesz? Kim jesteś? Po co jesteś?". Bez opowieści o wspólnocie, jaką chcemy tworzyć, nie ma polityki. Infotainment, nawet bardzo zabawny, nie jest polityką, a modna jeszcze kilka lat temu postpolityka jest jedynie polityczną atrapą. Wspomniany odcinek „Black Mirror" oraz refleksje na temat najgorszych cech postpolityki przywołała w mojej pamięci niedawna afera związana z wpisem zamieszczonym na portalu X autorstwa Roberta Biedronia. Jeden z liderów Nowej Lewicy zamieścił tam zdjęcie przedstawiające Donalda Trumpa i Karola Nawrockiego oglądających przelot myśliwców nad Białym Domem. Jak wyjaśnił amerykański prezydent, pokaz miał być uhonorowaniem majora Macieja Krakowiana, pilota F-16, który zginął niedawno w czasie pokazu lotniczego w Radomiu. Biedroń okrasił udostępnione zdjęcie komentarzem: „« Szon patrol » na posterunku...". Polityk lewicy nawiązał w ten sposób do tzw. szon patroli, czyli zjawiska przemocy rówieśniczej polegającego na zakładaniu przez grupy nastolatków specjalnych kamizelek i „patrolowaniu" otoczenia w poszukiwaniu rzekomo



eprasa.pl d4691ad3e6

niewłaściwie ubranych dziewczyn, które mogliby sfotografować, a następnie umieścić to zdjęcie w sieci, narażając swoje ofiary na internetowy hejt. Samo umieszczenie takiego wpisu w afirmatywnym kontekście przez podobno walczącego z hejtem polityka to już duży skandal. Jednak to, że za cel zostali wybrani prezydenci oddający cześć polskiemu pilotowi wojskowemu, to już zupełnie inny wymiar obrzydliwości. Ostatecznie Biedroń wpis usunął i za niego przeprosił, co warto odnotować. Zanim to jednak zrobił, do sprawy odniósł się dziennikarz i właściciel Kanału Zero Krzysztof Stanowski. Na portalu X zamieścił wpis z następującymi pytaniami: „Po co Robert Biedroń istnieje w polskiej polityce? Czego dokonał? Co zmienił? Kto w nim pokłada nadzieje? Co by się w polskiej polityce zmieniło, gdyby Robert Biedroń nigdy się nie urodził?". Wszystkie te kwestie można by sprowadzić do jednego wspólnego mianownika – pytania o sens politycznego istnienia. Zresztą podobnej treści pytania otrzymał również bohater przywoływanego już w tym tekście odcinka „Black Mirror". Problem również wydaje się podobny. Napędzana liberalnym populizmem Wiosna Roberta Biedronia była formacją wręcz przesiąkniętą postpolityką. Dotyczy to również poprzedniej partii, do której należał Biedroń, czyli Ruchu Palikota. Dla jednego z liderów Nowej Lewicy postpolityka zdaje się być jedynym zrozumiałym kodem uprawiania polityki. Pytanie, czy tego typu polityk jest najlepszym materiałem na lidera, wydaje się retoryczne. Jednak problemy Nowej Lewicy to nie tylko kwestia politycznego przywództwa. Główny problem tej formacji odsyła nas ponownie do błękitnego misia Woldo, a mianowicie do tego, po co taki twór istnieje na scenie politycznej?



Fot. Jacek Szydłowski / Forum

DOTYCHCZASOWY DOROBEK LEWICY W TEJ KOALICJI JEST MNIEJ NIŻ MARNY.

Po co Nowa Lewica jest w rządzie?

Komentując niedawną rekonstrukcję rządu, wicepremier i minister cyfryzacji z Nowej Lewicy Krzysztof Gawkowski napisał na portalu X: „Nowy Gabinet! Podobne wyzwania! Idziemy do przodu, wskazując jasny kierunek. Porządek-Bezpieczeństwo-Przyszłość. Lewica w rządzie to odpowiedzialność, determinacja w działaniu i gwarancja rozsądku. Jesteśmy zadowoleni z rekonstrukcji i ruszamy do pracy z nową siłą! Koniec z emocjami i koalicyjnymi waśniami. Polska jest najważniejsza". Odrzucając na bok polityczne pustosłowia, warto poszukać tu treści. Jeśli – jak twierdzi Gawkowski – nowym kierunkiem działań rządu jest teraz porządek i bezpieczeństwo, to powinno to oznaczać dowartościowanie tzw. resortów siłowych. Z tym że Lewica nie odpowiada za żaden z nich, stąd jej wpływ na nowy kierunek działań rządu zdaje się być marginalny. No, ale za coś Lewica w końcu odpowiada i wśród tych obszarów jest tak ważna kwestia jak polityka społeczna. Czy zatem Nowa Lewica nie powinna pełnić w rządzie roli gwaranta jej realizacji w duchu rozwiązań lewicowych i prospołecznych? Jak widać, taka optyka wykracza daleko poza pole widzenia wicepremiera Gawkowskiego. Zgodnie z treścią jego wpisu Lewica w rządzie to nie żadne prospołeczne działania, lecz „odpowiedzialność, determinacja w działaniu i gwarancja rozsądku". Co konkretnie to oznacza?

Spór o miejsce w historii

W książce „My" Teresy Torańskiej w rozmowie z autorką Jan Rulewski stwierdził, że cała polska polityka to jedynie „mecz o miejsce w historii". Nie ma żadnej alternatywy dla reform oraz ich kierunku. Wszystkie bez wyjątku, nawet jeśli są trudne i społecznie bolesne, są absolutnie konieczne do przeprowadzenia. Ktokolwiek rządzi, niezależnie od tego, z jakimi szedł hasłami, musi więc

eprasa.pl d4691ad3e6

te reformy kontynuować, a jedyną niewiadomą w polityce jest to, kto ostatecznie zostanie skojarzony z historycznym sukcesem tych reform. Ta, przyznajmy to, cokolwiek obłąkana logika w dużej mierze do dziś cechuje znaczną część polskiej klasy politycznej – zarówno z jej postsolidarnościowej, jak i postkomunistycznej strony. SLD-owska lewica w swoich najlepszych czasach próbowała łagodzić i nieco cywilizować brutalność balcerowiczowskiej „terapii szokowej", lecz nigdy nie kwestionowała jej kierunku. Przeświadczenie o jego bezalternatywności było tam równie silne, jak wśród ich politycznych rywali. Z czasem postkomunistyczna lewica zaczęła ewoluować z roli obrońcy przed najbrutalniejszymi aspektami transformacji w kierunku nowej roli – prymusa transformacji. Niegdyś ważny dla całej formacji modernizacyjno-socjalistyczny język epoki Gierka był stopniowo wypierany przez nadęty, „propaństwowy" język charakterystyczny dla ery wojskowej dyktatury Wojciecha Jaruzelskiego. Lewica nie była już prospołeczna, a stała się „rozsądna" i „odpowiedzialna", co w dużej mierze oznaczało pilnowanie, by Polska nie zboczyła z „jedynie słusznej" ścieżki rozwoju. Wszelkie uwagi dotyczące tego, że przyjęty imitacyjny model modernizacji prowadzi do peryferyzacji własnej gospodarki, co nigdy nie pozwoli na wykorzystanie własnego potencjału, traktowano jako rodzaj świeckiego świętokradztwa. W końcu droga do „miejsca w historii" jest tylko jedna. Myśli tak również o niej Włodzimierz Czarzasty, drugi z przewodniczących i faktyczny lider Nowej Lewicy.

CZARZASTY ZDOŁAŁ DOKONAĆ ZMARTWYCHWSTANIA SLD. WPROWADZIŁ LEWICĘ Z POWROTEM DO SEJMU, CZYM Z PEWNOŚCIĄ UTARŁ NOSA WIELU DAWNYM KOLEGOM ZE „ŚREDNIO-STARSZEGO POKOLENIA LEWICY".

SPOLEGLIWOŚĆ I NATYCHMIASTOWA GOTOWOŚĆ DO USTĘPSTW PRZEDSTAWICIELI FORMACJI CZARZASTEGO I BIEDRONIA JEST WRĘCZ UDERZAJĄCA.

Spuścizna Czarzastego

Jeśli chcemy lepiej zrozumieć Włodzimierza Czarzastego, to warto przeprowadzić analizę polityczno-biograficzną tego polityka. Myślę, że to jedyna sensowna metoda zrozumienia polityki na poziomie indywidualnych aktorów. Czarzasty jest ze złotego pokolenia SLD, z tym że w odróżnieniu od swoich kolegów zawsze był na drugim planie. Kwaśniewski, Miller, Oleksy i Cimoszewicz to cudowne dzieci partii, które wpisały się w historię III RP. Czarzasty jest w podobnym wieku i choć z pewnością nie czuje się głupszy od wyżej wymienionych liderów, to jego polityczna biografia nie jest tak imponująca. Dostał SLD w formie masy upadłościowej, w momencie, kiedy wielu dawnych prominentnych działaczy tej formacji postawiło już na niej krzyżyk i spokojnie rozwijało swoje kariery w PO (tacy politycy jak Dariusz Rosati, Marek Borowski, Bartosz Arłukowicz, Danuta Hübner itd.) Parafrazując Szekspira, ta SLD-owska czaszka miała już nie przemówić. Tymczasem Czarzasty zdołał dokonać zmartwychwstania SLD. Wprowadził lewicę z powrotem do Sejmu, czym z pewnością utarł nosa wielu dawnym kolegom ze „średnio-starszego pokolenia lewicy". Jeśli pod koniec swojej politycznej kariery zostanie marszałkiem Sejmu wspierającym „rząd ocalenia narodowego przed PiS", to utrze im go kolejny raz. Przede wszystkim też udowodni swojemu środowisku politycznemu, w tym tej jego części, która jawnie Czarzastym pogardzała, że zasługuje on na podobne miejsce w historii jak inni prominentni przedstawiciele tego pokolenia postkomunistycznej lewicy. To dość zrozumiałe. Każdy

eprasa.pl d4691ad3e6

dojrzały polityk walczy po pierwsze o swoją spuściznę, a o inne rzeczy w dalszej kolejności. Dla Czarzastego horyzonty tej spuścizny to horyzonty jego własnych ambicji i kompleksów. Zresztą pełna polityczna osmoza z obozem liberalnym zdają się być wymarzonym scenariuszem nie tylko dla lidera Nowej Lewicy, lecz także dla wielu prominentnych polityków tego ugrupowania. Jeśli posłucha się wypowiedzi posła Tomasza Treli czy też przywoływanego już wicepremiera Gawkowskiego, to oni już dzisiaj brzmią jak politycy PO. Czy jednak roztopienie się w liberalnym mainstreamie jest również szczytem politycznych aspiracji dla wicemarszałkini Senatu Magdaleny Biejat i ministry rodziny, pracy i polityki społecznej Agnieszki Dziemianowicz-Bąk? Tu ciągle można mieć pewne wątpliwości.

Czy jest możliwa zmiana polityki?

Z pewnością zarówno Biejat, jak i Dziemianowicz-Bąk wyróżniają się na plus na tle swoich, w większości bezbarwnych i bezideowych kolegów. Przede wszystkim patrząc na te polityczki, widzi się osoby, którym jeszcze coś się chce. Pytanie tylko, czy same chęci tu wystarczą? Biorąc pod uwagę dotychczasową praktykę funkcjonowania obecnej koalicji, trudno o optymizm w tej sprawie. Dotychczasowy dorobek lewicy w tej koalicji jest mniej niż marny. Ogryzkowa renta wdowia w wysokości 15 proc. świadczenia partnera, podczas gdy podpisy obywateli były zbierane pod wnioskiem ze stawką 50 proc. Wigilia wolna od pracy kosztem dodatkowej pracy dla i tak przepracowanych w tym okresie pracowników handlu, głównie kobiet. „Babciowe", czyli bezsensownie pomyślany transfer publicznych pieniędzy do horrendalnie drożejących żłobków oraz wymuszanie pracy od steranych życiem seniorów. Każdą z tych rzeczy politycy Nowej Lewicy przedstawiają jako swój sukces. Tymczasem powinny to być raczej powody do wstydu. Spolegliwość i natychmiastowa gotowość do ustępstw przedstawicieli formacji Czarzastego i Biedronia jest wręcz uderzająca. O tym, że to, mówiąc eufemistycznie, nie najlepsza polityczna strategia, pokazuje stopniowo topniejące poparcie społeczne, spadające w każdych kolejnych wyborach. Tu dochodzimy do najważniejszej kwestii. Koniecznym warunkiem dla istnienia w polityce jest istnienie „po coś". Nawet jeśli ta część lewicy myśli o sobie jako o jednym z politycznych komponentów obecnego mainstreamu, to i tak musi być w stanie realnie reprezentować jakieś społeczne interesy, a co za tym idzie – jeśli przyjdzie taka konieczność – twardo o nie walczyć. Tego ostatniego Nowa Lewica nie potrafi i nawet nie próbuje się nauczyć. Dla niej zadowolenie mainstreamu jest ważniejsze od grup społecznych, które – przynajmniej w teorii – chce reprezentować. Jeśli politycy i polityczki Nowej Lewicy, takie jak Magdalena Biejat i Agnieszka Dziemianowicz-Bąk, widzą w sobie kogoś na kształt reformatorów obecnego systemu, kogoś, kto przesunie go w kierunku bardziej lewicowym i prospołecznym, to powinni już wiedzieć, że obecny model funkcjonowania w koalicji daje gwarancję, że to się nie uda. Wybory na przewodniczącego Nowej Lewicy odbędą się 14 grudnia. Czy w partii znajdzie się reformator lub reformatorka, która rzuci wyzwanie aktualnemu kierownictwu? Czy może wszyscy pogodzą się z tym, iż ta formacja istnieje jedynie po to, by reprezentować polityczne kariery swoich działaczy? Przywoływany już w tym tekście Jamie Salter – bohater jednego z odcinków „Black Mirror" – gdy w końcu dotarło do niego, że nie jest żadnym buntownikiem ani wyśmiewającym cynizm polityków anarchistycznym rebeliantem, tylko wykorzystywanym przez system bezpiecznikiem kanalizującym wszelkie niezadowolenie, podjął desperacką próbę, by wpłynąć na społeczeństwo. „Nie głosujące na mnie, już nawet oddanie głosu nieważnego jest więcej warte" – krzyczał w jednej ze scen. Jeśli Nowa Lewica dalej będzie trwać w obecnym paradygmacie uprawiania polityki, to ci jej przedstawiciele, którzy będą chcieli zachować choć cień własnej lewicowej godności, będą musieli krzyczeć to samo.

JEŚLI POLITYCY I POLITYCZKI NOWEJ LEWICY WIDZĄ W SOBIE KOGOŚ NA KSZTAŁT REFORMATORÓW OBECNEGO SYSTEMU, TO POWINNI JUŻ WIEDZIEĆ, ŻE OBECNY MODEL FUNKCJONOWANIA W KOALICJI DAJE GWARANCJĘ, ŻE TO SIĘ NIE UDA.

eprasa.pl d4691ad3e6

ŚWIAT WEDŁUG KRASNODĘBSKIEGO



Polityka – bardzo ważna, ale nie przesadzajmy

Zdzisław Krasnodębski

W tym roku mija 50. rocznica śmierci Hannah Arendt, która znana jest przede wszystkim ze swoich analiz totalitaryzmu. Po 1989 roku pojęcie totalitaryzmu „rozkwitło" na chwilę zarówno w języku potocznym, jak i w badaniach akademickich. Również w kręgach lewicowych zamiast mówić i pisać o faszyzmie, który przeciwstawiono dobremu komunizmowi czy socjalizmowi, sięgnięto po to określenie. Szukając nowych patronów intelektualnych, którzy mieli zastąpić Marksa (a także Mao i Marcuse'ego), część lewicy zaczęła interesować się myślą Arendt. Wkrótce stała się ona nowym punktem odniesienia jako intelektualistka, odrzucając nie tylko narodowy socjalizm, ale i komunizmu, i traktując je jako warianty tego samego, złowrogiego zjawiska. W Bremie środowisko związane głównie z partią Zielonych ustanowiło nagrodę jej imienia (Hannah Arendt Preis).

Dzisiaj Arendt to w powszechnej opinii wielki filozof polityki, ikona, nowa patronka lewicy, zwłaszcza niemieckiej. Jako myśliciel-kobieta, jako Żydówka, prześladowana przez reżim Hitlera, jako twórczyni teorii totalitaryzmu. Jej nowa biografia była bestsellerem w Niemczech.

Natomiast w Polsce zainteresowanie Arendt osłabło. Z upadku komunizmu wyciągnięto wniosek, że jedyną możliwą opcją polityczną i intelektualną jest liberalizm. Arendt przestała być interesująca. Jej koncepcja polityki bardziej pasowała do czasów „solidarnościowych" niż do III RP, choć nadal ukazywały się interesujące książki jej poświęcone, między innymi Piotra Nowaka, ale bez szerszego oddziaływania na dyskurs polityczny. Czy obecnie, pięćdziesiąt lat po jej śmierci, rzeczywiście warto sięgać do tekstów Arendt, by lepiej zrozumieć procesy polityczne?

Otóż znaczenie Arendt wykracza daleko poza jej analizy źródeł totalitaryzmu oraz relację z procesu Eichmanna, które uczyniły ją znaną szerszej publiczności. Jak mało kto przyczyniła się, by także filozofia doceniła politykę jako centralny element ludzkiej kondycji. Jej zdaniem filozofia polityczna od czasów Platona przesłoniła i zdeformowała pierwotne doświadczenie polityczności, którym była grecka polis.

Arendt stale przypominała, że to nie człowiek jest istotą polityczną. Istotami politycznymi są ludzie. Polityka tworzy się pomiędzy nimi, wypływa z ich wielości, nie z samotnej aktywności, a tym bardziej z myślenia jednostki. „Ludzka wielość – zaznaczona w słowach Księgi Rodzaju, które nie mówią, że Bóg stworzył człowieka, lecz że «stworzył ich mężczyzną i niewiastą» – konstytuuje dziedzinę polityczną".

> WEDŁUG ARENDT POLITYKA TWORZY SIĘ POMIĘDZY LUDŹMI, WYPŁYWA Z ICH WIELOŚCI, NIE Z SAMOTNEJ AKTYWNOŚCI, A TYM BARDZIEJ Z MYŚLENIA JEDNOSTKI.

Sensem polityki jest wolność: „Odpowiedź na pytanie o sens polityki jest tak prosta i konkluzywna, że można by pomyśleć, że wszystkie inne odpowiedzi są całkowicie chybione. Odpowiedź ta brzmi: sensem polityki jest wolność".

eprasa.pl d4691ad3e6

Wolność nie jest wewnętrznym doświadczeniem, oderwaniem się od świata, wyzwoleniem się od ludzi. Arendt odrzuca ideę wolności wewnętrznej, jest sceptyczna wobec pojęcia woli. Nie można być wolnym w samotności: „Jednostka w swej izolacji nigdy nie jest wolna. Może stać się wolna dopiero wtedy, gdy wkroczy w obszar polis i podejmie tam działanie". Człowiek ujawnia, kim jest w sferze politycznej, w sferze publicznej. Polityka to rozpoczynanie od nowa, a każdy człowiek przez swoje urodzenie wnosi coś nowego do świata. Każde narodziny to pojawienia się nowej osoby zdolnej do działania i rozpoczęcia czegoś nowego.

Polityka to także sfera równości. Równość polityczna jest jednak czymś innym niż równość ludzi przed Bogiem lub równość społeczna: „Równość republikańska nie jest tym samym co równość wszystkich ludzi przed Bogiem czy też jednaki los wszystkich ludzi wobec śmierci (ani jedno, ani drugie nie wiąże się bezpośrednio z polityką i nie ma dla niej znaczenia). Wszak status obywatela opierał się niegdyś na równości w warunkach niewolnictwa i na powszechnym w starożytności przeświadczeniu, że nie wszyscy ludzie są równie ludzcy. Z kolei Kościoły chrześcijańskie przez całe wieki pozostawały obojętne na sprawę niewolnictwa, głosząc jednocześnie naukę o równości wszystkich ludzi przed Bogiem".

Sfera polityczna jednak tylko wtedy pozostaje sferą wolności, gdy jest ograniczona. Po pierwsze – ograniczona terytorialnie. „Bycie obywatelem oznacza między innymi bycie odpowiedzialnym, posiadanie obowiązków i praw. Mają one sens tylko wtedy, gdy są ograniczone terytorialnie".

Dlatego Arendt odrzucała mrzonki o światowym rządzie. Rząd światowy byłby „despotyzmem na ogromną skalę, w którym przepaść dzieląca rządzących od rządzonych będzie tak olbrzymia, że nie będzie już możliwy żaden bunt, nie mówiąc o jakiejkolwiek formie kontroli rządzonych nad rządzącymi. Fakt, że w owym rządzie światowym nie da się wskazać żadnej jednostki – żadnego despoty jako takiego – nie zmienia jego despotycznego charakteru. Biurokratyczne rządy, anonimowa władza biurokraty nie mają mniej despotycznego charakteru tylko dlatego, że są bezosobowe. Przeciwnie, jest to jeszcze straszniejsze, skoro bowiem nie ma tam żadnej osoby, nie ma też do kogo się zwracać ani z kim rozmawiać".

Po drugie, ograniczenie tematyczne. Tylko pewne kwestie spraw stawały się przedmiotem politycznych działań. Arendt zawsze ostro oddziela sferę tego, co społeczne, od tego, co polityczne, co budziło wątpliwości i kontrowersje.

Granice polityki wyznaczała także prawda. W polityce ścierają się poglądy i opinie, prawda (w przeciwieństwie do kłamstwa, które jest polityczne) jest poza nią, jest jej granicą:

„Cała ta sfera, pomimo swojej wielkości, jest ograniczona – nie obejmuje całej egzystencji człowieka i świata. Jest ograniczona przez to, czego ludzie nie mogą zmienić według własnej woli. I tylko poprzez poszanowanie własnych granic ta sfera, w której możemy swobodnie działać i wprowadzać zmiany, może pozostać nienaruszona, zachowując swoją integralność i dotrzymując obietnic. W sensie koncepcyjnym prawdą możemy nazwać to, co nie może ulec zmianie; w sensie metaforycznym jest to ziemia, na której stoimy, i niebo, które rozciąga się nad nami".

Po trzecie, polityka nie obejmuje także całego życia człowieka, jest tylko jedną z form vita activa, obok pracy (labor) i wytwarzania (work), poza jej obrębem są wszystkie formy vita contemplativa, myślenie i wiara religijna. Arendt podkreślała znaczenie samotności: „tam, gdzie człowiek nie ma zapewnionej choćby odrobiny bycia z samym sobą, zanika sumienie, nie tylko w sensie świeckim, ale i we wszelkich religijnych odmianach. Nie można zachować sumienia, jeśli nie ma się szansy na prowadzenie dialogu z samym sobą, to znaczy, jeśli jest się pozbawionym samotności, nieodzownej dla wszelkich form myślenia".

Nasze zgiełkliwe, natrętne i ekspansywne życie polityczne byłoby może nieco lepsze, gdybyśmy pamiętali, że polityka to nie (a przynajmniej nie tylko) władza w sensie panowania nad innymi oraz walka o materialne interesy, lecz sfera, w której jako obywatele realizujemy swoją wolność. A także, że musi być ograniczona, aby sferą wolności pozostała – nie wszystko jest i powinno być polityką. Niestety zbyt często o tym zapominamy. I choćby dlatego warto czytać Arendt.

ZDANIEM ARENDT POLITYKA TO SFERA, W KTÓREJ JAKO OBYWATELE REALIZUJEMY SWOJĄ WOLNOŚĆ. MUSI BYĆ JEDNAK OGRANICZONA, ABY SFERĄ WOLNOŚCI POZOSTAŁA.

eprasa.pl d4691ad3e6

Wydmuszka lub horror BEZ KOŃCA

Jak Władimir Putin planuje zakończyć wojnę? – zastanawia się Zachód. To zastanawianie się zawiera pewne **niewypowiedziane, ale fundamentalne założenie**, dla ludzi Zachodu zupełnie oczywiste. To założenie, że Putin w ogóle planuje zakończyć wojnę. Dlaczego? Bo przecież jest ona dla Putina niekomfortowa, bo dla każdego jest niekomfortowa.

Piotr Skwieciński



Fot. Jeenah Moon / Reuters / Forum

eprasa.pl d4691ad3e6

I dlatego, że wojna jest nienaturalna. I jeszcze dlatego, że trwa już przeszło trzy i pół roku. Dla ludzi Zachodu, ukształtowanych przez kulturę natychmiastowej realizacji pragnień, tak długi okres, w którym dzieje się coś dla nich przykrego – to niemal wieczność. Ludzie Zachodu nie słuchają Putina.

Rozbroić się mentalnie

Maxim Katz, rosyjski emigracyjny dziennikarz, zwrócił ostatnio uwagę na fundamentalny fakt. Mianowicie na to, że od samego początku wojny aż do teraz Putin nie powiedział absolutnie nic, co mogłoby potwierdzić tezę, jakoby szukał drogi wyjścia z tej sytuacji. Odwrotnie – od 24 lutego 2022 r. cały czas powtarza to samo.

Najogólniej rzecz biorąc, i on sam, i jego współpracownicy mówią, że pokój jest możliwy jedynie poprzez „likwidację pierwotnych przyczyn wojny". „Pierwotną przyczyną wojny" zaś jest dla nich, pomimo wszelkich ozdobników, realna niezależność Ukrainy od Rosji. Do jej likwidacji sprowadzają się te (wymieniane ostatnio parokrotnie m.in. przez ministra Ławrowa) warunki – poza oddaniem Moskwie terenów obecnie okupowanych oraz niezajętej przez Rosjan ufortyfikowanej resztki Donbasu; nikt nie wycofał się też z aktu uznania za przynależne do Rosji Chersonia i Zaporoża, przywrócenie praw języka rosyjskiego (czyli rozpoczęcie procesu językowej i kulturowej rerusyfikacji) i podporządkowanego Patriarchatowi Moskiewskiemu odłamu Cerkwi. Także rezygnacja ze wspierania armii ukraińskiej przez Zachód.

Ale żądania idą dalej. Według Ławrowa „konieczne jest wyeliminowanie zagrożeń dla bezpieczeństwa Rosji, które pojawiły się wskutek rozszerzenia NATO oraz prób wciągnięcia Ukrainy do tego sojuszu". Czyli zagrożeniem dla Rosji jest nie tylko perspektywa członkostwa Ukrainy w Sojuszu, ale też samo jego wcześniejsze rozszerzenie na wschód. Oznaczałoby to zapewne, w myśl żądań Kremla skierowanych do USA i NATO w grudniu 2021 r., co najmniej wycofanie sił i infrastruktury Sojuszu z krajów, które wstąpiły doń w i po 1997 r., w tym z Polski. Co, rzecz jasna, radykalnie obniżałoby poziom bezpieczeństwa wschodnich członków UE i stworzyło warunki do szantażowania ich przez Rosjan.

Inny wysoko postawiony dyplomata, zastępca dyrektora generalnego agencji Rossija Siegodnia, członek prezydium Rady Naukowo-Eksperckiej przy Radzie Bezpieczeństwa Narodowego Aleksander Jakowienko w publikacji w agencji Nowosti zarysował szczegółowy obraz tego, jak miałaby wyglądać, spacyfikowana na skutek podpisania porozumienia z Kremlem w żądanym przez Moskwę kształcie, Ukraina.

Miałaby więc narzucony ustrój federacyjny, przy czym poszczególne podmioty tej „federacji" miałyby prawo nawiązywać i kultywować szczególne związki z Rosją (już to samo czyniłoby z Ukrainy wydmuszkę). Po drugie, na straży m.in. tego ustroju stałaby kontrolująca Kijów komisja rosyjsko-amerykańska (gdyż USA Trumpa miałyby być siłą, wraz z Moskwą, narzucającą Ukrainie kapitulację; Jakowienko pisze, chyba szyderczo, że przecież taka aliancka komisja kontrolowała kiedyś Niemcy, na to, co było dobre dla Niemców, nie powinni więc wybrzydzać Ukraińcy). Ale nie tylko na straży federalizmu, bo miałaby ona kontrolować też inne zobowiązania Kijowa, czyli „wyrzeczenie się ideologii i mitologii nacjonalistycznej, zakaz związanych z nią organizacji i antyrosyjskiej propagandy". Ponieważ „najważniejsze, że Ukraina nie powinna więcej stwarzać nam nie tylko zagrożenia militarnego, ale też zagrożenia na poziomie tożsamości i historii, które w środowisku eksperckim uważa się za najważniejszy element współczesnych wojen mentalno-kognitywnych".

Innymi słowy, Ukraina miałaby zostać rozbrojona nie tylko fizycznie, ale i mentalnie. Zmienić tożsamość na zbliżoną do białoruskiej w wersji łukaszenkowskiej („Białorusini – to Rosjanie ze znakiem jakości!" – powiedział niegdyś Baćko), za pomocą m.in. cenzury. A Moskwa miałaby formalne prawo do nieustannej ingerencji w jej wewnętrzne sprawy, pod dowolnym, tworzonym ad hoc pretekstem.

PUTIN MÓWIŁ, ŻE JEST GOTOWY WALCZYĆ TYLE CZASU, ILE PIOTR WIELKI WALCZYŁ ZE SZWECJĄ O TERENY, NA KTÓRYCH POTEM ZBUDOWAŁ PETERSBURG.

eprasa.pl d4691ad3e6

Jak napisałem, według Jakowienki porozumienie o takim kształcie miałyby wraz z Rosją gwarantować Stany. Dlatego Ukraina powinna łatwo zgodzić się na rozbrojenie (i więcej niż rozbrojenie – również likwidację swego przemysłu zbrojeniowego, który rosyjski dyplomata zalicza do „rzeczy, które nie powinny istnieć"). Bo jeśli Amerykanie zagwarantują Ukrainie bezpieczeństwo, a Ukraińcy ufają Amerykanom, to po co mają się zbroić? I dlaczego nie mieliby się zgodzić również na wspólne amerykańsko-rosyjskie przejęcie kontroli nad ukraińską przestrzenią powietrzną?

Oczywiste dla Jakowienki jest, że Ukraina nie tylko miałaby wycofać się z dążenia do NATO, ale też zobowiązać do wieczystej neutralności. Przy okazji dyplomata przedstawia prawno-polityczną interpretację złamania przez Kreml swoich zobowiązań do niedokonywania agresji na Ukrainę zawartych w Memorandum Budapeszteńskim. Oto podpisywano je z założeniem neutralności Kijowa, ale jego dążenie do struktur atlantyckich zmieniło wszystko i unieważniło wcześniejsze zobowiązania.

Gwarantować „porozumienie" mają Amerykanie, nie ma tu miejsca dla Europejczyków, jako politycznie podległych USA. Europejczycy mogliby ewentualnie, wraz z Amerykanami, zapewniać finansowanie odbudowy Ukrainy. A gdyby państwa należące do NATO zobowiązały się nie prowadzić jakiejkolwiek działalności poza swymi granicami (czytaj – w żaden sposób nie wspierać wojskowo Ukrainy), to Rosja mogłaby zgodzić się na członkostwo tejże w UE (tu Jakowienko różni się od byłego prezydenta Dmitrija Miedwiediewa, który zgodę Moskwy na takie członkostwo wyklucza). Oczywiste jest też zdjęcie nałożonych na Rosję sankcji.

Dlaczego Trump miałby iść aż tak daleko, czyli nie tylko porzucić Ukrainę, ale też wziąć na siebie funkcję jej niemal drugiego okupanta? Nie bardzo wiadomo, można się domyślać (wzmianka o finansowaniu odbudowy), że w zamian za jakieś korzyści ekonomiczne. Nie jest to jasne. Cały schemat pokazuje jednak obecną pewność siebie rosyjskich elit oraz poziom nadziei, wciąż, mimo rozczarowań, wiązanych przez nie z Trumpem.

WOJNA DAJE PUTINOWI PRETEKST DO TRZYMANIA SPOŁECZEŃSTWA PRZY PYSKU I TOTALIZACJI PAŃSTWA, CO ODPOWIADA JEGO KAGIEBISTOWSKIEJ WIZJI ŚWIATA.

Przede wszystkim – czas

A to dobrze koresponduje z zachowaniem i całą obecną strategią Putina. Strategią, w którą ludzie Zachodu nie chcą uwierzyć, bo jest tak odległa od ich wyobrażenia o naturze świata, i bo uwierzenie, że taka jest ona w istocie, narażałoby Zachód na konieczność akceptacji jeszcze większej dozy braku komfortu niż ta, która dotąd stała się jego udziałem.

Zachód już iluśkrotnie przekonał się, że logika, którą kieruje się WWP i kierownictwo kremlowskie, jest inna niż ta, do której jesteśmy przyzwyczajeni. Uważaliśmy na przykład za niemożliwy najazd na Gruzję z 2008 r. Potem aneksję Krymu i wszczęcie ograniczonej wojny w Donbasie. Wreszcie i przede wszystkim nie wierzyliśmy, że może rozpocząć wojnę pełnoskalową – bo poszedłby na zbyt wielkie naszym zdaniem ryzyko, i poświęcił zbyt wiele (z ekonomicznym powodzeniem własnego kraju na czele) rzeczy, których kierujący się naszą logiką polityk nigdy by nie poświęcił. Uważaliśmy to za niemożliwe, a przecież, nie stawiając kropki nad „i", Putin zapowiadał to niejednokrotnie (choćby stawiając, przypomniane wcześniej, żądania z grudnia 2021 r.). Jeśli tak, to może warto słuchać, co mówi władca Rosji.

A w roku 2022, kiedy okazało się, że blitzkrieg nie wychodzi, mówił na przykład, że o osiągnięcie postawionych sobie celów jest gotowy walczyć tyle czasu, ile Piotr Wielki walczył ze Szwecją o tereny, na których potem zbudował Petersburg. Przypomnijmy – tzw. trzecia wojna północna trwała 21 lat, w tym faza ofensywnych działań Rosji – lat 11. I nie uważam za niemożliwe, że Putin na serio nastawia się na konflikt o takiej skali czasowej. Odwrotnie – wiele wskazuje, że uważa on, iż wojna taka jak dotąd, czyli angażująca większość sił rosyjskich, ale z drugiej strony nie wymagająca mobilizacji i pozwalająca większości Rosjan na prowadzenie normalnego życia (to też paralela do wojen XVIII-wiecznych, które w większości tak właśnie wyglądały), może być długotrwała. Ciągłe trwanie takich wojen było niegdyś uważane za naturalne, to

eprasa.pl d4691ad3e6

dopiero w XX wieku uznano za stan naturalny pokój; teraz sytuacja się cofa.

Tym bardziej że wojna rozwiązuje Putinowi wiele problemów. Daje pretekst do trzymania społeczeństwa przy pysku i totalizacji państwa, co odpowiada jego kagiebistowskiej wizji świata.

Ale też – jak zauważył Katz – wiele wskazuje na to, że Putin po prostu polubił wojować. Dzięki „specjalnej operacji" może zajmować się już tylko tym, co go naprawdę interesuje, czyli właśnie wojną i konfliktem z Zachodem. Wszystkie coraz bardziej irytujące go dawniej prozaiczne, nudne sprawy w rodzaju niezadowolonych emerytów z Tomska, głodujących nauczycieli z Omska czy trujących kopalni z Baszkirii może wreszcie zlekceważyć i w majestacie misji danej mu przez Boga i Historię zepchnąć na niższy szczebel. Przecież trwa wojna, a on jest Głównodowodzącym.

Cała jego obecna i strategia, i taktyka, której najwyraźniej nie jest w stanie zrozumieć Donald Trump, sprowadza się zaś do realizowania trzech priorytetów. Po pierwsze – zyskać czas. Po drugie – zyskać czas. I po trzecie – zyskać czas. Czas, który jest potrzebny, bo generałowie zapewniają go, że jeszcze tylko trochę wysiłku, jeszcze tylko kilka tygodni, no może miesięcy, i strukturalna przewaga Rosji doprowadzi do pęknięcia frontu. Nie jestem w stanie powiedzieć, w jakim stopniu ci generałowie przesadzają. Ważne, że Putin im wierzy.

Rosyjską wizję zwycięstwa lapidarnie oddał analityk Siergiej Polietajew, opisując nieprzekształcony w strategiczne zwycięstwo z powodu nieprzygotowania dowództwa taktyczny rosyjski sukces pod Pokrowskiem: „Cisnęliśmy i cisnęliśmy według tradycyjnego już schematu pełznącego natarcia, i nagle docisnęliśmy do tego, że na kierunku działania zabrakło przeciwnika". Wystarczy więc, według Polietajewa, kontynuować taki rodzaj działań, tylko że teraz, będąc już gotowym do ewentualności szybkiego rozwinięcia powodzenia, przejścia z dotychczasowej, „pełznącej" formy natarcia do tradycyjnej, manewrowej. To jest według Polietajewa prawdopodobne, dlatego jego zdaniem Ukraina stoi wobec wyboru „straszny koniec albo horror bez końca – albo zgodzić się na pokój na warunkach Moskwy i potem patrzeć, jak Rosja zabezpiecza wypełnienie tych warunków, albo walczyć dalej, przy czym z codziennie rosnącym ryzykiem załamania armii".

A jeśli przyjął taką perspektywę, to z punktu widzenia Putina liczą się niemal pojedyncze dni, w których jego armia dociska mniej licznego przeciwnika, by w końcu doprowadzić do przełamania. Kluczowe jest w tej perspektywie, żeby z jednej strony nie przerwać, nie dać wrogowi chwili wytchnienia, a z drugiej – nie zdenerwować w tym czasie prezydenta USA, nie sprowokować go do podjęcia jakichś decyzji, choć w pewnym stopniu niwelujących naszą przewagę (gdy kończę ten tekst, nie wiemy jeszcze, czy wysłanie dronów na Polskę może do tego doprowadzić).

Traktować więc go z rewerencjami, dawać nieokreślone nadzieje, zwodzić. Ale w sprawach naprawdę ważnych nie ustąpić o krok. Nie dać się związać.

Tym bardziej że na naszych oczach następuje być może zmiana najbardziej kluczowa. Oto użyta, po długich wahaniach, przez Trumpa broń atomowa w postaci nałożenia karnych ceł na kraje importujące rosyjską ropę przynosi jak dotąd skutki niejednoznaczne, doprowadziła natomiast do zbliżenia się dotkniętych tym państw (Indie) do osi Moskwa – Pekin. Jeśli ta sytuacja się utrzyma, będzie to oznaczać, że amerykańskie „sprawdzam" ujawniło, iż trzymane przez Waszyngton karty są po prostu słabe.

***

„Przez całe życie nienawidziłem Imperium, i nadal go nienawidzę, ale teraz widzę wyraźnie, że ono zwycięża" – napisał ostatnio ormiański pisarz, niegdyś działacz antyradziecki i niepodległościowy, Wahe Awetjan. Nie wiem, czy ma rację. Widzę natomiast, że choć Zachodowi wydaje się, że w 2022 roku obudził się z przyjemnego snu, to tak naprawdę śni dalej. Bardzo wyraźnie nie zdaje sobie sprawy z tego, że każdy rodzaj zakończenia konfliktu ukraińskiego, który mógłby być interpretowany jako zwycięstwo Rosji, zostanie na całym świecie przyjęty jako klęska Zachodu. Ze wszystkimi konsekwencjami.

DZIĘKI „SPECJALNEJ OPERACJI" PUTIN MOŻE ZAJMOWAĆ SIĘ JUŻ TYLKO TYM, CO GO NAPRAWDĘ INTERESUJE, CZYLI WŁAŚNIE WOJNĄ I KONFLIKTEM Z ZACHODEM.

eprasa.pl d4691ad3e6

Wołowina za samochód



Polskie rządy nie były do końca uczciwe wobec polskich rolników i przedsiębiorców, gdy mówiły o tym, że traktat między Unią Europejską a jej odpowiednikiem w Ameryce Łacińskiej, czyli Mercosur, da się zatrzymać czy unieważnić. Dzisiaj – mając przed sobą pełną treść z podpisem Ursuli von der Leyen na ostatniej stronie – widać wyraźnie, o co się toczyła batalia i **jaką rolę** miała w niej odegrać Polska. Zmienia się również perspektywa, z której możemy oceniać dziwne jeszcze kilkanaście lat temu zachowania premiera Donalda Tuska, który w 2008 roku, w peruwiańskiej czapeczce z nausznikami założonej do garnituru, z dumą oświadczał, że został odznaczony Orderem Słońca Peru.

Paweł Pietkun

Fot. Adobe Stock

Donald Tusk zareagował nawet – dość nerwowo – na próby ośmieszania tej konkretnej wizyty oraz nazywanie go „słońcem Peru" właśnie.

– Z punktu widzenia narodu peruwiańskiego wyśmiewanie się z ich najważniejszego odznaczenia jest nietaktem. My byśmy czuli się dziwnie, gdyby w Peru ktoś uznał, że przyjęcie Orderu Orła Białego jest czymś kompromitującym i śmiesznym – strofował dziennikarzy szef rządu, który podczas wizyty w Peru został przez prezydenta Alana Garcię odznaczony Orderem Słońca Peru (najwyższym peruwiańskim odznaczeniem państwowym).

Misja premiera

Wówczas, w 2008 roku, oficjalnym powodem wizyty Tuska w Peru i Chile był udział w poświęconym kwestiom ubóstwa i zmianom klimatycznym szczycie UE – Ameryka Łacińska. To jednak zbyt mało, żeby zasłużyć na order, szczególnie najwyższy order państwowy. Peru, które formalnie nie jest członkiem Mercosur, a jedynie krajem stowarzyszonym, miało uhonorować ówczesnego premiera Polski za przymknięcie oka na wszystkie zagrożenia wynikające dla polskiej gospodarki z negocjowanego już od ośmiu lat traktatu – o którym tam właśnie rozmawiano. W opinii grających pierwsze skrzypce w gospodarczych negocjacjach Niemców uhonorowanie polskiego premiera miało mile połechtać nie tylko samego Tuska, ale również cały naród, który miał się poczuć dumny z takiego wyróżnienia. Nikt w Berlinie i Brukseli nie przewidział, że „Słońce Peru" zamiast wprawić nadwiślańską opinię publiczną w zachwyt, po prostu ją rozśmieszy.

Donald Tusk nie odgrywał szczególnej roli ani przy rozmowach o ubóstwie i zmianach klimatu, ani

Bydło na równinie Pampas w Patagonii, Argentyna

eprasa.pl d4691ad3e6

przy stole negocjacyjnym. Zamiast tego korzystał z peruwiańskiej i chilijskiej (Chile to kolejny kraj stowarzyszony i starający się o członkostwo w Mercosur) gościnności, podróżując do Machu Picchu i oglądając Andy z wagonów Kolei Transandyjskiej zbudowanej przez polskiego inżyniera Ernesta Malinowskiego.

Do dzisiaj można znaleźć w internecie zdjęcia z tej szalonej i bogatej we wrażenia eskapady premiera opłaconej hojnie z kieszeni polskich i południowoamerykańskich podatników. Tyle, że ci południowoamerykańscy wiedzieli, o co walczą.

Już na początku negocjacji Mercosur z Unią Europejską Latynosi wiedzieli, że muszą pilnie znaleźć rynek dla swoich produktów rolnych, mięsa i metali. Handel wewnątrz wspólnoty nie załatwiał sprawy rosnącego na początku tysiąclecia ubóstwa mieszkańców byłych hiszpańskich i portugalskich kolonii. Stany Zjednoczone – szczególnie południowe stany – same są wielkim producentem żywności i tamtejsi farmerzy nigdy nie zgodziliby się na obniżenie ceł, nawet jeśli steki z argentyńskiej wołowiny miałyby smakować lepiej w teksańskich barach. Odbiorcą mógł być Meksyk, ale dla tylu producentów również na tamtym rynku nie byłoby miejsca. Pozostawała odległa Europa – obecna wciąż nie tylko w historii, ale także na flagach państw Mercosur. Flaga Wenezueli (kraj tymczasowo zawieszony) to prostokąt podzielony na trzy pasy – żółty, niebieski i czerwony. Żółty i czerwony to pozostałość flagi hiszpańskiej, niebieski pas pomiędzy nimi oznacza zaś ocean dzielący niepodległą dzisiaj Kolumbię od jej byłych kolonizatorów. Podobne znaczenie kolorystyki mają flagi państw stowarzyszonych, czyli Ekwadoru i Kolumbii.

Spichlerz Południa

Argentyna, Boliwia, Brazylia, Paragwaj, Urugwaj i Wenezuela to również gargantuiczni producenci zbóż i roślin oleistych, kawy, tytoniu oraz cytrusów. Sama Brazylia określana jest przez ekonomistów mianem „agrogiganta" – głównie ze względu na korzystny klimat i doskonałe grunty. Brazylia bije na głowę Ukrainę, do czasu wojny największego producenta kukurydzy w Europie. Jest gigantem w produkcji soi i hegemonem w uprawie trzciny cukrowej. Jest również czwartym światowym producentem mleka, z którego napoje i przetwory znajdują miejsce na większości rynków świata – jeszcze poza europejskim.

> NIKT W BERLINIE I BRUKSELI NIE PRZEWIDZIAŁ, ŻE „SŁOŃCE PERU" ZAMIAST WPRAWIĆ OPINIĘ PUBLICZNĄ W ZACHWYT, PO PROSTU JĄ ROZŚMIESZY.

Ale Mercosur to również czołowi wydobywcy i producenci metali na świecie. Argentyna, której nazwa pochodzi od łacińskiej nazwy srebra (argentum), jest czołowym producentem srebra, ale wysyła światu również potężne transporty miedzi, złota, litu, ołowiu i cynku oraz uranu.

Brazylia jest największym na świecie producentem niobu – to miękki metal, nietrwały jako pierwiastek, ale niezbędny dodatek stopowy do stali wykorzystywanej w lotnictwie, hutnictwie, przemyśle kosmicznym, implantach medycznych czy reaktorach jądrowych. Miedź, żelazo, złoto i boksyt to kolejne mocne strony nowego partnera Unii Europejskiej. Partnera, dla którego dostęp do tych pierwiastków był jednym z kluczowych argumentów przy ponad 25-letnich negocjacjach. Na zwolnienie metali z ceł i otwarcie dla kopalń i hut z krajów Mercosur unijnego rynku naciskali przede wszystkim Niemcy, Włosi i Francuzi – to ze względu na przemysł samochodowy, który od początku stulecia coraz mocniej odczuwał i odczuwa trudną konkurencję z Chin.

Zachodni przemysł na pierwszym planie

Trzeba wiedzieć, że właśnie przemysł ciężki był głównym filarem negocjacyjnym w rozmowach UE – Mercosur. Rolnictwo, na którym zależało polskim producentom, w traktacie stanowi ledwie drobny ułamek całego porozumienia. Niemcy i Francuzi naciskali na otwarcie południowoamerykańskich rynków na samochody i maszyny rolnicze z Europy Zachodniej oraz możliwość tańszego kupienia metali ziem rzadkich, za które coraz więcej trzeba płacić Chinom.

Jednak żeby traktat został podpisany, trzeba było zawiesić prawo weta, czyli konieczność podejmowania fundamentalnych decyzji w sprawie polityki unijnej i międzynarodowej wyłącznie jednogłośnie. Dzisiaj głos niezadowolonych zupełnie się nie liczy, bo unijne prawo weta zostało zlikwidowane. A nieograniczone pełnomocnictwa do prowadzenia negocjacji dostała Komisja Europejska. Po podpisaniu traktatu przez Ursulę von der Leyen ›

eprasa.pl d4691ad3e6

zostało poparcie go przez rządy krajowe i Parlament Europejski.

Traktat w obecnej postaci mówi o zniesieniu ceł obustronnie na 91 proc. produktów dla importu z Mercosur i 93 proc. dla eksportu unijnego, którymi Mercosur i UE i tak handlowały.

Cena niemieckich, francuskich czy włoskich samochodów na południowoamerykańskich rynkach spadnie niemal z dnia na dzień o 35 proc. To ważne, szczególnie dla niemieckich koncernów, którym wciąż jeszcze grozi konieczność zamknięcia sześciu największych zakładów produkcyjnych nad Renem. To także otwarcie bezcłowego rynku dla producentów odzieży i obuwia, dla Włochów i Francuzów na wina i wina musujące (oraz alkohole mocne). Zachodnioeuropejscy producenci w Nowym Świecie będą mogli taniej sprzedawać swój ciężki sprzęt, przede wszystkim rolniczy i górniczy – oczywiście pod warunkiem, że wygrają z Amerykanami i Kanadyjczykami, którzy są tam od dekad. Z czasem będą mogli na miejscu otworzyć także własne fabryki. Komisja Europejska podaje twarde liczby: traktat pozwoli zaoszczędzić zachodnioeuropejskim przedsiębiorstwom ponad 4 miliardy euro rocznie na cłach.

Co w zamian?

Mercosur zobowiązuje się do zwiększenia nakładów na ochronę środowiska i promowania społecznej odpowiedzialności biznesu. Do umowy zostało wpisane większość założeń Porozumienia paryskiego. Mało? Umowa zapewnia ochronę 350 oznaczeniom geograficznym – chodzi m.in. o austriacką szynkę Tiroler Speck, belgijski ser Fromage de Herve, niemieckie piwo Münchener, francuski ser Comté, włoską szynkę Prosciutto di Parma czy... polską wódkę Żubrówkę i węgierskie wino Tokaj.

Ma nastąpić także liberalizacja handlu usługami i inwestycjami, uproszczenie procedur celnych oraz poprawa dostępu do zamówień publicznych.

To, co najbardziej interesuje (i boli) Polaków, to otwarcie unijnego rynku na eksport m.in. wołowiny z Argentyny i Brazylii oraz innych płodów rolnych. W przypadku wrażliwych sektorów rolno-spożywczych w UE Komisja chwali się wynegocjowaniem pułapu przywozu produktów rolnych, tak aby rynek europejski mógł wchłonąć wszelkie dodatkowe dostawy. Chodzi o kontyngenty, które mają gwarantować, że łączny import rolny z Mercosur nie przekroczy 1 proc. unijnej produkcji. Diabeł jednak tkwi w szczegółach, bo przy tak potężnym partnerze KE musiała prosić o klauzulę chroniącą rolników przed nagłym wzrostem przywozu, a już na miejscu – w Europie – Komisja chce wypracować mechanizmy ochronne dla rolników w przypadku zakłóceń na rynku. Po co, skoro traktat miał być bezpieczny dla europejskich rolników? Przy tak dużym eksporcie, jaki planują dzisiaj rolnicy z Mercosur, wielu europejskich producentów może nie przetrwać pierwszego roku południowoamerykańskiej konkurencji. Odbudowanie gospodarstw może zaś zająć lata.

CENA NIEMIECKICH, FRANCUSKICH CZY WŁOSKICH SAMOCHODÓW NA POŁUDNIOWOAMERYKAŃSKICH RYNKACH SPADNIE NIEMAL Z DNIA NA DZIEŃ O 35 PROC.

Demokracja na ołtarzu traktatu

Europejski i południowoamerykański kalendarz negocjacji przewidywały zakończenie rozmów najpóźniej w 2025 roku. Gwarancja uznania traktatu wymagała jednak poparcia europejskich rządów i parlamentów, a także promowania umowy w krajach członkowskich UE – w Ameryce Łacińskiej nie trzeba go promować, bo rządy i obywatele zdają sobie sprawę, jak bardzo jest dla nich korzystny. Polska, znaczący producent rolny z niewielkim, ale istotnym (dla Polski) przemysłem wydobywczym oraz praktycznie bez przemysłu ciężkiego na umowie nie zyskuje nic. To dlatego tak intensywnie Komisja Europejska od lat mieszała się w sprawy polskiej polityki – pod pretekstem praworządności, łamania demokracji komisarze publicznie rugowali polskiego premiera i ministrów, równie demonstracyjnie i głośno nie wypłacając środków z KPO. Celem było przekazanie władzy Donaldowi Tuskowi, który doskonale wiedział, jakie jest w tej sprawie jego zadanie. Deklaracje Koalicji Obywatelskiej o blokowaniu umowy z Mercosur były wyłącznie mydleniem oczu. Umowa stała się unijnym priorytetem, kiedy niemieckim przemysłowcom kryzys kazał zamykać zakłady produkcyjne. Inny niż obecny rząd mógłby negocjacje zablokować albo przeciągnąć – nawet doprowadzając do politycznego kryzysu w unijnych strukturach. Na to niemiecki, belgijski, francuski czy włoski przemysł nie mogły sobie pozwolić.

eprasa.pl d4691ad3e6

ŚWIAT WEDŁUG JASTRZĘBOWSKIEGO



Znowu czegoś nie rozumiem

Sławomir Jastrzębowski

Nie jest miło dorosłemu publicyście przyznać się, że czegoś na scenie politycznej nie rozumie. Trochę wstyd, ale i nadzieja, nadzieja, że może ktoś z Państwa, z Czytelników, objaśni meandry zachowań i procesów. Inna sprawa, że jest jakoś jakby coraz gorzej i kwestii trudnych do objęcia rozumem oraz przyzwoitością przybywa. W tym materiale poruszę dwie sprawy, które dały mi do myślenia, ale mimo wysiłku nic specjalnego mi się nie wymyśliło, niestety.

Sprawa numer jeden to Radosław Sikorski, wicepremier polskiego rządu i minister spraw zagranicznych. Człowiek, który zszokował cały, nie tylko dyplomatyczny świat potężną, skondensowaną dawką publicznego infantylizmu. Dla każdego dyplomaty powinna być to dawka śmiertelna, a wybryk, którym się sam pochwalił, powinien być naturalnym końcem jego kariery. Ale nie w Polsce, nie w dyplomacji walczącej.

Ja wiele rozumiem, Sikorski, pupilek amerykańskich demokratów i liberałów, człowiek, który razem ze swoją amerykańską żoną permanentnie i niesubtelnie obrzucał błotem Donalda Trumpa, właśnie z powodów osobistych i rodzinnych nie ma i raczej nie będzie miał kontaktów z Białym Domem, w którym urzęduje Trump. To oczywiście psychologicznie trudne, bo po Baidenowskich latach poklepywania po plecach nagle stał się dla administracji zgniłym jajem, czy tam persona non grata, co na jedno wychodzi. Pana Radosława boli, bo musi oglądać tego Nawrockiego, który w ogóle skąd się wziął (?), podejmowanego przez Trumpa zaiste po królewsku. I tu dochodzimy do niezrozumienia: jak ktoś tak doświadczony i chyba nawet obyty jak Sikorski mógł wpaść na pomysł nagrania szczeniackiego filmiku SPRZED Białego Domu z jakimś niezrozumiałym triumfalizmem, że mu się udało jednak dostać na trawnik i pouśmiechać? Przecież to się nie mogło wydarzyć. Przecież to niepoważne, to jakieś błazeństwo w krótkich spodenkach, nie można być jednocześnie klaunem i reprezentować Polskę. Czy jednak można? Nie rozumiem, proszę o pomoc.

Sprawa numer dwa to Trybunał Stanu i ostatnie jego czy też w nim występy (przepraszam za słowo „występy”, ponieważ ono nie pasuje do powagi Trybunału Stanu, ale niestety idealnie pasuje do tego, co widzieliśmy w TS). Jak to możliwe, że sędziowie, którzy nie mogą być sędziami w określonym postępowaniu, bo byli w sprawie świadkami i zostali jako sędziowie z tego powodu właśnie wyłączeni z określonego postępowania, wdarli się jednak na salę TS, pozakładali sędziowskie togi i chcieli wydawać orzeczenie? Niemożliwe? W Polsce możliwe.

Pokrótce, sprawa dotyczyła uchylenia immunitetu pierwszej prezes Sądu Najwyższego, ale jednocześnie przewodniczącej Trybunału Stanu Małgorzaty Manowskiej. Kodeks postępowania karnego nie pozwala, żeby sędzią w sprawie była osoba, która wcześniej w sprawie występowała jako świadek. Proste. Wiceprzewodniczący Piotr Andrzejewski razem z kilkoma sędziami wyłączył więc ich z tego postępowania. Proste. Właśnie o to chodzi, że w tym kraju to, co proste, bardzo potrafi się skomplikować. Mieliśmy więc, proszę Państwa, średniowieczny szturm na Trybunał Konstytucyjny, który notabene mieści się w Sądzie Najwyższym. Zrobiło się preludium do hecy, a tejże hecy przewodził moim skromnym zdaniem znany adwokat Jacek Dubois, który też jest sędzią TS, tyle tylko, że z orzekania w sprawie uchylenia immunitetu Małgorzaty Manowskiej został wyłączony. Ale właśnie on sam uznał, że nie został i chciał orzekać. Ponieważ nie chciano dać mu togi i wpuścić na salę, zagroził, że zadzwoni na policję. Przysięgam, czegoś takiego jeszcze nie widziałem. Wyobrażam sobie, że przyjeżdżają ci biedni policjanci i kogo niby, którego sędziego, mają słuchać? Andrzejewskiego czy Dubois? Inna sprawa, jak ktoś tak związany z jedną stroną sceny politycznej jak Jacek Dubois może bezstronnie sądzić w Trybunale Stanu? Jeszcze inna sprawa, że ten przytyk dotyczy także drugiej strony politycznego sporu.

Kończąc, chciałbym, żebyśmy mieli państwo. S

eprasa.pl d4691ad3e6

KULTURA

Czytaj też:
Wyrosła z niebytu 44

NIE MUSZĘ się identyfikować ze swoją muzyką

– Stąpanie po ziemi wymaga tego, żeby nie patrzeć pod nogi. Można po niej stąpać, ale z głową w chmurach, i myśleć o tym, gdzie chce się być w przyszłości – mówi **Jakub Zaron**, wokalista, autor tekstów, kompozytor, w rozmowie z **Bartoszem Boruciakiem**.

– Kim jesteś?

– Zazwyczaj ludzie podają wiele określeń, które ich opisują. Bardzo od tego stronię. Mam problem, żeby się określić. Zazwyczaj największą szansę daję określeniu „twórca". Tworzę nie tylko w obszarze muzycznym, ale również w fotograficznym i modowym.

– Zacznijmy od muzyki. Gdzie widzisz siebie na rynku muzycznym?

– Na rynku muzycznym dużo rzeczy się zmienia. Jeżeli chciałbym się umiejscowić w jednej przestrzeni, to to miejsce może za miesiąc nie istnieć albo będzie tak mocno przekształcone, że nie będę tam już pracował. Albo to miejsce już nie będzie do mnie pasować. Bardzo często wytwórnie płytowe pytają artystów, gdzie widzą się za pięć lat i jak chcą być postrzegani przez społeczeństwo. Takie określenia wyrządzają wielką krzywdę artystom.

– Jakie są Twoje muzyczne inspiracje?

– Uciekam od tego. Kiedy zaczynałem, to ludzie zachwycali się moim głosem. Potem nałożyłem autotune'a na mój głos i to był koniec ładnego śpiewania [śmiech]. Wychodziłem na koncerty z ukulele, co bardzo ciekawiło widzów. Zauważyłem, że ludzie zwracają uwagę wyłącznie na ten instrument. Uznałem, że koniec z tym, i teraz występuję bez ukulele.



Fot. Daria Irena Górniewska

– Która estetyka jest najbliższa Twojemu sercu?

eprasa.pl d4691ad3e6

– Przede wszystkim chcę być najlepszy w tym, co robię. Nie chcę szukać tego w zewnętrznych elementach jak ukulele czy długie włosy. Chciałbym śpiewać coraz lepiej, pisać coraz lepsze piosenki, produkować coraz lepszą muzykę i zabrać argumenty ludziom, którzy chcieliby mnie zdyskredytować.

– W jaki sposób? Ludzie zwracają na Ciebie uwagę, a przecież o to w tym biznesie chodzi.

– Nie myślę o tym, gdyż chcę się nieustannie rozwijać. Chcę, żeby publiczność zwracała uwagę na twórcę, który lubi to, co robi, i jest w tym dobry.

– Masz jakieś marzenia?

– Mam. Przede wszystkim chciałbym żyć na swoich zasadach. Żyć w harmonii, pogodzony ze światem i w zgodzie sam ze sobą. Chciałbym pomagać swoim bliskim, pomagać ludziom wokół mnie, żeby wierzyli w siłę swoich serc i we własną sprawczość.

– To rzadko spotykane deklaracje. Ile masz lat?

– Dwadzieścia pięć.

– Masz bardzo dojrzałe podejście. To kwestia wychowania czy otaczającego Cię środowiska?

– To jest dla mnie długa podróż. Wychodziłem z grup, które mocno zwracały na siebie uwagę po to, żeby szukać spełnienia i przyjemności. Skupiały się wyłącznie na rzeczach doczesnych. Jednak wierzę w to, że każdy chce być szczęśliwy. Ludzie mają z tym kłopot. Gubią się, szukają szczęścia w przyjemnościach i zatracają się w tym. Ja poświęcam czas, żeby szukać źródeł szczęścia. Bardziej w sobie niż na zewnątrz.

– Brzmi to tak, jakbyś był twórcą antysystemowym.

– Tak. Zdecydowanie tak [śmiech].

– Mierzysz się w życiu z brakiem informacji zwrotnych?

– Tak. W życiu prywatnym i zawodowym. W sferze prywatnej nie zwracam na to zbyt często uwagi, bo wiem, że wynika to z przebodźcowania. Nagle okazuje się, że nasza wiadomość do konkretnej osoby staje się jednym z wielu powiadomień, które nie różni się niczym od innych. Rozumiem, że np. mój komunikat wpada w natłok innych rzeczy i obowiązków. I tutaj nie ma wartości przekazu międzyludzkiego. W kwestiach zawodowych – każdy młody twórca spotyka się z brakiem informacji zwrotnych. Wielu na to narzeka, jednak nie uważam, że jest to dobre wyjście z sytuacji.

PATRZMY PONAD EGO I TYM SIĘ KIERUJMY, TO WIELE ZMIENI W NASZYM ŻYCIU.

BARDZIEJ W SOBIE NIŻ NA ZEWNĄTRZ SZUKAM ŹRÓDEŁ SZCZĘŚCIA.

– Nie sądzę, że jest to narzekanie. To bardziej stwierdzenie faktu.

– Rozwinę wątek. Mamy takiego Kubę, który dochodzi różnymi siłami na szczyt i który ma wszystko. W momencie, gdy z tego szczytu spada i ma problemy, to wynika to z tego, że Kuba zaczął identyfikować się z tym szczytem. Kuba zbudował sobie tożsamość z tego, że jest na szczycie, i w momencie, gdy mu się to odbiera, jest nikim.

– Rewolucja pożera własne dzieci.

– Zdecydowanie tak. Funkcjonowanie w show-biznesie polega na tym, że cały czas walczysz o to, żeby utrzymać się na szczycie. Szczyt okazuje się nie taki interesujący, jak wszyscy mówili, że będzie. Nam się wydaje, że jesteśmy drogą na szczyt i samym szczytem, a nie osobą, która tego doświadcza. Tak czy siak, prędzej czy później każdy doświadczy upadku.

– Czy połączenie rapu z elektroniką to jest Twój muzyczny kierunek?

– To wynika z tego, że dobrze odnajduję się w tych stylistykach. Wcześniej był indie pop i R&B. We wszystkich tych nurtach czuję się dobrze. Nie muszę się identyfikować z muzyką, którą robię. Jestem pewny swoich umiejętności. Ona jest wytworzona przeze mnie. Jest szczera i ją lubię. Natomiast robiąc ją, nie muszę się na coś konkretnie decydować.

– Masz zdrowe podejście do przemysłu, w którym funkcjonujesz. Twardo stąpasz po ziemi. Myślałaś o tym, żeby być menedżerem i pomagać innym artystom?

– Nie czuję, że jestem racjonalny w swoich ruchach. Wydaje mi się, że jest wręcz przeciwnie. Stąpanie po ziemi wymaga tego, żeby nie patrzeć pod nogi. Można po niej stąpać, ale z głową w chmurach, i myśleć o tym, gdzie chce się być w przyszłości.

– Jaki masz pomysł na nadchodzącą płytę?

– Niedawno przygotowałem dwie EP-ki i robię sobie przerwę. Pierwszą wydałem w czerwcu 2023 roku.

eprasa.pl d4691ad3e6

Drugą opublikowałem w kwietniu 2024 roku.

– Przejdźmy do Twojej kolejnej pasji – fotografii. Jakie robisz zdjęcia? W jakim stylu?
– Pociąga mnie robienie zdjęć ludziom. Zacząłem od tego, że robiłem zdjęcia na zapleczu spektaklu teatralnego. Bardzo mi się to spodobało. Zdjęcia robiłem starym aparatem ukradzionym z jakiegoś miejsca pracy. Potem już kupiłem nowe aparaty, w tym analogowy.

– Pamiętajcie, szanujcie klisze.
– Zgadza się [śmiech]. Po spektaklu zacząłem robić głównie artystyczne portrety. U mnie na zdjęciach ludzie się nie uśmiechają. Kiedy ktoś na mnie patrzy i pozuje, to ja wtedy odchodzę z aparatem. A dlaczego tak robię?

– Dlaczego?
– Lubię w zdjęciach naturalność. Chcę uchwycić konkretne i dobre momenty.

– Plener czy studio?
– Zdecydowanie plener. Dzięki temu mogę kreować różne rzeczy, które ułatwiają pracę mnie i osobie fotografowanej.

– Każdy może być modelem?
– Tak. Idziemy w plener. Wybieramy sobie lokalizacje na podstawie tego, co chcemy uzyskać na zdjęciach. Wybieramy stylizację i obiektywy. Potem robię swoje, a Ty jesteś zadowolony [śmiech].

– OK. Przejdźmy do mody.
– Zajawka na modę rozpoczęła się u mnie niedawno. Po jakimś czasie dowiedziałem się, że moja babcia szyła sobie sama ubrania. Kupowała różne materiały i robiła z nich oryginalne rzeczy. Moją mamę też ciągnie do mody. Jak widać, moda płynie w naszych żyłach.

Jakub Zaron

to wokalista i songwriter, reprezentant pokolenia Z. Pochodzący z Warszawy młody twórca ma już na swoim koncie dwie EP-ki: „LENIWE DZIECKO" oraz „RZECZYWISTOŚCI RÓWNOLEGŁE", które zostały ciepło przyjęte przez słuchaczy. Łącząc pop, alt-rap, brzmienia alternatywne i elektroniczne, Zaron szykuje się do wydania swojego debiutanckiego albumu pod koniec 2025 roku. Jakub w swojej dotychczasowej karierze miał okazję współpracować z wieloma artystami (m.in. Alicja, Hodak, Jeza Szemetiuk) nad warstwą słowną, muzyczną czy wizualną ich utworów.

– A jak realizujesz tę pasję?
– Projektuję. Manualnie to ja mam dwie lewe ręce. A dodam, że jestem leworęczny [śmiech].

– Jak wygląda Twoje projektowanie?
– Otwieram program graficzny w komputerze. Mam załadowane różne sylwetki kobiet.

– Czyli projekty dla kobiet?
– Tak. Różne suknie i inne części garderoby. Na razie nie publikuję moich projektów.

– To może networking i profil na LinkedInie?
– Właśnie przed naszą rozmową usunąłem tam profil.

– Dlaczego? Co się stało?
– Jeszcze do niedawna byłem związany ze światem korporacyjnym. Pracowałem na etacie, tworząc treści w mediach społecznościowych. Głównie publikowałem moje treści na wcześniej wspomnianym przez Ciebie LinkedInie. W momencie, gdy przestało być wymagane ode mnie posiadanie profilu na tej platformie, to go usunąłem. Miałem już dość.

JESZCZE DO NIEDAWNA BYŁEM ZWIĄZANY ZE ŚWIATEM KORPORACYJNYM.

– Dostrzegasz zmianę na rynku pracy, że znowu mamy rynek pracodawcy, a nie pracownika?
– Nie poświęcam czasu na takie przemyślenia. Co do rynku pracy, to moje pokolenie gra dużą rolę w tym obszarze. Pokolenie Z przychodzi do wspólnoty, którą jest firma, i mówi konkretnie, że oddaje energię wspólnocie w zamian za konkretne świadczenia oferowane przez pracodawcę. Mam wrażenie, że poprzednie pokolenia nie były przyzwyczajone do takiej formy komunikacji z pracodawcami. Benefity? Jakie benefity? O co Ci chodzi, człowieku? Przecież masz pieniądze, masz wypłatę. Czego więcej chcesz? Ludzie zorientowali się, że praca to nie tylko czas, ale m.in. energia i światopogląd. To, w jakim miejscu pracujesz, wpływa na to, jakim człowiekiem jesteś.

– Na jakim etapie życia obecnie jesteś?
– Patrzę na niego z ekscytacją. Na ten moment nie mam nic, a muszę coś zbudować. Patrzmy ponad ego i tym się kierujmy, to wiele zmieni w naszym życiu.

eprasa.pl d4691ad3e6

KARUZELA BLOGERAMI

JAKUB ZGIERSKI („MŁOT NA MARKSIZM”)

OBY DRONY NIE POPCHNĘŁY NAS DO WOJNY

Polska już dziś ponosi ogromne koszty wsparcia Ukrainy – finansowe, społeczne i polityczne. To wystarczy. Jeśli ktoś w Europie marzy o bezpośredniej konfrontacji z Moskwą, to droga wolna. Niech „Koalicja chętnych” z Berlinem i Paryżem na czele wysyła żołnierzy na Wschód, ale nie wymaga tego od Polski czy krajów bałtyckich.

Drony, które 10 września rozbiły się na terenie Polski, to kolejny sygnał, że wojna na Wschodzie niebezpiecznie ociera się o nasze granice. Ale nie chodzi tu tylko o przypadek czy błąd techniczny. To idealny materiał propagandowy – przede wszystkim dla Kijowa. Bo czyż nie leży w interesie Ukrainy, aby Polska zaangażowała się w ten konflikt? Im więcej państw zdecyduje się na działania militarne, tym większe szanse na przetrwanie w konfrontacji z Moskwą. O takiej strategii Wołodymyra Zełenskiego powiedział niedawno były już prezydent Andrzej Duda, przyznając, że od pierwszych dni konfliktu ukraińskie władze szukają sposobów na „umiędzynarodowienie” rosyjskiej agresji.

W tym miejscu należy postawić sobie zasadnicze pytanie: dlaczego znowu Polacy mieliby być tymi, którzy płacą najwyższą cenę? Ukraińska narracja jest jasna: każdy incydent na naszym terytorium ma być dowodem na to, że „Rosja atakuje NATO”. A skoro atakuje, to Sojusz ma obowiązek odpowiedzieć. Problem w tym, że ta odpowiedź oznaczałaby otwartą wojnę, a więc wysłanie żołnierzy na front. I o to właśnie chodzi – by Europejczycy, a najlepiej Polacy, ginęli w walce o Donbas i Ługańsk. Tyle że naszym zadaniem nie jest rzucać się w samobójczą konfrontację z Rosją w imię cudzych interesów, lecz mądrze chronić własne państwo i naród przed tragedią wojny.



Rys. Adobe Stock

Nie zapominajmy, że konfrontacja NATO – Rosja to nie zabawa w wojnę konwencjonalną. Kreml ma w ręku arsenał nuklearny, a jego doktryna dopuszcza użycie broni atomowej, gdy Rosjanie poczują się zagrożeni. Każdy krok w stronę eskalacji może oznaczać katastrofę nie tylko dla Polski, ale i całej Europy. Nie wolno pozwolić, aby emocje i szantaż moralny popchnęły nas do decyzji, której konsekwencje okażą się nieodwracalne. Dlatego trzeba zachować zimną krew i jasno powiedzieć: NATO nie może dać się szantażować emocjami i incydentami, które ktoś chce wykorzystać jako zapalnik globalnej tragedii.

W tym kontekście pocieszająca wydaje się twarda i jednoznaczna deklaracja prezydenta Karola Nawrockiego, który przed kilkoma dniami powiedział, że nie zamierza wyrazić zgody na wyjazd żołnierzy polskich na Ukrainę. Jak zaznaczył, udział Wojska Polskiego w takim przedsięwzięciu jest wykluczony. I trudno się nie zgodzić. Zresztą powiedzmy to sobie jasno – polska armia jest od obrony Polski, a nie jeżdżenia na zagraniczne misje. Naszym obowiązkiem jest chronić własne państwo, a nie spełniać oczekiwania sojuszników, którzy z wygodnych gabinetów będą bili nam brawo, podczas gdy polscy żołnierze będą umierać na Wschodzie. Drony spadły – ale to nie znaczy, że mamy stracić głowę.

eprasa.pl d4691ad3e6

Wyrosła z niebytu

To, co piszę poniżej, w najmniejszym stopniu **nie jest** „antyukraińskie". Chciałabym jedynie wyprostować fałsze dotyczące sztuki naszych wschodnich sąsiadów, które to fałsze narastają z każdym rokiem rosyjskiej inwazji.

Monika Małkowska

Otóż na Ukrainie sztuki wizualnej – bo tak teraz nazywamy niegdysiejsze sztuki piękne – praktycznie nie było. O ile nie naciągać, że do wizu-artu można zaliczyć folklor, haftowane koszule, rzuciki zdobiące dzbany i malowanki na okiennicach i ścianach chat. Nie można też oszukiwać, że Lwów był centrum ukraińskiego życia kulturalnego – do wybuchu II wojny to był jeden z głównych polskich ośrodków nauki i kultury, miasto uniwersyteckie, gdzie dwie trzecie mieszkańców stanowili Polacy.

I oto na tle wiadomych działań wojennych staliśmy się świadkami narodzin nowoczesnej sztuki ukraińskiej, wyrosłej bez tradycji, bez zaplecza, bez szkół ani mistrzów. Fenomen na skalę światową! Polska ma w tym duże, żeby nie powiedzieć – wiodące zasługi, udzielając wschodnim sąsiadom swego artystyczno-intelektualnego wsparcia. Poczynając od miejsc na plastycznych uczelniach, poprzez stypendia, wynajmowanie lokali dla studiujących, aż po miejsca w prestiżowych galeriach, zakupy ukraińskich prac do polskich publicznych zbiorów, aukcje sztuki ukraińskiej, kuratorów, oprowadzania w języku ukraińskim i mnóstwo innych premii, jakimi obsypujemy twórców z zaatakowanego kraju. No, nasi też coś z tego skubną: instytucje (w tym kultury) mają statutowo zagwarantowane finansowe ulgi za pomoc obywatelom zza Buga.

Podciąganie na siłę

Suwerenna Ukraina zaistniała w 1991 roku, choć oficjalnie dopiero rok później. Niecały miesiąc temu (24 sierpnia), jak rokrocznie od tamtej pory, obchodziła Dzień Niepodległości. Tym razem rocznicę fetowano

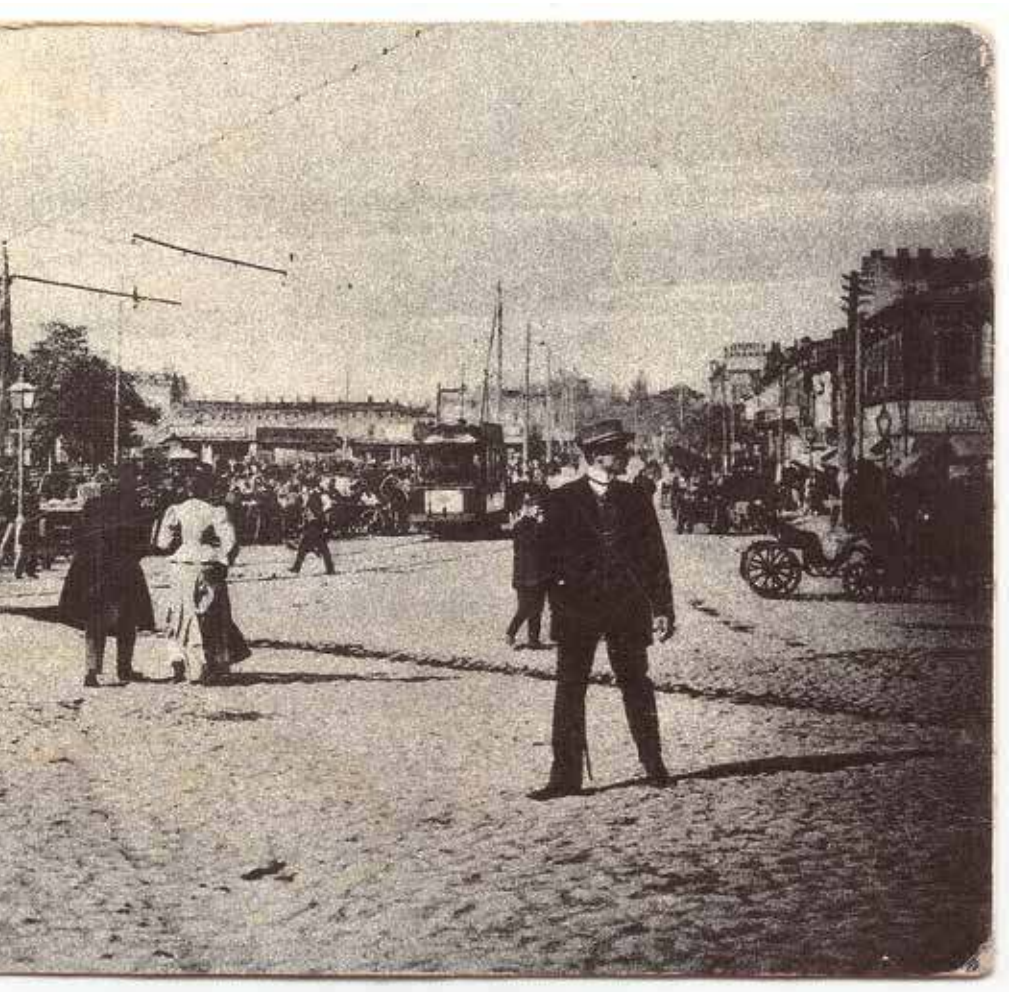
> MY, POLACY, STARAMY SIĘ WMÓWIĆ ŚWIATU, ŻE UKRAIŃSKA SZTUKA PLASTYCZNA DORÓWNUJE POZIOMEM DOKONANIOM ARTYSTÓW Z INNYCH EUROPEJSKICH KULTUR.



w Warszawie koncertem na placu Zamkowym. To nie był jedyny sygnał solidarności polskiego narodu z sąsiadami walczącymi z rosyjskim najeźdźcą – o czym wszystkim wiadomo, więc bez sensu powtarzać.

Jest jednak w naszych najnowszych relacjach rys szczególny, chyba nienotowany w jakimkolwiek innym dziejowym momencie ani kraju: my, Polacy, staramy się wmówić światu, że ukraińska sztuka plastyczna dorównuje poziomem dokonaniom artystów z innych europejskich kultur. Dla tego nagięcia byliśmy w stanie poświęcić nawet nasz dorobek, prestiż, naszą polską osobność. Co było powodem, że rok temu (w 2024) oddaliśmy polski pawilon w Giardini, na 60. Międzynarodowym Biennale w Wenecji, ukraińskiemu kolektywowi Open Group, który tamże zaprezentował instalację

eprasa.pl d4691ad3e6



Fot. Adobe Stock

Plac Galicyjski (obecnie plac Zwycięstwa) i żelazny kościół św. Jana Chryzostoma; Lwów, lata 1900. Zdjęcie archiwalne.

„Powtarzaj za mną II", choć dana nacja ma w weneckim Arsenale swoje stanowisko? Przede wszystkim chodziło o utrącenie „pisowskiego" (po przejęciu władzy przez Koalicję 13 grudnia) kandydata Ignacego Czwartosa, którego obrazy może nie zasługiwałyby na Złote Lwy, ale autor mówił głosem własnym, nie sterowanym przez neoliberalną narrację.

Kto po kim powtarza

Podczas ceremonii otwarcia ukraińskiej instalacji w pawilonie Pologna minister Bartłomiej Sienkiewicz wygłosił okolicznościową gadkę: „Sztuka nie wprowadza pokoju. Ale sztuka budzi emocje, które nie pozwalają pozostać obojętnym. Dwa miliony uchodźców w Polsce potwierdziło nam to, co tak naprawdę jest najważniejsze w życiu: ludzka solidarność, współczucie, empatia".

STALIŚMY SIĘ ŚWIADKAMI NARODZIN SZTUKI UKRAIŃSKIEJ, WYROSŁEJ BEZ TRADYCJI, BEZ ZAPLECZA, BEZ SZKÓŁ ANI MISTRZÓW.

Tytuł ukraińskiego projektu „Powtarzajcie za mną" zabrzmiał niemal ironicznie. Bo to Ukraińcy pilnie podpatrują i naśladują modne światowe trendy. A wielu twórców, którzy w czasie putinowskiej wojny uciekli z zagrożonych terenów, bezpiecznie usadowiło się w Polsce (czy w innym kraju), gdzie nie ma alarmów przeciwlotniczych, za to „za pochodzenie" dostaje się liczne benefity.

Po lutym 2022 roku na polskich Akademiach Sztuk Pięknych zaroiło się od uchodźców chętnych studiować wizu-art. Piszę tylko o bliskim i znanym mi kierunku (oraz zaistniałej tam sytuacji), ale przecież na wielu innych uczelniach (choćby Polsko-Japońskiej Akademii Technik Komputerowych) ogłaszany jest specjalny nabór do programu stypendialnego „dedykowanego" Ukraińcom.

Piazza Ukraina

Nie my jedni popisaliśmy się tak szerokim gestem. W 2022 roku, kilka miesięcy po wybuchu wojny na Ukrainie, organizatorzy 59. weneckiego Biennale zdecydowali się na innego typu premię dla walczącego narodu. O projekcie zatytułowanym „This is Ukraine: Defending Freedom" mówiło się wiele, choć była to „tylko" wystawa towarzysząca Biennale, naprędce zorganizowana w Scuola Grande della Misericordia. To nie koniec bonusów. Z pawilonu w Arsenale, gdzie zwyczajowo znajduje się ukraińska „miejscówka", przeniesiono niebiesko-żółtych w sam pępek Giardini, w pobliże pawilonu Stanów Zjednoczonych. Tamże zaimprowizowano Piazza Ukraina. To była bezprecedensowa nobilitacja! Teren placu wyznaczała drewniana instalacja wypalana lutownicą. Pośrodku tej przestrzeni skonstruowano wysoką „termitierę" z worków wypełnionych piaskiem (takimi samymi zabezpiecza się pomniki i dzieła sztuki, a także buduje barykady). Już to samo byłoby wystarczająco mocnym przekazem, ale kopiec posłużył również jako tło, „ścianka", na której urządzono kompletnie amatorski, improwizowany pokaz reprodukcji prac współczesnych ukraińskich artystów. Przy wilgotnej weneckiej aurze papierowe wydruki po jednym dniu zamieniały się w smętnie zwisające szmaty. Zamiast triumfu – żenada.

Doczepiona w ostatniej chwili

Na 59. weneckim Biennale nie był

eprasa.pl d4691ad3e6

to jedyny ukraiński akcent – i wcale nie jako nadrabianie wielosetletnich zaległości czy niespodziewane odkrycie zapoznanych talentów. Było to raczej siłowe awansowanie Ukrainy do europejskiego peletonu z racji, że kraj znalazł się w stanie wojny. Tak właśnie, w odruchu solidarności, uhonorowano ludową malarkę Marię Prymaczenko (1909–1997), w ostatniej chwili dokooptowując jej prace do głównej ekspozycji przeglądu „Mleko snów". Kuratorka tej części Cecilia Alemani przyznała, że nie miała pojęcia o dokonaniach tej ukraińskiej malarki ani o tym, że drobna część jej kompozycji, wystawianych w Muzeum Historyczno-Krajoznawczym w Iwankowie, w 2022 roku uległa zniszczeniu w efekcie rosyjskich bombardowań.

Bo, umówmy się, miejsce Prymaczenko jest wśród naiwistów, którzy owszem, awansowali do poważnych, prestiżowych muzeów, ale tylko w tak wyjątkowych przypadkach jak Celnik Rousseau. Ukrainka miała plastyczny zmysł, wyobraźnię, dryg do kolorów, jednak w sposób typowy dla samorodnych malarzy komponowała obrazy na zasadzie horror vacui. U niej każdy element dzieła musiał mieć szlaczek, rzucik, kontur, ozdóbki.

Ładne to, wdzięczne, dekoracyjne, lecz przydawanie tej sztuce znaczeniowej głębi jest stanowczo na wyrost.

Świeżo malowane

Co do Prymaczenko – znów Polacy wybili się na prowadzenie, jeśli chodzi o promowanie tej autorki. Od kwietnia do czerwca 2024 roku w Muzeum Sztuki Nowoczesnej odbyła się ostatnia w pawilonie nad Wisłą wielka wystawa: retrospektywa Marii Prymaczenko, nosząca tytuł „Tygrys w ogrodzie". Zdarzyło się to dwa lata po tym, kiedy polska publiczność miała okazję zetknąć się (po raz pierwszy?) z jej twórczością za sprawą pokazu plenerowego na dziedzińcu Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Wtedy jednak oglądaliśmy tylko reprodukcje.

PO LUTYM 2022 ROKU NA POLSKICH AKADEMIACH SZTUK PIĘKNYCH ZAROIŁO SIĘ OD UCHODŹCÓW CHĘTNYCH STUDIOWAĆ WIZU-ART.

W MSN przedstawiono gwasze z lat 1982–1994 pochodzące z prywatnej kolekcji Edouarda Dymshytsa. Oglądając tę prezentację, doznałam (i kilka innych osób) swego rodzaju szoku graniczącego z powątpiewaniem: w jaki sposób uboga kobiecina, większość życia spędzająca we wsi Bołotnia, miała dostęp do szlachetnych, kartonowych podkładów oraz do drogich farb Talensa, których czystość i wielość odcieni jest nie do podrobienia przez inne firmy? Są dwie możliwości – albo kolekcjoner dostarczył artystce ekskluzywne materiały, albo... hm, ktoś je wykonał, korzystając z szablonów Prymaczenko. Ale nie spekulujmy! Zresztą, nikt nie udzieli wiążącej odpowiedzi.

Z PAWILONU W ARSENALE PRZENIESIONO NIEBIESKO-ŻÓŁTYCH W SAM PĘPEK GIARDINI, W POBLIŻE PAWILONU STANÓW ZJEDNOCZONYCH. TAMŻE ZAIMPROWIZOWANO PIAZZA UKRAINA.

Stepy Europy

Pionierska prezentacja sztuki ukraińskiej w warszawskim Centrum Sztuki Współczesnej – Zamek Ujazdowski odbyła się już rok po proklamowaniu niezależności danej republiki sowieckiej. Jak zawsze widownię napędza ciekawość oraz chęć spotkania z czymś „nieoswojonym", jeszcze nie uładzonym przez komercję. Kuratorem wystawy „Stepy Ukrainy" z 1993 roku był Jerzy „Jura" Onuch, wykształcony w Lublinie i w Warszawie, za młodu związany z Pracownią Dziekanka. Od 1997 do 2004 roku pełnił funkcję dyrektora Centrum Sztuki Współczesnej przy Uniwersytecie Narodowym „Akademia Kijowsko-Mohylańska" pod patronatem Fundacji Sorosa. Nie muszę dodawać, że poza pierwszym zainteresowaniem sukcesu nie było. Ale po 2022 roku jesteśmy dosłownie zasypywani sztuką wizu spod niebiesko-żółtej bandery. I nie są to nieistotne pokazy, lecz pełną gębą wielkie ekspozycje w najbardziej prestiżowych miejscach. Wymienię te najgłośniejsze: „Ukraina. Pod innym niebem" (listopad 2022 – maj 2023, CSW – Zamek Ujazdowski), „Ukraina. Wzajemne spojrzenia" (wrzesień 2021 – styczeń 2022, NCK Kraków), „W oku cyklonu. Modernizm na Ukrainie" (czerwiec 2025 – luty 2026, Muzeum Sztuki w Łodzi).

W ten sposób, krok po kroku, przekonuje się polskich i europejskich odbiorców, że wyrosła „na stepie" plastyczna twórczość Ukrainy ma międzynarodowe ukorzenienie, że może konkurować z najlepszymi. Otóż nie, ukraińscy artyści są dopiero na starcie, najwyżej na rozbiegu. Oddając im do dyspozycji nasze sale wystawowe, media (mają przecież w Polsce ukraińskie radio i telewizję, oczywiście przez nas utrzymywane) i specjalistów, przydajemy im prestiżu. A wypełniając naszą publiczną przestrzeń twórczością made in Ukraina (specjalnie pomijam muzykę), sami tracimy tożsamość.

eprasa.pl d4691ad3e6

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ



Karol Gac

Trucizna na stole

3 września Komisja Europejska przyjęła umowę o wolnym handlu z Mercosurem, czyli związkiem handlowym państw Ameryki Południowej. Niestety, wiele wskazuje na to, że nie uda się jej zablokować na Radzie UE. To cios nie tylko w polskich rolników, ale również w konsumentów. Skutki wejścia w życie tego porozumienia będą bowiem opłakane.

W przestrzeni medialnej zaskakująco mało miejsca poświęca się umowie UE – Mercosur. O ile w jakiejś części można to usprawiedliwić tym, co dzieje się w Polsce, o tyle wieloaspektowe konsekwencje tego porozumienia odczujemy wszyscy. Niezależnie od powszechnego ignorowania (z chlubnymi wyjątkami) tego tematu, warto wiedzieć, co nam grozi. A grozi nam naprawdę sporo.

Po pierwsze, na negatywne skutki najbardziej narażeni są producenci wołowiny, drobiu i cukru. W negocjacjach uzgodniono tzw. kontyngenty taryfowe, czyli ściśle określone ilości towarów, które mogą być sprowadzane po obniżonej stawce celnej lub bez cła, które będą realną konkurencją dla europejskich rolników. W ubiegłym roku polski eksport produktów rolno-spożywczych osiągnął wartość 53,5 mld euro. Przykładowo Polska jest liderem w produkcji i eksporcie drobiu w UE, jest też trzecim eksporterem tego produktu na świecie, za USA i Brazylią. Jesteśmy również jednym z czołowych eksporterów wołowiny i rekordowym producentem cukru. Jest więc się o co bić, a zdaniem wielu ekspertów to właśnie w Polskę uderzy ta umowa najbardziej. Dlaczego? Ze względu na to, że umowa dotyczy tych segmentów rynku, w których Polska jest silnym graczem i od których zależy nasza wieś. Dla nas nie jest to więc drobna korekta, ale uderzenie w sam rdzeń naszej przewagi konkurencyjnej.

Po drugie, należy do tego dodać, że Komisja Europejska w przyszłym budżecie UE na lata 2028–2034 proponuje cięcie finansowania Wspólnej Polityki Rolnej z 387 mld euro do 300 mld euro, co może uderzyć w bezpieczeństwo żywnościowe UE. Nawet, jeśli nastąpi tu korekta, to i tak widać wyraźny trend, który jest wdrażany w wielu europejskich państwach (np. Holandii). A w tle mamy do tego szeroki import z Ukrainy. W efekcie powyższe trzy procesy, które dodatkowo nakładają się na siebie, grożą systemowym osłabieniem polskiego rolnictwa.

Po trzecie, warto też wspomnieć o zagrożeniach dla zdrowia. Jeśli umowa z Mercosur wejdzie w życie, to do Europy napłynie żywność zawierająca olbrzymie ilości zabronionych u nas pestycydów. Tylko sama Brazylia dopuszcza do użytku aż 3669 pestycydów, na czym zresztą zarabiają europejskie koncerny. Mamy więc do czynienia z ogromną hipokryzją Brukseli, która z jednej strony ogranicza europejskich rolników, a z drugiej chce sprowadzać żywność wyprodukowaną dokładnie w ten sposób, który u nas jest zabroniony.

Skoro wiemy już, kto na tym traci, to warto też zapytać, kto zyska. Oczywiście – Niemcy. To oni są największym orędownikiem umowy, bo będą jej największym beneficjentem. Niemiecki przemysł samochodowy i maszynowy dostanie szeroki dostęp do rynków Mercosuru. To umowa pisana pod niemieckie fabryki, a płacona zdrowiem europejskich konsumentów i losem europejskich rolników. I warto mieć tego świadomość.

eprasa.pl d4691ad3e6

Z ARCHIWUM Tomasza Gutrego



Basia: – Dziś zdjęcie sprzed dwóch lat, spod Warszawy, ale w pewien sposób historyczne.

Tomek: – Dokładnie działo się to w Dębem Wielkim. Grupa aktywistów zdemontowała czerwoną gwiazdę z tamtejszego pomnika Armii Radzieckiej.

– Na pomniku widnieje napis: „Wieczna sława bohaterom Czerwonej Armii poległym w boju za swobodę, niepodległość naszej ojczyzny”.

– Chyba więcej jest takich, którzy o tej wiecznej sławie woleliby zapomnieć. Dlatego cała ta akcja z 2023 roku i wiele podobnych na terenie całego kraju.

Rozmawiała Barbara Michałowska

eprasa.pl d4691ad3e6

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ



Tadeusz Płużański

1 i 17 września

Zarówno dzisiejsze Niemcy, jak i Rosja są kontynuatorami tych, które istniały we wrześniu 1939 r. Niemcy kanclerza Friedricha Merza są prawnym i moralnym następcą III Rzeszy Hitlera, a Rosja Putina jest następcą Rosji Stalina. Domaganie się odszkodowań od jednych i od drugich to po prostu akt sprawiedliwości dziejowej.

Co więcej, rachunek wobec Rosji byłby dużo wyższy. Ze względu na długość okupacji oraz intensywność zła, które nam wyrządziła. Nie byłoby II wojny światowej, gdyby nie Stalin. Hitler potrzebował gwarancji od Rosji i ją uzyskał – stąd pakt Ribbentrop – Mołotow, który w tajnym protokole zakładał IV rozbiór Polski. Nie byłoby 1 września, gdyby nie zobowiązanie, że nastąpi 17 września. 17 września miał zresztą nastąpić dużo wcześniej. Choć początkowo była mowa o 12, 13 września, Stalin zwlekał, bojąc się, że do wojny – zgodnie z umowami – włączą się Anglia i Francja.

Dlatego nie rozdzielajmy 1 września od 17, bo wtedy przyznawalibyśmy, że napadli na nas tylko Niemcy, a Rosja już nie. Tego chciałaby, rzecz jasna, Rosja Putina, w której intensywnie rozwijana jest propaganda, że wojna wybuchła w czerwcu 1941 r., kiedy niczemu niewinne Sowiety zostały zaatakowane przez agresywne hitlerowskie Niemcy. I ta propaganda działa. Bo coraz częściej na świecie Rosję Stalina przedstawia się nie jako agresora, okupanta, ale zwycięzcę i wyzwoliciela.

Istnieje również pewien problem prawny – z Niemcami byliśmy w stanie wojny, a z Sowietami nie. Ale przecież każde dziecko w szkole powinno wiedzieć, że pod pretekstem wyzwolenia ludności ukraińskiej i białoruskiej spod buta polskiego pana i rzekomego nieistnienia państwa polskiego Sowieci po prostu dokonali na nas zbrojnej agresji.

– Naszym podstawowym obowiązkiem jest zniszczenie Polski. Celem jest nie tylko zajęcie kraju, ale unicestwienie każdej żywej istoty... Bądźcie bezlitośni! Bądźcie brutalni... Postępujcie z najwyższą surowością... Ta wojna ma być wojną zagłady – mówił przed najazdem na Polskę Hitler, a Niemcy (nie naziści) go słuchali. Sowieci, choć ukrywali swoje prawdziwe cele, dążyli do tego samego: unicestwienia Polaków, stąd niszczenie narodu, szczególnie inteligencji, Katyń, wywózki na Sybir.

10 lutego 1940 r. – to druga data – po sowieckiej agresji 17 września 1939 r., która głęboko zapadła w pamięci mieszkańców Kresów. O świcie rozpoczęła się pierwsza masowa wywózka Polaków do syberyjskich łagrów, oficjalnie nazywana „przesiedleniem". Ocenia się, że podczas czterech wielkich deportacji, które trwały do czerwca 1941 r., na nieludzką ziemię Sowieci zesłali łącznie od 1,5 do 2 milionów Polaków. Sowieckie deportacje były jedną z największych zbrodni dokonanych na Polakach w latach 1939–1945. Szkoda tylko, że do dziś (w Polsce, a tym bardziej na Zachodzie) niewiele mówi się o zbrodniach Sowietów, w przeciwieństwie do zbrodni „nazistów".

Pamiętajmy o tym przed kolejną rocznicą tragicznego września 1939 r.: napaści sowieckiej Rosji na Polskę. I domagajmy się od Niemiec i Rosji nie tylko reparacji wojennych, lecz także odszkodowań m.in. za zbrodnie na ludziach, wykorzystywanie niewolniczej siły roboczej, niszczenie majątku narodowego, kradzieże.

eprasa.pl d4691ad3e6

Czytam, chadzam, doradzam, odradzam

Wojciech Stanisławski

Grudka w gardle

Caroline Crampton próbuje pogodzić nas z lękiem przed chorobą – nieostrym i bardziej powszechnym, niż się sądzi.

Szczęśliwi ci, którzy nie znają tych odczuć i – przede wszystkim może – tych zachowań: nerwowego przejeżdżania językiem po grudce, którą wyczuło się na podniebieniu. Niezgrabnego manewrowania dłonią pod pachą: czy to na pewno tam są te węzły chłonne, a jeśli tak, w jaki sposób rozpoznaje się, że są powiększone? Zerkania w lustrze na swoje białka, skórę przedramienia, język: czy na pewno nie są żółtawe...? Liczenia pieprzyków na plecach (owszem, niełatwo tak wykręcić głowę) i zastanawiania się, czy na pewno się nie powiększają; zastanawiania się, czy powracająca natrętnie w głowie zwrotka przeboju to nie przejaw obsesji? Krótko mówiąc: nie znają hipochondrii.

Sam termin jest jednym z pierwszych, jakie zostały sformułowane w dziejach medycyny – i jednym z niewielu, który od czasów Hipokratesa z Kos (to już, bagatela, prawie trzy tysiąclecia) zachował swoje znaczenie. Owszem, współczesna psychologia i psychiatria odmawiają mu prawomocności i dzielą na całą wiązkę „zaburzeń behawioralnych". W obiegowym rozumieniu, którego brytyjska dziennikarka i badaczka dziejów medycyny broni z całym przekonaniem, słowo to oznacza z grubsza to samo, co za czasów Hellenów: obezwładniający, powracający lęk przed bliżej nieokreśloną chorobą czy zaburzeniem organizmu; co gorsza, czasem bezzasadny, czasem nie.

Wyodrębnienie tej przypadłości przez Hipokratesa to jeszcze jeden dowód na to, że należy mu się tytuł „ojca medycyny", choć oczywiście, jeśli idzie o wiedzę szczegółową, sporo mu brakowało. Sam termin „hipochondria" lokalizuje dolegliwość, z którą zmaga się według niektórych szacunków co szósty człowiek, po prostu „pod żebrami", przez stulecia też było to pojęcie-worek, do którego wrzucano dziesiątki różnych manii, stanów lękowych i psychotycznych – a czasem po prostu niemożliwych do zdiagnozowania dolegliwości. Crampton prowadzi nas przez ten las chybionych wnioskowań, przez wielowiekową wiarę w „cztery humory" (krew, flegma, żółć i czarna żółć) rządzące ludzkim organizmem, ale i przez intelektualną pracę nad zdefiniowaniem samego pojęcia „choroby" jako powtarzającego się zestawu objawów i przypadłości, podobnego (choć czasem różnego w szczegółach) u różnych chorych i spowodowanego określonymi czynnikami. Zawadza i o narodziny psychiatrii, i o niepojęte dziś, a żywe do schyłku XIX wieku teoryjki o przyczynach kobiecej histerii... To ostatnie zwłaszcza czyni na mocno feministyczną nutę, ale szczerości jej wywodom przydaje to, że stale (może nawet zbyt często) odwołuje się do osobistego doświadczenia: nastolatki, u której zdiagnozowano najpierw chłoniaka, a następnie inny nowotwór złośliwy, i która mimo skutecznego wyleczenia od kilkudziesięciu lat zmaga się z lękiem przed „wznową".



Duże wrażenie zrobiło na mnie, jak zawsze, potwierdzenie tego, jak mocno jesteśmy jako gatunek osadzeni w historycznej rzeczywistości wokół nas. Powszechnie wiadomo, że zmieniają się urojenia: dwieście lat temu pacjenci z zaburzeniami osobowości roili, że są Napoleonami, dziś ich miejsce zajmują współcześni dyktatorzy i piosenkarze. Podobnie było z hipochondrią: w czasach antycznych częstszy, niż nam się wydaje, był u chorych lęk, że w rzeczywistości ulepieni są z podatnej na stłuczenie gliny, w średniowieczu glinę zastąpiło szkło, dziś chorzy lękają się tego, że pokruszą się w nich układy scalone.

Crampton w pewien sposób usprawiedliwia hipochondrię: samoobserwacja i umiejętność rozpoznania niepokojących objawów (zaczerwienienie, wysypka, obrzęk, kaszel) okazała się kluczowa dla przetrwania i rozwoju naszego gatunku, zwłaszcza, odkąd zaczęliśmy tworzyć większe zbiorowości. Hipochondrycy (którzy zresztą okazali się, podczas badań, znacznie bardziej spostrzegawczy niż przeciętna, jeśli chodzi o rozpoznanie człowieka w początkowym stadium choroby) mają po prostu tę zdolność „za bardzo" rozwiniętą. Dodatkowo uruchamia ją

eprasa.pl d4691ad3e6

u nich, oczywiście, ogólne poczucie niepewności. Bardzo też ciekawe, w jaki sposób poczucie to, „nadaktywny mechanizm unikania chorób", jest w nas umacniane przez zalew popinformacji na licznych portalach. W sytuacji, kiedy co drugi, trzeci dzień czytamy o tym, jak podstępny jest rak trzustki, kiedy bezustannie niemal jesteśmy przestrzegani przed „cichymi zabójcami" – trudno nie zacząć podejrzliwie rozglądać się nie tylko wokół, ale i po własnej skórze.

„Ciało ze szkła" to świetne, typowo brytyjskie połączenie reportażu społecznego i historii medycyny. Polska tłumaczka świetnie poradziła sobie z terminologią anatomiczną i psychologiczną, poległa dopiero na politycznej poprawności: termin „osoby niebiałe" (non-whites) w polskiej wersji rozpaczliwie kojarzy się z nabiałem, długo też zastanawiałem się, kim było wspomniane w jednej z relacji historycznych „plemię rdzennych Amerykanów". Czyżby „Indianin", nawet w przypadku wspomnień z 1725 roku, również znajdowało się na indeksie?

Caroline Crampton, „Ciało ze szkła. Historia hipochondrii", tłum. Martyna Tomczak, Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2025.

Białe szczeliny



Wystawy w dzielnicowych domach kultury czasami wydają się być tylko nagrodą pocieszenia dla niedzielnych artystów, pierwszym schodkiem do sławy, który okazuje się podium, postnym wieńcem laurowym, którego liści z trudem starczyłoby na zupę. Tym bardziej jeśli zważyć na okoliczności: nerwowy werbel piłeczek ping-ponga (zajęcia z motoryki piętro niżej), nerwowe szukanie klucza do zamkniętej od kilku dni sali oraz długopis w Księdze Pamiątkowej ociekający ohydnym lepkim tuszem, którego fiolet przez wiele dni po zwiedzaniu podziwiać można na ulubionej parze letnich spodni.

Tak zwykle bywa, także na Grochowie; jeśli jednak uda się uprosić klucz i otrzeć poplamione palce – można zobaczyć grafiki o wyjątkowej przejrzystości.

Anna Forycka-Putiatycka zaprezentowała kilkanaście linorytów, druki giclée, dwie bodaj akwatinty. Linoryty, w większości z dominującym czarnym tłem, nadają całej wystawie ton: białe, rozchodzące się koncentrycznie linie są na smolistym tle wyjątkowo wyraziste, są jak szczeliny, którymi wpada światło. Duże wrażenie robią dwa nakreślone w ten sposób, dramatyczne wizerunki katedry Notre Dame – oba z roku 2020, czyli już po wielkim pożarze: pajęcze kontury przypór, pinakli i wież robią (choć na pozór to prosty szkic architektoniczny) wrażenie wizerunku nie z tego świata. Znacznie spokojniejszy, bardziej uładzony jest linoryt ukazujący katedrę w szkockim Elgin, zrujnowaną w XVII wieku; imaginacja artystki wpisała w ziejące, puste miejsce po witrażowej róży ni to kontur ptaka, ni to tarczę wielkiego zegara.

Zarówno w tematyce tych grafik, jak i – bardziej jeszcze może – w ich tytulaturze można rozpoznać potrzebę devotio, czyli pobożności, czasem może po prostu podniosłości. To nie tylko wspomniane katedry: motyw witrażowej rozety, odsyłający do „róży mistycznej", powraca jeszcze kilkukrotnie, również na grafice wykorzystanej na zapowiadającym wystawę plakacie; równie jednoznaczny jest minimalistyczny, świetny fotogram zatytułowany „Szukając Pana". Nie zawsze ten głód wysokości jest fortunny: trawiastozielone „Żywe kamienie" wyglądają trochę jak staroświecka okładka powieści Berenta. „Anioł Historii" ma nie tylko ogromne, ciężkie stopy, rzadko spotykane u cherubów (można uznać, że wyrażają one Wolność i Konieczność, dwie siły, które wytyczają szlaki dziejów), ale i długi, wąski, wścibski nos księgowego. Za to „Marianna" (jedna z najnowszych prac), w brązach i rdzach, przedstawia twarz tak uduchowioną, że z takiej akwaforty na biurku uradowałby się każdy biskup.

Jeśli jednak ktoś ceni powściągliwość fabuły i kształtu, powinien ruszyć ku kilku linorytom poświęconym rybom, znajdującym się na końcu galerii. Zwięzłe, wrzecionowate kształty w sieciach, w wiadrze, w szklanej kuli są zarazem symbolem i wiernym zapisem: a już dwa krążące wokół siebie skalary w „Godach" (2022) – to jakby redukcja – skrócenie do tego, co najważniejsze – „Złotych rybek" samego Matisse'a.

Anna Forycka-Putiatycka, „Korzenie tożsamości", 5–24.09.2025 r., Centrum Promocji Kultury Praga Południe, ul. Podskarbińska 2, Warszawa.

eprasa.pl d4691ad3e6

Społeczeństwo

Jedyna słuszna FOBIA

Jak najłatwiej zamknąć rozmówcy usta? Niezawodną metodą jest zdeprecjonowanie niepokornego dyskutanta, wmówienie mu **deficytów i uprzedzeń**. Nawet jeśli tylko pyta – powinien wiedzieć, że błądzi.

Katarzyna Kasjanowicz

Fobia to zaburzenie nerwicowe charakteryzujące się irracjonalnym lękiem. Zaburzenie z samej swej definicji jest odchyleniem od normy, a więc czymś nieprawidłowym. Irracjonalny – pozbawiony konkretnej podstawy, niesłuszny, niezrozumiały. Taka diagnoza nie jest dobrą wizytówką. Dlatego łatwo zawstydzić kogoś, nazywając go ksenofobem czy homofobem, gdy mówi np. o nielegalnej imigracji. W ten sposób eliminuje się inne poglądy. Taki mechanizm ocenny nie działa jednak w drugą stronę. Wstydzenie się polskości to nie ojkofobia, a jawna nienawiść do chrześcijaństwa nie jest chrystofobią.

Ksenofob, islamofob, ukrainofob...

A może po prostu tylko ktoś, kto zadaje pytania o granice integracji i wzajemnej tolerancji? Od dekady, a więc początku kryzysu migracyjnego w Europie, pytać o pewne sprawy nie należy. Choć czy tylko nie należy, czy może jednak nie wolno, będziemy zastanawiać się w dalszej części tekstu. Jeszcze niedawno w publicznej dyskusji celowo zacierano znaczenie zupełnie różnych słów: „imigrant" i „uchodźca". Dlaczego? Bo uchodźca budzi współczucie, jest osobą w wyższej potrzebie i każdy, kto wyznaje humanitarne wartości, powinien mu pomóc. Uchodzi przed zagrożeniem, ucieka przed śmiercią i uchodźcą się staje w pierwszym bezpiecznym kraju, do którego przybywa. Imigracja to zazwyczaj stan z wyboru i on może, ale już nie musi, aktywować naszego współczucia do imigranta. W ostatnich latach zarówno Europa, jak i Polska, chcąc nie chcąc, stała się wielokulturowa. Na skutek zdarzeń geopolitycznych i personalnych decyzji zmieniła się struktura narodowościowa wielu krajów. Kwestie ekonomiczne i związane z bezpieczeństwem są kluczowe w dyskusjach o otwartości państw na nowych obywateli i możliwościach pomocy. Ale podejmowanie takich tematów jest równie ryzykowne, co spacer po polu minowym. Powoływanie się na problemy Szwecji, Francji czy Niemiec, które to kraje zdecydowanie nie poradziły sobie z imigracją i wielokulturowością, może sprowadzić na rozmów-



Fot. Adobe Stock

eprasa.pl d4691ad3e6

cę atak, który spowoduje szybkie zamknięcie mu ust. Każdy, kto śmie wyrazić subiektywną opinię, że państwa narodowe sprawdzały się przez wieki, nazywany jest ksenofobem.

Kto zaś nie potępia redukcji przywilejów dla obywateli Ukrainy w Polsce i pyta o ekshumacje ofiar rzezi wołyńskiej, bez względu na to, ilu ma ukraińskich znajomych i sąsiadów, musi liczyć się z etykietą ukrainofoba. Podobnie jak człowiek zadający z ciekawości pytanie, dlaczego gościnie z krajów islamskich noszą w Europie hidżaby, a Europejki na wczasach w państwach muzułmańskich powinny zakrywać włosy i nie eksponować symboli religijnych, może być nazwany islamofobem. Bo symetria zachowań, przywilejów i granic tolerancji, podobnie jak państwa narodowe, jest piętnowana. Nie można zatem dziwić się, że negatywne wypowiedzi o Polsce, publiczna kpina z tego, co z polskością najsilniej się kojarzy, to nie ojkofobia, ale wyraz nowoczesnej, europejskiej postawy.



KAŻDY, KTO ŚMIE WYRAZIĆ OPINIĘ, ŻE PAŃSTWA NARODOWE SPRAWDZAŁY SIĘ PRZEZ WIEKI, NAZYWANY JEST KSENOFOBEM.

Homofob czy sceptyk?

Słowo „homofob” było bodaj pierwszym neologizmem z przyrostkiem odnoszącym się do nieuzasadnionych lęków. Błyskawicznie weszło do codziennego słownika, wyznaczając ramy nowej rewolucji obyczajowej.

Bardzo szybko zaczęło określać nie tylko jednoznacznie negatywne zachowania wobec osób nieheteronormatywnych, ale też kwestie sporne, jak brak zgody na manifestacje w przestrzeni publicznej czy nawet zadawanie pytań. W środowisku osób utożsamiających się ze skrótem LGBTQ+ pojawiły się także takie określenia jak „transfobia” czy „bifobia”. Według European Institute for Gender Equality homofobia to „nieracjonalny strach oraz awersja do homoseksualizmu, lesbijek, gejów i osób biseksualnych oparta na uprzedzeniach”. Co jednak zrobić, jeśli strach nie łączy się z żadnymi uprzedzeniami, a jest zwykłym lękiem matki o syna, która woli, by założył tradycyjną rodzinę, bo zaakceptuje go każde środowisko, a ona doczeka się wnuków? Albo jak obiektywnie mówić o fobii, która jest wynikiem awersji często opartej na negatywnych doświadczeniach z przeszłości? Homofobia to nieprecyzyjna definicja i często krzywdząca dla osób, które nie mają negatywnych zamiarów wobec ludzi ze środowiska LGBTQ+. Czy ktoś, kto lubi lato, ale źle czuje się jesienią, to od razu „jesieniofob”? Na tej zasadzie każdy, kto odczuwa deficyty społecznej akceptacji, może wszystkim zarzucić jakiś rodzaj fobii. ILGA-Europe, międzynarodowa organizacja parasolowa, wspierająca społeczności LGBTQ+, co roku publikuje raport dotyczący praw osób nieheteronormatywnych. Z jej danych wynika, że Polska znajduje się na ostatnim miejscu w UE, a co druga osoba z tego środowiska doświadczyła mowy nienawiści i różnych form dyskryminacji. Spójrzmy jednak na osoby, które w epoce mody na ateizm i odchodzenia z Kościoła katolickiego mają

eprasa.pl d469ad3e6

odwagę dawać świadectwo wiary i sympatii dla tradycyjnych wartości? Ile razy usłyszały, że są „kościółkowe", „fanatyczne" albo wprost nazwano je „katotalibami"? Naśmiewanie się z Boga w obecności osób wierzących, dewastowanie miejsc kultu religii chrześcijańskiej, a zwłaszcza katolickiej, to przecież nie chrystofobia. Setki obraźliwych memów internetowych, jeśli tylko dotyczą chrześcijaństwa, są wyrazem wolności słowa.

KTO NIE POTĘPIA REDUKCJI PRZYWILEJÓW DLA OBYWATELI UKRAINY W POLSCE I PYTA O EKSHUMACJE OFIAR RZEZI WOŁYŃSKIEJ, MUSI LICZYĆ SIĘ Z ETYKIETĄ UKRAINOFOBA.

Moherowy beret a ageizm

Od przynajmniej kilku lat używa się określenia „ageizm" na dyskryminację osób wyłącznie ze względu na ich wiek. Najczęściej, i chyba najdotkliwiej, zjawisko to widać na rynku pracy. Niechęć do zatrudniania starszych kandydatów, mimo większego doświadczenia zawodowego, jest uznawana za ageizm. Ten rodzaj dyskryminacji to także lekceważące traktowanie w przestrzeni publicznej, obraźliwe komentarze dotyczące wieku czy wreszcie nieuwzględnianie potrzeb ludzi starszych w ofertach rozrywkowych i rekreacyjnych. Ageizm nie ma konkretnych ram wiekowych. Na rynku pracy zazwyczaj dotyka już ludzi, którzy przekroczyli 40. rok życia, w innych sferach narusza godność i poczucie wartości osób senioralnych. Chociaż coraz więcej mówi się o tym zjawisku i ocenia go jednoznacznie negatywnie, równolegle do niego znajduje się akceptowana pogarda wobec środowiska starszych, zazwyczaj głęboko religijnych, kobiet słuchających Radia Maryja. „Moher" (od moherowych beretów noszonych przez wiele seniorek) to stygmatyzujące miano, pociągające za sobą nie tylko uproszczenia, ale i prostackie skojarzenia. Na stronie internetowej teoretycznie z dziedziny językoznawstwa, której nazwy celowo nie będę przytaczać, znajdziemy wyjątkowo wulgarną definicję osoby określanej jako „moher". Dziwi i bulwersuje fakt, że w świecie walki z tzw. mową nienawiści wciąż istnieją przestrzenie w internecie, które jawnie obrażają i zohydzają kogoś, kto myśli inaczej niż administrator danego medium. W tej sytuacji doszło do całkowitego odwrócenia wartości. Bardziej wstydliwą postawą jest bronienie fanek Radia Maryja, niż ich obrażanie, istnieje bowiem społeczne przyzwolenie na wyśmiewanie, a nawet odczłowieczanie, tej konkretnej grupy środowiskowej.

Od Słowackiego do faszysty

Już w połowie XIX wieku Juliusz Słowacki nazwał Polskę „papugą narodów". W poemacie „Grób Agamemnona" odwołał się do naszego bezkrytycznego naśladowania obcych wzorców.

Polsko! lecz ciebie błyskotkami łudzą!
Pawiem narodów byłaś i papugą;
A teraz jesteś służebnicą cudzą
– Choć wiem, że słowa te nie zadrżą długo
W sercu – gdzie nie trwa myśl nawet godziny:
Mówię – bom smutny – i sam pełen winy!

Dwa wieki później wciąż nie jesteśmy wolni od bezrefleksyjnego naśladownictwa, bo to, co inne, zagraniczne, wydaje się lepsze. I choć supermarkety dawno zastąpiły PRL-owskie Pewexy, obce marki wyparły rodzime – Europa Zachodnia, Ameryka, nadal stanowią punkt odniesienia w sferze cywilizacyjnych wartości.

DLACZEGO GOŚCINIE Z KRAJÓW ISLAMSKICH NOSZĄ W EUROPIE HIDŻABY, A EUROPEJKI NA WCZASACH W PAŃSTWACH MUZUŁMAŃSKICH POWINNY ZAKRYWAĆ WŁOSY I NIE EKSPONOWAĆ SYMBOLI RELIGIJNYCH?

Przynależność do Unii Europejskiej twardo wyznacza zaś granice w wielu sferach codziennego życia Polaków. Dziś wyrażenie krytyki takiego stanu rzeczy, czy choćby tylko jawny smutek, nie wspominając już o przyznaniu się do winy, stanowią najkrótszą drogę do uzyskania etykiety „ksenofoba". A stąd już tylko

eprasa.pl d4691ad3e6

krok do bycia nazwanym „nacjonalistą" lub „narodowcem", co ma jednoznacznie pejoratywny wydźwięk. Warto przypomnieć, że termin „narodowiec" w Słowniku Języka Polskiego został wyjaśniony jako: „zwolennik w polityce kierunku narodowego – dążącego do utworzenia lub utrzymania niepodległego i silnego państwa". Czy jest w tym coś złego? Współcześnie przesunięto akcent w definicji z „naród jest najwyższą wartością" na „inne narody są nic niewarte". W naszej części świata (bo nie dotyczy to np. krajów afrykańskich) modny stał się dyskurs, którego celem jest kwestionowanie pozytywnej roli narodów w historii gatunku ludzkiego. Znów sięgnę po cytat, tym razem z poezji Jacka Kaczmarskiego:

Narody, narody! Po diabła narody
Stojące na drodze do szczęścia i zgody?
Historia nam daje dobitne dowody:
Pragniecie pokoju? – Usuńcie przeszkody –

Narody, narody, narody!

Mimo że „Limeryki o narodach" do absurdu sprowadzają przyczyny konfliktów etnicznych, niejedna osoba określająca się mianem liberała i Europejczyka chciałaby zatrzeć granice narodowościowe. Silna deklaracja poczucia przynależności do narodu polskiego jest dziś bardzo ryzykowna. Jeśli ktoś jeszcze ośmieli się powiedzieć, że jest patriotą, zaraz staje się podejrzany. Z coraz większą łatwością przypina się takiemu człowiekowi krzywdzącą etykietę „faszysty", choćby nie miał żadnych złych zamiarów. Przezornie stosuje się taktykę wyprzedzającą. Ale wyprzedzającą – przed czym? Czy jest to obawa przed własną opinią, własną tożsamością, której nie ma w powszechnie akceptowanym wykazie? A może po prostu takie dmuchanie na zimne? Fobia przed powtarzaniem historii?

JEŚLI KTOŚ OŚMIELI SIĘ POWIEDZIEĆ, ŻE JEST PATRIOTĄ, ZARAZ STAJE SIĘ PODEJRZANY.

Zamiana pojęć

Pół biedy, jeśli przypną nam tylko etykietę jakiegoś foba. Gorzej, kiedy w tej rozszalałej przepychance słownej ktoś posunie się jeszcze dalej. Zaklasyfikowanie inaczej myślącego dyskutanta jako „faszysty" zamyka usta i spycha w otchłań społecznego niebytu. Współcześnie taki stan nazywa się cancel culture. Przy tej okazji należy zwrócić uwagę na jeszcze jeden ważny czynnik manipulacyjny: zrównanie włoskiego faszyzmu z niemieckim nazizmem. Bardzo chętnie nazywa się faszystą kogoś o faktycznie ksenofobicznych poglądach lub tylko takich mu przypisywanych. Mimo że to niemiecki nazizm na pierwszy plan wysuwał kwestie narodowościowe i antysemickie. Ale jak tu mówić o nazizmie, który to termin wywodzi się od słowa „narodowy socjalizm"? W powojennej Polsce takie skojarzenia były daleko niestosowne, stąd podobnie jak w Związku Radzieckim dokonano procesu zrównania, a z czasem – zamiany pojęć. Dekady minęły, lecz jak widać, manipulacja się utrwaliła. To brak znajomości historii, zbieg okoliczności czy może celowa polityka wynikająca z faktu, że za taki przekaz i interpretację odpowiadają w dużej części współczesne środowiska lewicowe? Mimowolnie odnosi się wrażenie, że w całym tym sporze o rzekome lub prawdziwe uprzedzenia nie chodzi o dyskusję i znalezienie kompromisowych rozwiązań, ale o zakneblowanie ust jednej ze stron. Chociaż uprzywilejowanie konkretnych grup jest dyskryminacją innych, to sam termin „dyskryminacja" został odgórnie przypisany do mniejszości, nawet jeśli to większość w określonej sytuacji potrzebuje wsparcia. Tego jednak nowy światowy porządek nie przewiduje. Racja jest jedna i jak dogmat niepodważalna. Lecz w przypadku dogmatu religijnego możesz po prostu nie wierzyć. W tych konkretnych przypadkach też możesz nie wierzyć, ale jeśli chcesz być poważanie traktowany i mieć publiczne prawo wypowiedzi – musisz wyznawać. S

RYSUJĘ, CO MYŚLĘ **WASIUKIEWICZ**



eprasa.pl d4691ad3e6

HISTORIA

Kartka z kalendarza. **16 WRZEŚNIA** zdarzyło się:

1983 – Arnold Schwarzenegger otrzymał amerykańskie obywatelstwo;

2007 – w stolicy Iraku – Bagdadzie ochroniarze z amerykańskiej firmy Blackwater zastrzelili 17 irackich cywilów.

Pierwsza sowiecka okupacja, CZYLI LEKCJA POGLĄDOWA

Wieczorem 24 stycznia 1940 r. w sali bankietowej w lwowskiej restauracji Aronsona zbierali się polscy literaci, którzy od trzech miesięcy swym talentem **wspierali nową sowiecką władzę**. Siadali przy suto zastawionych stolikach, na których stały butelki z alkoholem, kieliszki oraz zakąski. Duszą towarzystwa był Władysław Daszewski, dyrektor Teatru Polskiego, a wtórował mu poeta Władysław Broniewski.

Sebastian Reńca

W pewnym momencie na salę wszedł wysoki i łysy mężczyzna, który według niektórych uczestników tamtej biesiady przypominał goryla, a towarzyszyła mu ładna blondynka o aparycji Marleny Dietrich. Aktorka o „reputacji puszczalskiej" od razu zwracała na siebie uwagę, była mocno umalowana, w długich czarnych rękawiczkach i kapeluszu z dużym rondem w tym samym kolorze. Para usiadła przy stoliku w rogu, a Daszewski od razu do nich podszedł. Chwilę porozmawiali, następnie Daszewski oznajmił zebranym, że nieznajomy gość jest wybitnym historykiem sztuki, który „chce z polskimi literatami porozmawiać o sztuce".

Historyk i aktorka przysiedli się do literatów. Rozmowa się nie kleiła. Poeta Wojciech Skuza próbował rozmawiać z aktorką, a Broniewski w tym czasie coś powiedział Rosjaninowi, ten wstał i uderzył w twarz Skuzę, zerwał obrus ze stolika, na podłogę posypały się butelki, talerze z zakąskami i kieliszki. W tym momencie na salę wpadli funkcjonariusze NKWD i rzucili się na biesiadników. Poeta Leon Pasternak zobaczył, jak rosyjski „pijany olbrzym", którym był historyk, chwycił za poręcz krzesła i cisnął nim w Broniewskiego: „Kwik kobiet, wrzaski, na niektórych twarzach krew. Nade mną gwiżdże noga od stołu, lecą blaty stolików, butelki pod nogami, okruchy szkła". Szkło pochodziło zarówno z butelek i talerzy, jak i rozbitych okien, przez które teraz wdarło się do środka zimne styczniowe powietrze. Wtedy aresztowano Aleksandra Wata, Tadeusza Peipera, Anatola Sterna i Władysława Broniewskiego i zawieziono ich do lwowskiego więzienia na Zamarstynowie. Tego samego dnia wyciągnięto z mieszkań i aresztowano Teodora Parnickiego, Wacława Grubińskiego i Herminę Naglerową.

„DROGA DONIKĄD" TO Z JEDNEJ STRONY POWIEŚĆ, ALE W ISTOCIE TO RELACJA O TAMTYM STRASZNYM CZASIE W WILNIE I W OGÓLE NA WILEŃSZCZYŹNIE.

Jeden z najważniejszych polskich pisarzy ubiegłego wieku Gustaw Herling-Grudziński 5 stycznia 1977 r. notował w swym „Dzienniku pisanym nocą", że tamta sowiecka okupacja Lwowa była swego rodzaju poligonem doświadczalnym powojennej rzeczywistości krajowej, a więc skundlenia „intelektualistów" piszących pean any na cześć Stalina, Związku Sowieckiego, Armii Czerwonej itd. Na tamtym poligonie lat 1939–1941 szalały „wśród intelektualistów (z nielicznymi wyjątkami) strach, głupota i znieprawienie". Niemal dwie dekady później Herling dodawał, że miasto było „pogrążone w koszmarze okupacji sowieckiej", ale pobyt we Lwowie był dla niego bardzo ważny, ponieważ zobaczył w nim wspomniany „poligon doświadczalny sowietyzacji przeprowadzonej

eprasa.pl d4691ad3e6



Fot. Wikipedia

Mapa ostatecznego rozbioru Polski pomiędzy III Rzeszę a ZSRR z 28 września 1939 r. z wytyczoną linią graniczną; podpisy: Stalin, Ribentropp, data

na polskiej inteligencji" i ta przykra wiedza została mu na całe życie.

Trzy dni później, 27 stycznia, w polskojęzycznym „Czerwonym Sztandarze" można było przeczytać, że w restauracji „grupa zdeprawowanych osobników urządziła pijatykę i pijacką burdę" i dalej autor artykułu pisał: „Jest rzeczą oczywistą, że deprawacja moralna i orgie pijackie stwarzają grunt, na którym żerują agentury kontrrewolucyjne. Toteż tego rodzaju elementom powinno się uważnie przyjrzeć społeczeństwo radzieckie – i w szczególności powołane do tego organy".

Masowe deportacje

„Społeczeństwo radzieckie", a przede wszystkim „powołane do tego organy" już 10 lutego 1940 r. zorganizowały pierwszą masową deportację Polaków na Sybir. W głąb Związku Sowieckiego wywieziono ok. 140 tys. osób. Kolejne deportacje odbyły się 13 kwietnia 1940 r. (ok. 61 tys. osób), 29 czerwca 1940 r. (ok. 80 tys. osób) oraz w przededniu ataku III Rzeszy na ZSRS – 20 czerwca 1941 r. (od 31 do 52 tys. osób). Zawsze odbywały się one według określonego scenariusza. Trójki operacyjne NKWD wchodziły do mieszkań nocą. Szybkiemu pakowaniu towarzyszyły krzyk, bicie i ujadanie psów. Potem wielotygodniowa podróż w bydlęcych wagonach, która dla niejednego zesłańca kończyła się śmiercią.

Ojciec małego Aleksandra ze Lwowa, który był oficerem rezerwy, został aresztowany przez Sowietów 9 grudnia 1939 r. Olek i jego najbliżsi trafili w kwietniu 1940 r. do Krasnegoskatowodu. „Były tam dwie stajnie i gliniana lepianka brygadiera na pustym stepie. Mieszkaliśmy w cielętnikach na ziemi. Nie dali się modlić, nie dali nam chleba i kazali czyścić stajnie". Żeby kupić chleb dla rodziny, matka Olka szła 30 km do sklepu.

17 września 1939 r. i atak Związku Sowieckiego oraz okupacja wschodniej Polski przez Armię Czerwoną oznaczały dla mieszkańców tamtych ziem oraz uchodźców przede wszystkim strach, biedę, wywózki, więzienie. Był to więc czas straszny, po 1945 r. nie można było głośno mówić w PRL o tamtej okupacji, tak jak nie można było mówić o oficerach zamordowanych w Katyniu i zbrodniach popełnianych przez Armię Czerwoną i NKWD podczas sowieckiego pochodu na Berlin.

Sowietyzacja i strach

W piątek po południu, 22 września 1939 r., do Lwowa wkroczyły oddziały Armii Czerwonej. Zaczęła się okupacja miasta na wskroś polskiego.

Jeden z mieszkańców zapamiętał, że tamtego dnia na drogach leżała broń porzucona przez

eprasa.pl d4691ad3e6

polskich żołnierzy, którą „zbierała ulica”. Wojskowe żelazne porcje również trafiały do cywilów. W chaosie „ulica” rabowała również magazyny żywnościowe, niekiedy do głosu dochodziły też i rachunki osobiste, które kryminaliści załatwiali chociażby z policjantami.

W archiwum Instytutu Hoovera znajdują się tysiące relacji polskich dzieci, które przetrwały sowiecką okupację i wywózkę na Wschód. Wśród nich jest wspomnienie Wiesława ze Lwowa, który zapamiętał, że bardzo szybko w jego rodzinnym mieście zniknęły z ulic polskie napisy, które zastąpiono rosyjskimi, a do mieszkań zajmowanych przez całe rodziny zakwaterowano sowieckich oficerów. Szybko też zaczęło brakować chleba, cukru, mydła, mięsa, węgla i drewna na opał itd. „Sowieccy żołnierze i oficerowie dziesiątkami kupowali cyrkle, guziki, stosy zeszytów i na kila mydło. Sklepy z materiałami zostały do kilku dni opróżnione. W teatrze spotykało się kobiety rosyjskie w «naszych» koszulach nocnych, zaś oficerowie myli się w ubikacjach, dziwiąc się, dlaczego ta woda tak szybko ucieka”.

Zajęcie miasta przez Sowietów było pokłosiem układu zawartego pomiędzy Hitlerem i Stalinem w sierpniu 1939 r.

„Ci, którzy przeżyli okupację sowiecką 1939 do 1941 roku we Lwowie czy Wilnie, mieli po prostu pojęcie o systemie sowieckim, jego pokaz in nuce. Tacy jak ja uważali, że rok 1945 to nie jest żadne wyzwolenie, tylko po prostu najazd, dalsza, dłuższa, znacznie trudniejsza do przeżycia moralnego okupacja. Ja miałem doświadczenie lwowskie. Była to lekcja poglądowa, po której nie pozostawały właściwie żadne wątpliwości co do zamiarów, koloru władzy i jej intencji. Dla mnie była to po prostu odmiana faszyzmu” – mówił Zbigniew Herbert w rozmowie z Jackiem Trznadlem, która została opublikowana w książce „Hańba domowa”.

> ***Chleb drożał, mąki było brak, cukier dostawało się dopiero po długim staniu w kolejce [...]. Ale samogon! Samogon ze zboża! Samogon z kartofli! Samogon z cukru! Samogon z mąki! Samogon pędzili wszyscy.***
>
> „Droga donikąd”, JÓZEF MACKIEWICZ

Pisarz i poeta Aleksander Wat, który znalazł się w okupowanym przez ZSRS Lwowie w październiku 1939 roku, opowiadał Czesławowi Miłoszowi, że do momentu aresztowania – 24 stycznia 1940 r. – wciąż się bał, że to były trzy miesiące permanentnego strachu, tchórzostwa, udawania i kłamstwa, „to był najobrzydliwszy okres mojego życia”.

W ARCHIWUM INSTYTUTU HOOVERA ZNAJDUJĄ SIĘ TYSIĄCE RELACJI POLSKICH DZIECI, KTÓRE PRZETRWAŁY SOWIECKĄ OKUPACJĘ I WYWÓZKĘ NA WSCHÓD.

Litewski nacjonalizm

Wilno miało nieco inną historię niż Lwów. Miasto zajęte przez Sowietów już pod koniec października zostało przekazane Litwie. Okupowane miasto szybko zaczęło się zmieniać, tak jak we Lwowie zniknęły z ulic polskie napisy, tak samo stało się w Wilnie. Jednak tutaj zamieniono je na litewskie.

Żeby zrozumieć litewski nacjonalizm, warto sięgnąć po książkę Józefa Mackiewicza „Prawda w oczy nie kole”. Autor oceniał Litwinów, którzy z łaski Związku Sowieckiego przez kilka miesięcy władali Wilnem – do czerwca 1940 r. – jako nacjonalistów, szowinistów z płaskim patriotyzmem, „którego najoczywistszym wyrazem jest ślepa polonofobia”.

Litewska policja była bezpardonowa i chamska wobec Polaków. Przełom lat 1939/1940 w Wilnie to również zamknięcie Uniwersytetu Stefana Batorego i zwolnienie z pracy nie tylko wykładowców, ale też... woźnych. Mackiewicz, podsumowując politykę Litwinów wobec swych polskich sąsiadów, pisał, że Litwini w swej chorobliwej manii zwalczania polskości wykorzystali to, że Polska, a tym samym Polacy, byli wobec nich bezbronni.

Bolszewizm w literaturze

By dowiedzieć się, jakim miastem było Wilno okupowane przez Sowietów, warto sięgnąć po trzy książki: „Nikt nie da nam zbawienia” i „Zapiski oficera Armii Czerwonej” Sergiusza Piaseckiego oraz „Drogę donikąd” Józefa Mackiewicza. Obaj pisarze żyli w tym mieście, w którym po czerwcu 1940 r. zapanował strach podobny do tego w okupowanym przez ZSRS Lwowie.

„Poza powieściowymi osobami wszystko jest autentyczne w tej relacji. Ludzie, zwierzęta i rzeczy; zdarzenia, tajne dokumenty i daty; nazwy wsi; świt i zachód o czasie moskiewskim, linia przebiegająca rojstami, która dzieliła litewską i białoruską republikę sowiecką, a także kierunek każdej drogi” – informował we wstępie Mackiewicz.

eprasa.pl d4691ad3e6

Pisarz, opisując swe Wilno, odnotował, że bardzo szybko wszyscy jego mieszkańcy „wpadli na ten sam pomysł, aby się sztucznie przybiednić. Kobiety zamiast kapeluszy włożyły chustki na głowę, mężczyźni zaś czapki". Chodziło o to, aby „jak najmniej [się] wyróżniać, zlać z otoczeniem możliwie najidealniej, przystosować do tła".

„Droga donikąd" to z jednej strony powieść, ale w istocie, to relacja o tamtym strasznym czasie w Wilnie i w ogóle na Wileńszczyźnie. Jan Bielatowicz na łamach katolickiego tygodnika „Życie", który ukazywał się w Londynie, pisał w roku 1955, że „Droga donikąd", „to nie tylko epos o przemocy, ale i świetna znajomość jej mechanizmu". Ja bym dodał, że to również obraz okupacji, którego nie znajdziemy w żadnym opracowaniu historycznym, bo gdzie przeczytamy, że „Chleb drożał, mąki było brak, cukier dostawało się dopiero po długim staniu w kolejce przed drzwiami kooperatywy, jeżeli wypadkowo wydawano po funcie na głowę mieszkańca. Ale samogon! Samogon ze zboża! Samogon z kartofli! Samogon z cukru! Samogon z mąki! Samogon pędzili wszyscy".

Powieść można traktować więc jako pełną informacji, które dziś umykają badaczom. Jedną z nich jest np. ta, że władza sowiecka, walcząc ze spekulacją, wprowadziła niepisany zakaz wolnego poruszania się po terenach włączonych do „wielkiej rodziny narodów wyzwolonych". Jak pisał Mackiewicz „na stacjach nie było nigdzie napisane, że kolejami jeździć nie wolno, owszem, podmiejskimi było wolno, ale dalekobieżnymi... «Po co? », pytał kasjer przy okienku. «Pokaż dokument podróżny». Tuż przy okienku stał agent NKGB. Kandydat na pasażera wycofywał się zazwyczaj tyłem, z uśmiechem winowajcy na ustach, a później bokiem, bokiem, usiłował czym prędzej zniknąć w tłumie".

Oczywiście deportacje, takie jak te, które dotknęły mieszkańców Lwowa, były również w Wilnie. I znów mechanizm był ten sam. „Zabierano tylko z domów, w wyjątkowych wypadkach z miejsc pracy, prawie nigdy z lokali publicznych. [...] Zajeżdżano do jednego domu, zabierano rodzinę figurującą na spisie ewidencyjnym NKGB i jechano pod nowy adres. W ten sposób niektórzy z wcześniej aresztowanych krążyli po mieście tam i sam w ciągu kilku godzin, mijali się nawzajem, znowu jechali" – pisał Józef Mackiewicz.

WILNO ZAJĘTE PRZEZ SOWIETÓW JUŻ POD KONIEC PAŹDZIERNIKA ZOSTAŁO PRZEKAZANE LITWIE.

Publicysta Karol Zbyszewski, omawiając na łamach londyńskich „Wiadomości" powieść Sergiusza Piaseckiego „Człowiek przemieniony w wilka", zwracał uwagę na to, jak pisarz widział solidarność między Polakami z tego okresu. „Pod okupacją ludzie się namiętnie oszukują, są dla siebie wzajem wilkami i szakalami, nie dowierzają sobie w niczym – słusznie, wszyscy są źli, zgorzkniali, nienawistni o oschłym sercu".

Piasecki też celnie scharakteryzował „homo sovieticusa" w powieści „Zapiski oficera Armii Czerwonej". W osobie młodszego lejtnanta Michała Zubowa pisarz skumulował wszystkie swoje obserwacje dotyczące mieszkańców Związku Sowieckiego, którzy znaleźli się w Wilnie w roku 1940. „Mentalność lejtnanta Zubowa charakteryzuje połączenie ideologicznego zaślepienia, wiernopoddańczego posłuszeństwa władzy, oportunizmu i asekuranctwa z chełpliwością, grubiaństwem, tchórzostwem i atrofią moralną" – pisze Krzysztof Polechoński w „Żywocie człowieka uzbrojonego".

„Zapiski...", ta niewielka książka, o wiele celniej i lepiej charakteryzuje sowieckich „wyzwolicieli" od niejednego poważnego opracowania naukowego.

Pierwsza okupacja sowiecka skończyła się wraz z atakiem Rzeszy na ZSRS. Sowieci pozostawili po sobie m. in. trupy więźniów, których nie mogąc ewakuować na wschód, masowo mordowano. Dwudziestoletni, późniejszy świetny pisarz, Stanisław Lem znalazł się wśród tych mieszkańców Lwowa, których Niemcy zapędzili do wyciągania zwłok we lwowskim więzieniu „Brygidki". Według Agnieszki Gajewskiej, która napisała biografię pisarza, Lem do końca życia zadawał sobie pytanie, dlaczego wtedy ocalał, gdy ukraińscy bandyci i polskie lumpy urządzili w mieście pogrom jego żydowskim mieszkańcom. S

ATENCJA MICHALSKI



eprasa.pl d4691ad3e6

Pogromca Krzyżaków

Panował w Polsce 45 lat, wcześniej zostając władcą Litwy. Był jednym z **lepszych królów Polski**, chociaż nie płynęła w nim ani jedna kropla polskiej krwi. Syn sławnego Jagiełły i ostatniej jego żony Zofii (Sonki) wziął imię od brata, który umarł jako dziecko.

Piotr Łopuszański



Fot. Wikimedia Commons

Kazimierz Jagiellończyk w cyklu „Wizerunki książąt i królów polskich" Ksawerego Pillatiego z 1888 r.

Kazimierz Jagiellończyk był czwartym, a nie trzecim (jak podaje Wikipedia) dzieckiem tej pary. Nieprzychylny Jagiellonom Jan Długosz rozpowszechnił plotkę, jakoby Kazimierz nie był synem sędziwego króla Władysława. Podobieństwo następcy tronu do Jagiełły było jednak wyraźne.

Kazimierz był wysoki, silny, wytrzymały na mróz i trudy walki. Nie pił alkoholu, lecz tylko wodę, w czym naśladował swojego ojca. Żył 65 lat i utrwalił rządy Jagiellonów w Polsce. Jako władca podejmował decyzje po namyśle, co czasem okazywało się dla niego korzystne (jak w przypadku przyjęcia korony polskiej), czasem jednak ktoś inny go ubiegł.

Gdy zmarł cesarz Zygmunt Luksemburski, panowie czescy zaoferowali koronę małoletniemu Kazimierzowi. Doradca króla Władysława (zwanego później Warneńczykiem) Zbigniew Oleśnicki odradzał przyjęcie korony Czech z powodów religijnych, w Czechach bowiem dominowali husyci. Władysław zdecydował jednak, że jego brat Kazimierz pojedzie do Pragi. Ten zwlekał i polskiego kandydata do tronu ubiegł Albrecht Habsburg, który koronował się na króla Czech. Habsburgowie rozpętali też w Europie kampanię oszczerstw i pomówień przeciwko Kazimierzowi, podobną do tej, która niemal 600 lat później ugodziła w Karola Nawrockiego. Najmniej ciężki zarzut to ten, że polski książę jest wrogiem pokoju.

Jeszcze za rządów Władysława Kazimierz został wielkim księciem na Litwie. Miał być tylko namiestnikiem Litwy. I w takiej roli wyruszył z opiekunami do Wilna. Tymczasem bojarzy litewscy postanowili uczynić go wielkim księciem, co było

faktycznym zerwaniem unii z Polską. W myśl ustaleń z Horodła Litwa została przyłączona do Korony. Brat króla mógł w jego imieniu sprawować urząd namiestnika, a nie samodzielnie władać obszernym krajem. Jednakże młody Kazimierz traktował Wielkie Księstwo Litewskie jako swoją ojcowiznę. Litwini 29 czerwca 1440 roku obrali go wielkim księciem. Naruszona została zasada unii między Królestwem Polskim a Wielkim Księstwem Litewskim. Kazimierz odesłał opiekunów z Polski i objął rządy w Wilnie, które przez dłuższy czas faktycznie sprawowali bojarzy z Janem Gasztołdem na czele.

Wielkie Księstwo rozciągało się wówczas od Połągi nad Bałtykiem po Oczaków nad Morzem Czarnym, od rzeki Oki na północy, rzeki Moskwy na wschodzie, po Węgrów na Podlasiu na zachodzie. W skład księstwa wchodziły Wilno, Kowno, Troki, Lida, Krewo, Mińsk, Witebsk, Kijów, Kursk i Wiaźma. Było to obszerne, chociaż słabo zaludnione państwo. Korona, chociaż mniejsza, była znacznie bogatsza, jednakże na Litwie Kazimierz był dziedzicznym władcą, a w Polsce obowiązywała zasada elekcji.

Przez cztery lata nie utrzymywał kontaktów z Koroną. Unia faktycznie nie istniała. Podobna sytuacja powtórzy się po śmierci Kazimierza, gdy tron w Krakowie obejmie Jan Olbracht, a wielkim księciem zostanie jego brat Aleksander.

W 1444 roku w bitwie z Turkami pod Warną zginął król Polski Władysław Warneńczyk. Posłowie z Korony udali się na Litwę, by zaoferować tron bratu zabitego. Postawili warunek: przestrzeganie zasad unii oraz potwierdzenie dawnych przywilejów. Kazimierz jednak zwlekał. Pod pretekstem, że nie odnaleziono ciała króla, czekał, aż panowie polscy będą go prosić o to, aby łaskawie przyjął koronę. W Polsce pojawiły się wtedy pomysły, aby koronować kogoś innego. Oferowano nawet koronę książętom mazowieckim. Jednakże wśród polskich możnych zwyciężyła idea jagiellońska.

Ostatecznie Kazimierz Jagiellończyk przyjął tron polski, ale nie uznał zapisanej w dokumentach podległości Litwy Koronie. Traktował oba państwa jako równe. Polska wiele zaoferowała Litwie, dając tron Jagielle pod warunkiem przyłączenia do państwa polskiego jego dziedzictwa, a syn Jagiełły to porozumienie złamał. Mimo młodego wieku nie słuchał napomnień kardynała Oleśnickiego i prowadził samodzielną politykę. Oleśnicki, który wcześniej faktycznie rządził Polską, został odsunięty.

Kazimierza koronowano w Krakowie 25 czerwca 1447 roku. Młody król przez pięć lat nie potwierdził dawnych praw ani nie uwzględnił roszczeń Korony do Podola, co przyczyniło się do zerwania zjazdu w Piotrkowie. Konflikt z kardynałem Oleśnickim sprawił, że Kazimierz szukał sojuszników i w 1453 roku zaprzysiągł prawa rycerstwu i miastom. Zobowiązał się też do odzyskania zagarniętych ziem. Jak Jagiełło bardzo dbał o interesy Litwy, ale też Polskę uważał za swoje królestwo, i to różniło go od jego ojca.

Kazimierz miał twardy charakter. Był uparty, zawsze dążył do wyznaczonego celu. Rzadko ustępował, bo wolał mieć ostatnie słowo. Jako król polski chciał obsadzać biskupów. I tak czynił. Natomiast nie zdołał umieścić na tronie biskupa Warmii swego syna Fryderyka. Biskupem został wuj Mikołaja Kopernika, Łukasz Watzenrode. Król tego faktu nigdy nie uznał.

KAZIMIERZ JAGIELLOŃCZYK PRZYJĄŁ TRON POLSKI, ALE NIE UZNAŁ ZAPISANEJ W DOKUMENTACH PODLEGŁOŚCI LITWY KORONIE. TRAKTOWAŁ OBA PAŃSTWA JAKO RÓWNE.

Z ELŻBIETĄ ZWANĄ RAKUSZANKĄ SPŁODZIŁ TRZYNAŚCIORO DZIECI. SYNOWIE ZOSTALI WŁADCAMI POLSKI, LITWY, CZECH I WĘGIER.

eprasa.pl d4691ad3e6

Poślubił wnuczkę cesarza Zygmunta Luksemburskiego, Elżbietę z Habsburgów, córkę wspomnianego Albrechta. Nie była urodziwa. W dzieciństwie chorowała na gruźlicę kości, miała zdeformowany kręgosłup. Gdy Kazimierz ją ujrzał przed ceremonią ślubną, chciał odesłać Elżbietę do domu. Doradcy przekonali króla, że skutki byłyby złe dla kraju, że powinien się poświęcić. Wyjątkowo władca ustąpił i ceremonia zaślubin się odbyła.

Elżbieta okazała się sympatyczna i inteligentna. Często się uśmiechała i wzbudzała sympatię na dworze. Mimo że król nie otrzymał obiecanego posagu (100 tysięcy czerwonych złotych), stworzył z żoną dobrany związek. Z Elżbietą zwaną Rakuszanką spłodził trzynaścioro dzieci. Synowie zostali władcami Polski, Litwy, Czech i Węgier. Wśród synów był późniejszy kardynał (Fryderyk) i święty (Kazimierz, patron Litwy), zaś córki wyszły za władców europejskich, dzięki czemu krew Jagiellonów do dziś płynie w żyłach przedstawicieli rodów królewskich Zjednoczonego Królestwa, Niderlandów, Danii. Nawet rody zaborców (Hohenzollernów) wywodziły się od tej pary królewskiej. Nie wpłynęło to jednak na politykę Prus wobec Polski.

Na ceremonię ślubną przybyła delegacja Związku Pruskiego, która prosiła króla Polski o pomoc w walce z Zakonem Krzyżackim. W państwie zakonnym wybuchło powstanie. W Gdańsku, Toruniu, Królewcu mieszczanie wygnali załogi krzyżackie i zburzyli zamki Zakonu.

Żądając od Kazimierza przywrócenia ziem oderwanych, panowie polscy mieli na myśli Śląsk, który znalazł się pod panowaniem czeskim, Pomorze Gdańskie i ziemię chełmińską. Świetne zwycięstwo Jagiełły nad Zakonem Najświętszej Marii Panny w 1410 roku pod Grunwaldem, które obrosło legendą, nie zostało wówczas dyplomatycznie wykorzystane. Król Władysław w traktacie pokojowym uzyskał dla Litwy Żmudź, dla Polski tyle, co nic. Jagiełło bowiem czuł się bardziej Litwinem niż królem Polski. Jego młodszy syn Kazimierz pół wieku po ojcu postanowił naprawić błąd Jagiełły. Na prośbę stanów pruskich inkorporował całe Prusy, a więc ziemie Zakonu. Doprowadziło to do wojny, która ze zmiennym szczęściem trwała aż 13 lat.

Wbrew tym historykom, którzy utożsamiają interes Kościoła z interesami Polski, w wojnie zarówno papieże (Mikołaj V, Kalikst III, Pius II i Paweł II), jak i cesarz Fryderyk III Habsburg opowiedzieli się po stronie Zakonu. Legat papieski i wysłannicy Sejmu Rzeszy Niemieckiej żądali od polskiego króla zwrotu Prus Zakonowi. Wysłannik papieża wzywał ponadto, by Polska obróciła swój oręż przeciwko Turcji, a nie walczyła z Zakonem. Na Związek Pruski nałożono ekskomunikę.

Przywódcy Związku Pruskiego, mimo ekskomuniki i groźby kary śmierci, opowiadali się za związkiem z Polską. W maju 1454 roku na Rynku Staromiejskim w Toruniu król Kazimierz przyjął hołd od mieszkańców miasta. Hołd Polsce złożyli także mieszczanie w Elblągu i Królewcu.

Wojna nie była pasmem polskich sukcesów. Po zdobyciu Sztumu Polacy bezskutecznie oblegali Malbork, a następnie ponieśli klęskę pod Chojnicami. To wtedy okazało się, że dawny sposób prowadzenia wojen oparty na pospolitym ruszeniu już nie ma racji bytu. Należało to zreformować i powołać stałą armię. Do tego nie doszło. Król był słabym dowódcą i dopiero powołanie Piotra Dunina na stanowisko dowódcze zmieniło los wojny. Udało się pokonać flotę Krzyżaków, a stołeczny Malbork wykupić od zaciężnej załogi, której Zakon nie płacił żołdu. W Toruniu zawarto pokój, na mocy którego Pomorze Gdańskie, Elbląg, Malbork, Toruń, Chełmno, Grudziądz, Brodnica i biskupstwo warmińskie weszły w skład Królestwa Polskiego jako Prusy Królewskie. Reszta dawnego państwa Zakonu, Prusy Zakonne z Królewcem, Kłajpedą, Szczytnem i Nidzicą, pozostawały przy państwie krzyżackim, które jednak straciło na papierze swoją suwerenność. Każdy wielki mistrz miał składać hołd królom Polski.

Negocjacje pokojowe toczyły się w Nieszawie, pod Zamkiem Dybowskim. Po inkorporacji Pomorza i innych ziem do Polski król usłuchał próśb mieszczan toruńskich, którzy finansowali wojnę i nakazał...

CÓRKI KAZIMIERZA WYSZŁY ZA WŁADCÓW EUROPEJSKICH, DZIĘKI CZEMU KREW JAGIELLONÓW DO DZIŚ PŁYNIE W ŻYŁACH PRZEDSTAWICIELI RODÓW KRÓLEWSKICH ZJEDNOCZONEGO KRÓLESTWA, NIDERLANDÓW, DANII.

eprasa.pl d4691ad3e6

przenieść Nieszawę. I tak z miasta leżącego naprzeciwko Torunia została przeniesiona w górę Wisły, za Ciechocinek.

To zwycięstwo Kazimierza Jagiellończyka i jego dowódcy Piotra Dunina nad Krzyżakami w wojnie trzynastoletniej, a nie bitwa pod Grunwaldem, dało Polsce dostęp do Bałtyku i pozwoliło na swobodny handel wiślany. Za czasów króla Kazimierza Polska była krajem „od morza do morza". Królestwo miało bezpośredni dostęp do Bałtyku, miało porty w Gdańsku, Elblągu i Pucku. W tym czasie lennem Polski było hospodarstwo mołdawskie z wybrzeżem czarnomorskim. Razem z Wielkim Księstwem Litewskim Polska stała się jednym z największych państw europejskich.

Król Kazimierz prowadził politykę w Europie Środkowo-Wschodniej, w której realizował interesy domu Jagiellońskiego. Obsadził synów na stolicach Czech i Węgier. Strefa interesów państwa polsko-litewskiego rozciągała się od Krymu, przez Mołdawię i Bukowinę, Węgry obejmujące dzisiejszą Słowację i Chorwację, a jednocześnie były zagrożone przez Turków, Czechy, które władały Śląskiem – niegdyś polskim po Litwę, napieraną przez Moskwę.

Kazimierz szykował swoich synów do roli władców państw Środkowej Europy. Wychowawcą chłopców został Jan Długosz, który tak negatywnie pisał o Jagielle i samym Kazimierzu. Był przeciwnikiem Jagiellonów. Mimo to król pozwolił temu autorowi paszkwili zająć się edukacją synów.

Władysław został królem Czech, a później Węgier. Nie była to polityka uzgodniona z Kazimierzem, który wolał na Węgrzech osadzić młodszego Jana Olbrachta. Doszło nawet do wojny bratobójczej, którą wygrał Władysław.

KAZIMIERZ JAGIELLOŃCZYK WCIELIŁ DO POLSKI POMORZE GDAŃSKIE I WYKUPIŁ MALBORK, ALE PROBLEMU Z ZAKONEM KRZYŻACKIM NIE ROZWIĄZAŁ.

Syn króla Kazimierz, który po matce odziedziczył skłonność do gruźlicy, młodo umarł i szybko został kanonizowany. Gwałtowny i skłonny do pijaństw Jan Olbracht, po śmierci Kazimierza, panował w Polsce. Jego brat Aleksander na Litwie, a po śmierci Olbrachta także w Polsce. Po Aleksandrze królem Polski został jego młodszy brat Zygmunt zwany potem Starym.

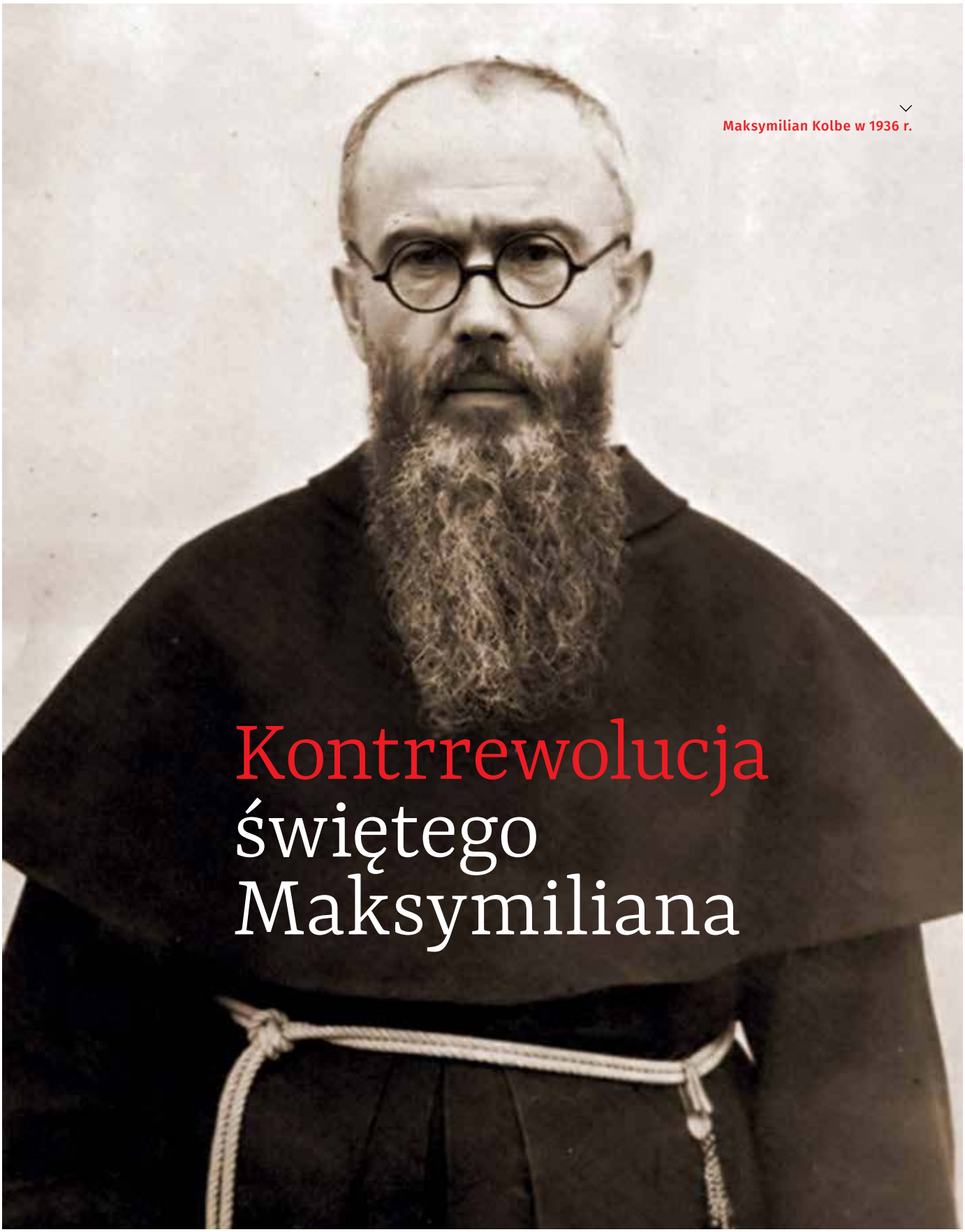
Kazimierz Jagiellończyk ukrócił rządy biskupa, a potem kardynała Zbigniewa Oleśnickiego i możnowładców na rzecz wzmocnienia władzy królewskiej i oparcia się na szlachcie. Ale za doraźne usługi, na przykład uchwalenie podatków, nadawał szlachcie przywileje na zawsze, co uszczuplało władzę królewską i z czasem doprowadziło do osłabienia roli króla w Polsce.

Za czasów Kazimierza Jagiellończyka Polska miała interesy w krajach Trójmorza: od Bałtyku po Adriatyk i Morze Czarne. Kazimierz zrównał rolę Korony i Litwy, która za Jagiełły formalnie została włączona do państwa polskiego. Wcielił do Polski Pomorze Gdańskie i wykupił Malbork, ale problemu z Zakonem Krzyżackim nie rozwiązał.

Zmarł w 1492 roku w Grodnie. Został pochowany na Wawelu. Autor nagrobka, Wit Stwosz, dobrał niezbyt szczęśliwie materiał, czerwony marmur z Austrii. Król wygląda tak, jakby miał trąd. Sama rzeźba zmarłego jest wybitnym dziełem sztuki późnogotyckiej.

ŚWIETNE ZWYCIĘSTWO JAGIEŁŁY NAD ZAKONEM NAJŚWIĘTSZEJ MARII PANNY W 1410 ROKU POD GRUNWALDEM, KTÓRE OBROSŁO LEGENDĄ, NIE ZOSTAŁO WÓWCZAS DYPLOMATYCZNIE WYKORZYSTANE.

eprasa.pl d4691ad3e6



Maksymilian Kolbe w 1936 r.

Kontrrewolucja świętego Maksymiliana

Fot. Wikimedia Commons

eprasa.pl d4691ad3e6



Fot. z archiwum Fundacji filmowej 12 Gwiazd

– Święty Maksymilian patrzył na świat przez pryzmat tego, co niewidzialne, wieczne i absolutne, i to podporządkowywało wszystkie jego wybory. W dzisiejszych czasach jego filozofia jest wręcz rewolucyjna – mówi **Jerzy Szkamruk**, reżyser filmu „Marzenie świętego Maksymiliana", w rozmowie z **Agnieszką Żurek**.

– W zwiastunie filmu pt. „Marzenie świętego Maksymiliana" ojciec Kolbe nazwany został „Zwycięzcą ducha nad materią". W jaki sposób ta filozofia życia może być aktualna w dzisiejszych czasach?

– To określenie jest w gruncie rzeczy streszczeniem całej postawy życiowej św. Maksymiliana. On patrzył na świat przez pryzmat tego, co niewidzialne, wieczne i absolutne, i to podporządkowywało wszystkie jego wybory. Materia, czyli to, co doczesne, ulotne – nigdy nie była dla niego celem samym w sobie, lecz narzędziem, którym posługiwał się duch, by realizować dobro.

W dzisiejszych czasach jego filozofia jest wręcz rewolucyjna. Żyjemy w epoce, w której materia, konsumpcja, tempo życia i gromadzenie dóbr bardzo łatwo dominują nad naszym myśleniem i systemem wartości. Św. Maksymilian przypomina, że to człowiek jest podmiotem, a nie przedmiotem w relacji ze światem materialnym. Że to duch (czyli wiara, rozum i sumienie), powinien decydować, w jaki sposób korzystamy z narzędzi, jakie daje nam nowoczesna technologia czy pieniądze.

W filmie pokażemy, że ta postawa wcale nie jest abstrakcją – ona ma bardzo praktyczny wymiar. Maksymilian budował największe na świecie klasztorne wydawnictwo, korzystał z najnowocześniejszych mediów swojej epoki, planował radio, a nawet marzył o misji w kosmosie – ale nigdy nie po to, by zdobyć władzę czy pieniądze, lecz by służyć idei, w którą wierzył bezkompromisowo. Tu jest właśnie sens filozoficzny, który pozostaje aktualny: duch ma prawo i obowiązek kierować materią, bo tylko wtedy technologia, bogactwo czy władza służą człowiekowi, a nie stają się jego panami.

– W innym miejscu zwiastuna filmu pada zdanie: „Jesteśmy bogaci tym, co dajemy, nie tym, co mamy". W jaki sposób zrealizowało się to w życiu świętego Maksymiliana?

– To zdanie jest przede wszystkim kwintesencją życia św. Maksymiliana. On sam praktycznie nic nie miał. Żył w ubóstwie zakonnym, spał w małej celi, nosił prosty habit. Ale jednocześnie dawał innym rzeczy bezcenne: czas, wiarę, nadzieję, konkretne dzieła. Był bogaty w sensie duchowym, bo mierzył wartości życia nie ilością posiadanych rzeczy, lecz tym, ile mógł ofiarować innym. To jest wartość, która nigdy się nie starzeje. W świecie, w którym często jesteśmy oceniani po tym, co posiadamy, św. Maksymilian pokazuje, że największy majątek człowieka to serce gotowe dawać. Tak więc dał swoim współbraciom i ludziom świeckim miejsce, w którym mogli wzrastać, czyli Niepokalanów. Dał światu setki artykułów, wydawnictwo, radio, misję. I wreszcie oddał to, co miał najcenniejsze – własne życie.

> Św. Maksymilian sam praktycznie nic nie miał, ale dawał innym **rzeczy bezcenne**: czas, wiarę, nadzieję, konkretne dzieła.

– O czym będzie film „Marzenie świętego Maksymiliana"?

– W pewnym sensie już odpowiedziałem na to pytanie, mówiąc o jego duchowości i niezłomności. Film opowie o człowieku, który potrafił marzyć o rzeczach niemożliwych, a potem konsekwentnie je realizować. Zmierzymy się z próbą zrozumienia jego postawy i intencji. Co sprawiało, że w tak trudnych warunkach potrafił zachować nadzieję i wiarę w sens tego, co robi? Film będzie próbą uchwycenia tej uniwersalności. Spróbujemy także „zdjąć" z jego postaci niesprawiedliwe pomówienia wytworzone przez komunistów po to, aby kwestionować i deprecjonować jego dokonania i czyny w oczach ludzi wierzących.

Święty Maksymilian Kolbe od dawna jest dla mnie kimś więcej niż postacią z kart historii. Jego życie i dzieła to dla mnie źródło twórczej pasji. Im bardziej poznaję jego historię, tym mocniej uderza mnie, jak bardzo jego marzenia i decyzje wyprzedzały swoją epokę. Dlatego jest dla mnie ambasadorem wiary, człowiekiem, który przekroczył granice epok i kultur. Będziemy się starali pokazać owoce jego modlitw, planów i marzeń, bo to jest właśnie prawdziwe bogactwo, które po sobie zostawił. Nie chodzi tylko o budynki czy wydawnictwa, ale o ludzi i wspólnoty, które do dziś działają w duchu jego przesłania, jak choćby Rycerstwo Niepokalanej. Ślady tej spuścizny znajdziemy wszędzie, gdzie dotarł jego zakon i idee – w Azji, Afryce, Ameryce.

eprasa.pl d4691ad3e6

Pracując nad tym filmem, czuję, że podążam jego śladami – próbuję użyć współczesnych narzędzi, by opowiedzieć historię, która inspiruje ludzi do przekraczania własnych ograniczeń. Ten projekt jest dla mnie osobistą odpowiedzią na pytanie: co dzisiaj znaczy być „zwycięzcą ducha nad materią" i jak żyć w przekonaniu, że jesteśmy bogaci tym, co dajemy. Zafascynowała mnie także jego umiejętność łączenia duchowej głębi z praktycznym działaniem. Potrafił marzyć na wielką skalę – o rozbudowie Niepokalanowa, o misjach w Japonii, o wykorzystaniu najnowszych mediów – a jednocześnie był gotowy poświęcić wszystko, co miał, w imię miłości bliźniego.

– Święty Maksymilian znany jest nie tylko w Polsce, ale i na świecie. Które wątki z jego życia szczególnie dotykają obcokrajowców?

– W moich rozmowach z ludźmi z różnych stron świata zauważam, że każdy naród odnajduje w nim coś własnego. Dla Koreańczyków jest wizjonerem i męczennikiem miłości, Japończyków porusza jego odwaga i determinacja w budowaniu misji w Nagasaki. Wbrew trudnym warunkom i sceptycyzmowi otoczenia. Dla mieszkańców Ameryki Łacińskiej inspirujące są jego wizje medialne i apostolskie – praca z prasą, radiem, a dziś pewnie także z internetem czy nawet sztuczną inteligencją. W Afryce natomiast jego przykład pokazuje, że nawet z pozornie małych środków można stworzyć wielkie dzieła, jeśli stoi za nimi wiara i jedność wspólnoty.

Ale jest też to, co łączy nas wszystkich: jego ofiara w Auschwitz. Ten gest – oddanie życia za drugiego człowieka, jest czytelny w każdej kulturze. To uniwersalny język miłości i poświęcenia, który nie wymaga tłumaczenia, dlatego św. Maksymilian postrzegany jest nie tylko jako święty Kościoła katolickiego, ale jako symbol zwycięstwa dobra nad złem, nad którym nie mają władzy żadne granice geograficzne ani polityczne.

– Kim była Maryja dla świętego Maksymiliana?

– Dla św. Maksymiliana Maryja była nie tylko Matką Jezusa, lecz także jego własną Matką i Królową całego życia. Postrzegał Ją jako doskonały wzór człowieka całkowicie oddanego Bogu. Widział w Niej „najdoskonalsze narzędzie" w ręku Stwórcy – Kogoś, kto w pełni pozwolił się prowadzić Jego woli. Gdy miał ok. 10 lat, w jego życiu wydarzyło się coś niezwykłego. Później wspominał, że miał widzenie Matki Bożej. Ukazała mu się z dwiema koronami: białą i czerwoną. Maryja miała go zapytać, którą z nich wybiera, a on dopowiedział: „Obie". Owe „Dwie korony" uczą, że życie chrześcijanina to nie tylko wybór między ideałem a ofiarą, ale gotowość przyjęcia obu dróg: świętości i poświęcenia. Była dla niego czułą Matką, a zarazem nieustanną inspiracją do odwagi, pokory i całkowitego daru z siebie. W oczach świętego Maksymiliana Maryja była nie tylko drogą do Boga, lecz także codziennym towarzyszem w każdej decyzji, każdym działaniu i każdej ofierze. Wierzył, że przez Maryję najpewniej i najszybciej można dojść do Chrystusa. Jego słynne „Totus Tuus" – „Cały Twój" – nie było jedynie aktem pobożności, lecz programem życia. Wszystkie swoje dzieła, od wydawnictwa po misje, powierzał Jej opiece. Nawet w obozie Auschwitz, w sytuacjach granicznych, to zawierzenie Maryi dawało mu siłę i pokój serca.

– W zwiastunie filmu prezentują Państwo historię powstania Kaplicy Wieczystej Adoracji w Niepokalanowie. Jaką rolę odgrywa to miejsce na duchowej mapie Polski i świata?

– Kaplica Wieczystej Adoracji w Niepokalanowie to serce duchowe tego miejsca. To nie jest tylko kolejny punkt na mapie pielgrzymkowej, ale przestrzeń, w której modlitwa nie ustaje ani na chwilę – dzień i noc, przez cały rok. W świecie pełnym pośpiechu i zgiełku ta kaplica jest jak oddech, przypomnienie, że centrum wszystkiego jest Bóg obecny w Eucharystii. Na duchowej mapie Polski jest to jedno z nielicznych miejsc, gdzie każdy może wejść o dowolnej porze dnia czy nocy i spotkać się z Nim twarzą w twarz, w ciszy i pokoju. W skali świata Niepokalanów i ta kaplica wpisują się w sieć punktów modlitewnych, które łączą ludzi w niewidzialny sposób. To miejsce, gdzie modlitwy Polaków spotykają się z intencjami wiernych z różnych kontynentów. Kaplica w Niepokalanowie stała się też inspiracją do większego dzieła – idei powstania dwunastu miejsc wieczystej adoracji w różnych częściach świata. Każde z nich ma być jak „żywy płomień modlitwy", trwający nieprzerwanie w intencji pokoju i pojednania między narodami. To wizja, która przekracza granice państw, języków i kultur, a jednocześnie łączy je w jednej duchowej przestrzeni. Tak jak w sercu św. Maksymiliana modlitwa była zawsze fundamentem działania, tak te miejsca stają się fundamentem nadziei dla ludzi rozsianych po całym globie.

> Potrafił marzyć na wielką skalę, a jednocześnie był gotowy **poświęcić wszystko**, co miał, w imię miłości bliźniego.

Jerzy Szkamruk jest reżyserem i autorem nagradzanych filmów dokumentalnych, takich jak „Historia Chopina – opowiada Ian Gillan", „Złączyć się z Narodem" oraz „W intencji pokoju". W wywiadzie mówi o swoim najnowszym projekcie, który właśnie realizuje – filmie pt. „Marzenie świętego Maksymiliana" o polskim męczenniku zamordowanym przez Niemców w Auschwitz. O tym, jak wesprzeć prace nad filmem, można przeczytać na stronie: 12gwiazd.pl.

eprasa.pl d4691ad3e6

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ



Cezary Krysztopa

Z Kretą raczej się nie zrozumieliśmy

Generalnie, jak już wiecie, za podróżami nie przepadam. To znaczy, nawet lubię gdzieś tam być, ale to trzeba jechać albo lecieć i nawet jeśli gdzieś tam odpocznę, to potem zmęczę się podróżą, i co mi po tym?

Najczęściej w jakąś podróż wyciąga mnie Żona. I tak było z naszą podróżą na Kretę. No cóż, chyba się wtedy z Kretą nie zrozumieliśmy. Oczywiście, że część winy za to ponosił nasz skromny budżet, ale i tak nie odniosłem wrażenia, że Kreta nas – czy mnie – jakoś szczególnie zechciała. Hotel był mocno taki sobie, posiłki wydawano nam po jakiejś innej grupie, widać „więcejgwiazdkowej", można było odnieść wrażenie, że dojadamy po niej resztki. Ja rozumiem, że ktoś mógł zapłacić więcej, ale my też swoje zapłaciliśmy i chyba można to było zorganizować przynajmniej z jakąś mniejszą ostentacją.

Felieton jest za krótki, żebym tu zmieścił opisy pomniejszych hotelowych – powiedzmy – niedociągnięć. Dość, że wycieczka cała o mało nie skończyła się katastrofą samolotu, który wyleciawszy nocą z lotniska w Chanii, wykonał serię dziwnych manewrów nad Morzem Śródziemnym, a następnie z trudem doczołgał się z powrotem na lotnisko, na którym spędziliśmy wraz z innymi nieszczęśnikami ponad dobę na wodzie i suchych bułkach, ponieważ nie interesował się nami ani konsul, ani rezydenci biur turystycznych.

Dlatego, kiedy Piotr Gociek poprosił mnie o choćby krótką recenzję książki swojego autorstwa „Tajemnicza Kreta. Wolność. Historia. Legenda", uczucia miałem nieco mieszane. Och, jak bardzo zmieniłem zdanie!

Cóż, z całą pewnością Piotr Gociek w opisie Krety nie jest obiektywny. Jest w niej zakochany po uszy i z całą pewnością postrzega ją głównie przez różowe okulary. Jednak sposób, w jaki ją z tą bezgraniczną miłością opisuje, sprawia, że choćby się i miało doświadczenia z Panią Kretą nieciekawe, ma się ochotę te okulary pożyczyć lub też zakupić w formie książki i udać się na słodkie tête-à-tête jak gdyby nigdy nic.

Do czytelnika książki Goćka dociera, że oczywiście można próbować „poznać Kretę" w roli „fuma" (postacie z książki Macieja Wojtyszki „Bromba i inni", wielonogie i wielorękie zwierzęta turystyczne opanowane egoizmem, wygodnictwem i kultem konsumpcji), ale jeśli chcemy poznać ją naprawdę, lepiej zrobić to w roli „filemonów", czyli sympatycznych kotków z kreskówki o Filemonie i Bonifacym, pełnych otwartości i ciekawości świata.

A ja – wierzcie mi lub nie – nie mogę się już doczekać, kiedy zanurzę się w atmosferze starożytnej cywilizacji minojskiej, której liznąłem nieco powierzchownie, kiedy studiowałem architekturę, ale – jak wyjaśnił mi w książce Gociek – właściwie nie wiem o niej nic, ponieważ dostępne powszechnie obrazy jej artefaktów są najczęściej rekonstrukcjami mocno obarczonymi interpretacją twórców.

No i co być może jeszcze ważniejsze – sprawdzę na miejscu, czy dobrze wyczuwam pewne wspólne cechy mentalności Polaków i Kreteńczyków.

eprasa.pl d4691ad3e6

CO W ZWIĄZKU

NSZZ Solidarność

MARCIN KRZESZOWIEC

Ogólnopolski Protest Więzienników. „SKOŃCZYŁY SIĘ PRZELEWKI”



Fot. M. Żegliński



Fot. T. Gutry

Ponad trzy tysiące osób uczestniczyło w Ogólnopolskim Proteście Więzienników, który odbył się 9 września w Warszawie. – Takiej manifestacji więzienników nie było od wielu, wielu lat – mówił przewodniczący „S” w Służbie Więziennej Andrzej Kołodziejski.

Manifestacja rozpoczęła się pod Kancelarią Prezesa Rady Ministrów. Stamtąd związkowcy udali się pod budynek Ministerstwa Sprawiedliwości, a na koniec pod Sejm RP.

Więziennicy domagali się przede wszystkim wprowadzenia dodatku mieszkaniowego dla funkcjonariuszy Służby Więziennej. Wskazywali też na braki kadrowe i niskie wynagrodzenia. Na proteście pojawiła się także symboliczna trumna z napisem „Służba Więzienna”.

Protestujący zwracali uwagę, że rząd nie wywiązał się z porozumienia, które podpisał ze związkami zawodowymi 13 marca 2025 roku, a w którym zapisano wprowadzenie świadczenia mieszkaniowego dla Służby Więziennej. Po jego zawarciu związki zawodowe odwołały planowany na 20 marca protest i zawiesiły akcję protestacyjną do czasu wypełnienia zapisów porozumienia. W związku z brakiem postępu w sprawie więziennicy odwiesili protest i przyjechali do Warszawy.

– Mimo tego, że RDS w lipcu skończyła 10 lat, to ten czas nie wygląda różowo. Te 10 lat dialogu zmarnowaliśmy, a dzisiaj dialog wygląda jak ta trumna – dialog został pogrzebany. Dlatego dziękuję wam, że bierzecie

eprasa.pl d4691ad3e6


Fot. M. Żegliński

„Z tego miejsca apelujemy do pana ministra i pani dyrektor SW, aby powstrzymali otworzenie Inspektoratów Wewnętrznych, bo to w żaden sposób nie poprawi bezpieczeństwa funkcjonariuszy. To dodatkowy element administracyjny. Nam brakuje oddziałowych, wychowawców, psychologów".

Andrzej Kołodziejski, szef „S" Służby Więziennej, podczas protestu w Warszawie, 9 września br.

sprawy w swoje ręce. Skończyły się przelewki – mówił na demonstracji szef Solidarności Piotr Duda, dodając, że premier Donald Tusk ani razu nie pojawił się na posiedzeniu RDS.

Według niego rząd przez pół roku „nic nie zrobił", a tuż przed demonstracją zaproponował związkowcom spotkanie, żeby nie przyjeżdżali do Warszawy na protest. – Tej władzy wszystko trzeba wytargać z gardła. Ona od siebie sama nic nie da. To jest hańba – mówił Piotr Duda.

Warto zaznaczyć, że projekt ustawy o dodatku mieszkaniowym dla SW pojawił się w wykazie prac legislacyjnych i programowych Rady Ministrów dopiero 3 września.

Nowe świadczenie dla funkcjonariuszy, podobnie jak w przypadku mundurowych podległych MSWiA, ma wynosić od 900 do 1800 zł. W tym samym dniu projekt ustawy pojawił się na stronie Rządowego Centrum Legislacji.

W trakcie demonstracji delegacja protestujących więzienników wraz z przewodniczącym Andrzejem Kołodziejskim udała się do siedziby Ministerstwa Sprawiedliwości. Tam związkowcy przekazali swoje postulaty na ręce kierownictwa resortu i spotkali się z ministrem Waldemarem Żurkiem, wiceminister Marią Ejchart oraz dyrektor generalną Służby Więziennej płk Renatą Niziołek.

„Minister zapewnił, że intencją rządu jest przekazanie ustawy o świadczeniach mieszkaniowych do Sejmu RP w najbliższych tygodniach" – podało MS.

Resort zaznaczył, że nowe świadczenie mieszkaniowe będzie obejmowało wszystkich więzienników niezależnie od stażu pracy i zostanie wypłacone z wyrównaniem od 1 lipca 2025 roku.

MIESIĄC HONOROWEGO KRWIODAWSTWA

Podczas 20. jubileuszowej akcji Sierpień Miesiącem Honorowego Krwiodawstwa NSZZ „Solidarność" udało się zgromadzić aż 550 litrów krwi. To rekordowa ilość, którą oddało łącznie aż 1223 krwiodawców. Za inicjatywą stoi Region Rzeszowski NSZZ „Solidarność" oraz Regionalne Centrum Krwiodawstwa i Krwiolecznictwa w Rzeszowie. Sierpień jako miesiąc Honorowego Krwiodawstwa NSZZ „Solidarność" został ustanowiony uchwałą XXII Krajowego Zjazdu Delegatów w 2008 roku w dowód szacunku dla św. Jana Pawła II.

– To dzięki Wam możemy nieść nadzieję i ratować życie potrzebującym. 1223 to nie tylko liczba – to armia aniołów, które uratowały setki żyć, pokazując, że dobroć i odwaga mogą zmienić świat – dziękowali związkowcy.

SZTAFETA PŁYWACKA NA 45-LECIE „S"

Z okazji 45. rocznicy podpisania Porozumienia Jastrzębskiego na krytej pływalni „Laguna" w Jastrzębiu-Zdroju około 170 osób wzięło udział w sztafecie pływackiej. Blisko połowa z nich nie miała więcej niż 15 lat.

Organizator wydarzenia, czyli prezes Klubu Rekreacyjno-Sportowego „Morsy" Stanisław Haśkiewicz, powiedział, że „kilka lat temu wydawało się, że sztafeta zamiera, ale teraz dzięki młodym ludziom zyskała drugie życie". – Zmobilizowanie dzieci i młodzieży to w dużej mierze zasługa osób, które w sierpniu 1980 roku brały udział w strajkach w kopalniach i były świadkami podpisania Porozumienia Jastrzębskiego. W tym roku aż siedem z nich spróbowało swoich sił i wystartowało razem z innymi pływakami – zaznaczył.

Jastrzębianie przepłynęli w sztafecie łącznie ponad 70 kilometrów, a rekordzista pokonał samodzielnie dystans przeszło 17 kilometrów. Najmłodsza uczestniczka miała 3,5 roku i płynęła razem ze swoimi rodzicami.

M.K.

Kalendarium Solidarności

17.09.1980 – powstaje Krajowa Komisja Porozumiewawcza mająca koordynować pracę struktur regionalnych tworzącego się NSZZ „Solidarność". Jej powstanie oznacza zwycięstwo koncepcji budowy związku jako ogólnokrajowej organizacji o ujednoliconym statucie;

18.09.1983 – odbywa się I Pielgrzymka Ludzi Pracy na Jasną Górę.

eprasa.pl d4691ad3e6

„Stała się moją Matką”

Dobiegła końca peregrynacja obrazu Matki Bożej Robotników Solidarności po Regionie Mazowsze NSZZ „Solidarność”. Ikona wraz z krzyżem nowohuckim i relikwiami bł. ks. Jerzego Popiełuszki od ostatniej Pielgrzymki Ludzi Pracy odwiedziła ponad 50 parafii. – To było ogromne wydarzenie, żałujemy, że dobiega końca, bo chętnych jest tylu, że moglibyśmy jeszcze przez kolejny rok obwozić obraz po naszych parafiach – stwierdził przewodniczący Dariusz Paczuski.

Marcin Krzeszowiec



Przewodniczący Regionu Mazowsze Dariusz Paczuski i jego zastępca Ireneusz Smółka

Fot. Marzena Wolniewicz

Obraz Matki Bożej Robotników Solidarności został wykonany w 1984 roku w trzech kopiach przez artystę z Podlasia Artura Chacieja. Najmniejszy z nich otrzymał bł. ks. Jerzy Popiełuszko. Błogosławiony męczennik w prywatnej rozmowie stwierdził, że dla niego jest to Matka Boska Solidarności. Największą kopię związkowcy z podlaskiej Solidarności przekazali natomiast do częstochowskiego sanktuarium na Jasnej Górze w czasie II Pielgrzymki Ludzi Pracy.

Trwającej od wielu lat peregrynacji obrazu towarzyszą miniatura krzyża nowohuckiego oraz relikwie bł. ks. Jerzego Popiełuszki.

Nic zatem dziwnego, że pierwszym miejscem, do którego trafiła w zeszłym roku ikona Matki Bożej, była parafia św. Stanisława Kostki na warszawskim Żoliborzu. To tam błogosławiony męczennik posługiwał, odprawiał Msze za Ojczyznę, tam też przeniesiono i złożono jego ciało do grobu, przy którym do dzisiaj stoi warta honorowa.

Obraz Matki Bożej trafił następnie do parafii pw. św. Jana Kantego, gdzie pozostawał do listopada. Wtedy też opuścił Żoliborz i na czas Narodowego Święta Niepodległości został przeniesiony do archikatedry warszawskiej pw. św. Jana Chrzciciela na Starówce. W tych dniach wielu Polaków w sposób szczególny zawierza Opatrzności losy narodu i Ojczyzny, prosząc o pomyślny rozwój kraju i zachowanie od wszelkich niebezpieczeństw.

Na jesieni obraz trafił m.in. do kościoła pw. św. Klemensa Hofbauera, a w nowym roku peregrynował już do Łowicza. Powitanie Matki Bożej Robotników Solidarności wraz z relikwiami ks. Jerzego i krzyżem robotników z Nowej Huty rozpoczęto w mieście od uroczystej Mszy Świętej w bazylice katedralnej pw. Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny i św. Mikołaja. W trakcie nabożeństwa ks. kanonik Czesław Banaszkiewicz, który był przyjacielem bł. ks. Jerzego Popiełuszki, odmówił modlitwę patrona Solidarności do Matki Bożej, a Krzysztof Suchecki, sekretarz Rady Oddziału Łowicz NSZZ „S”, odczytał Akt zawierzenia Matce Bożej Częstochowskiej Patronce Robotników Solidarności.

Obraz odwiedził też łowicki kościół Ojców Pijarów pw. Matki Bożej Łaskawej i św. Wojciecha, a na wiosnę ikona powróciła do stolicy i została wniesiona do kościoła pw. św. Stanisława Biskupa i Męczennika.

W tejże świątyni na warszawskiej Woli obraz Matki Bożej Robotników

eprasa.pl d4691ad3e6

Solidarności spotkał się z XVII-wiecznym obrazem Matki Bożej Pocieszenia zwanej Elekcyjną. Zgodnie z tradycją obraz ten towarzyszył polskiej szlachcie podczas wolnych elekcji już od czasu wyboru na króla Stefana Batorego. To właśnie na pobliskich polach Wielkiej Woli każdorazowo przywożono i wystawiano obraz w specjalnej kaplicy prymasowskiej w tzw. szopie senatorskiej. Przed obliczem Matki Pocieszenia prymas interrex sprawował Eucharystię i modlił się wraz z senatorami o pomyślny wybór przyszłego monarchy. W dniu, kiedy obraz Matki Bożej Robotników Solidarności opuszczał świątynię, modlił się przed nim metropolita warszawski abp Adrian Galbas.

W kolejnych miesiącach, aż do czerwca, obraz Matki Bożej był czczony w parafiach diecezji łowickiej i płockiej. Aktom zawierzenia towarzyszyły modlitwy wiernych, którzy upraszali Matkę Boga o wstawiennictwo i potrzebne łaski, a także całowali relikwiarz bł. ks. Popiełuszki.

Msze Święte połączone z peregrynacją obrazu odprawiono wówczas w Bobrownikach, Ciechanowie i czterech parafiach na terenie Mławy: pw. Matki Bożej Królowej Polski, pw. św. Jana Kantego, pw. Świętej Rodziny i pw. św. Stanisława Biskupa Męczennika.

Ostatnią świątynią, w jakiej przyjęto Matkę Bożą Robotników Solidarności, był kościół pw. Wniebowzięcia Pańskiego w Żyrardowie. Peregrynacja zbiegła się wówczas z 78. rocznicą urodzin bł. księdza Jerzego. Parafia uczciła jego pamięć, goszcząc wystawę i rozprowadzając po Mszach Świętych płyty z kazaniami ks. Popiełuszki.

Trwająca 12 miesięcy – od września 2024 r. do września 2025 r. – peregrynacja obrazu Matki Bożej Robotników Solidarności stanowiła wyjątkowy czas nie tylko dla ludzi Solidarności i całego Regionu, ale przede wszystkim dla samych wiernych.

Trwająca 12 miesięcy – od września 2024 r. do września 2025 r. – peregrynacja obrazu Matki Bożej Robotników Solidarności stanowiła **wyjątkowy czas** nie tylko dla ludzi Solidarności i całego Regionu, ale przede wszystkim dla samych wiernych.

– Bardzo mnie to zdziwiło, jak ludzie reagują na ten obraz... jak potrafią podejść i go pocałować, a nawet położyć się przed nim krzyżem – taką sytuację mieliśmy w kościele św. Jana Kantego. W pamięci utkwił mi też moment, jak obraz Matki Bożej przyjechał do Wilanowa – tam na Zawadach jest taka niewielka parafia. To była zima, po godzinie 18, padał wtedy deszcz ze śniegiem, a my musieliśmy szybko przetransportować obraz z autobusu do tego kościoła. Ludzie stanęli wówczas w szpalerze z zapalonymi świecami i modlili się, gdy obraz był w biegu przenoszony do świątyni. Nawet wtedy, w tym błocie, widać było, że ta wiara jest żywa. Ta wiara nie kończyła się, gdy obraz był zabierany i przewożony w kolejne miejsce. On był ciągle adorowany. Nie sądziłem, że aż tak jest to ludziom potrzebne – wspominał Ireneusz Smołka, zastępca przewodniczącego Regionu Mazowsze NSZZ „S”, który był jedną z osób odpowiedzialnych za peregrynacje obrazu.

– To był piękny czas i mówię to z żalem, bo dla mnie Matka Boża Robotników Solidarności stała się moją Matką. Ten obraz wędrował od małych wiosek na Podlasiu, odwiedzał kaplice szpitalne, był 11 listopada w Święto Niepodległości w archikatedrze św. Jana Chrzciciela i 19 października w sanktuarium na Żoliborzu w 40. rocznicę męczeńskiej śmierci bł. ks. Popiełuszki. Matka Boża była z nami w tych ważnych dla całej Polski chwilach – dodawał.

Przewodniczący Regionu Mazowsze NSZZ „Solidarność” Dariusz Paczuski podkreślał z kolei, że w dzisiejszych czasach, gdy niektórzy ludzie i struktury samorządowe odchodzą od wiary i symbolu krzyża w miejscach publicznych, „ta peregrynacja była przypomnieniem i jasnym sygnałem, że Solidarność jest związkiem chrześcijańskim i zamierza dbać o te wartości, zarówno w Związku, jak i w przestrzeni publicznej”.

– Bardzo nam zależało, aby Region Mazowsze mógł zorganizować Pielgrzymkę Ludzi Pracy i peregrynację obrazu Matki Bożej. Dziś mogę powiedzieć, że ta peregrynacja wypadła zaskakująco pomyślnie. Ludzie bardzo chętnie zapraszali obraz do swoich parafii, a liczni księża wyrażali chęć goszczenia i organizacji uroczystości kościelnych. To było ogromne wydarzenie i żałujemy, że dobiega końca, bo chętnych jest tyle, że moglibyśmy jeszcze przez kolejny rok obwozić obraz po naszych parafiach. Wszystkim, którzy umożliwili nam organizację Pielgrzymki i peregrynację obrazu, bardzo serdecznie dziękujemy. To było bardzo ważne wydarzenie dla całego Regionu – zaznaczył przewodniczący Paczuski.

Tego, któremu Regionowi Solidarności zostanie powierzony obowiązek peregrynacji obrazu Matki Bożej i organizacji kolejnej, 44. Pielgrzymki Ludzi Pracy, dowiemy się w weekend 20 i 21 września na Jasnej Górze.

eprasa.pl d4691ad3e6

PRAWO

ZATRZYMANIE OBYWATELSKIE W SKLEPIE, czyli co wolno ochroniarzowi, a czego nie?

W pewnym sklepie byłem świadkiem, jak klient chowa w kieszeni baton albo butelkę napoju i rusza prosto do drzwi. Zanim zdążył je minąć, pojawił się ochroniarz. Usłyszałem głośny krzyk, nastąpiła blokada przejścia, a na koniec obezwładnienie i próba otwarcia torby tego jegomościa. Dla obserwatorów może i wyglądało to widowiskowo, prawie jak w serialu kryminalnym, ale mnie to **przeraziło**, tym bardziej że tym zatrzymanym był jakiś młody człowiek. Czy prawo pozwala na taką interwencję ochrony?

Tomasz Oleksiewicz, radca prawny

Polski Kodeks postępowania karnego przewiduje tzw. zatrzymanie obywatelskie. Art. 243 kpk stanowi, że każdy ma prawo ująć sprawcę przestępstwa na gorącym uczynku albo bezpośrednio potem. To narzędzie wyjątkowe, bo ingeruje w wolność osobistą, a ta zgodnie z konstytucją jest zasadą. Obywatel, w tym także ochroniarz w sklepie, może więc zatrzymać kogoś tylko wówczas, gdy istnieje bezpośrednie i oczywiste podejrzenie kradzieży. Istotne są jednak granice. Zatrzymany może być przytrzymany jedynie do czasu przyjazdu policji. Samo zatrzymanie powinno być proporcjonalne do sytuacji: nie wolno stosować przemocy wykraczającej poza konieczność, a tym bardziej używać środków niedozwolonych. Ochroniarz nie ma też statusu policjanta. Oznacza to, że nie może przeszukać torby wbrew woli klienta ani prowadzić „śledztwa" na własną rękę. Może poprosić o okazanie zawartości torby czy plecaka, ale jeśli spotka się z odmową, to musi czekać na przyjazd funkcjonariuszy.

ZATRZYMANIE OBYWATELSKIE TO CIEKAWY PRZYKŁAD, JAK PRAWO RÓWNOWAŻY DWIE WARTOŚCI, CZYLI OCHRONĘ WŁASNOŚCI I WOLNOŚĆ JEDNOSTKI.

Częstym problemem jest też rozróżnienie między przestępstwem a wykroczeniem. Kradzież o wartości poniżej 800 zł kwalifikowana jest jako wykroczenie, a powyżej już jako przestępstwo. W praktyce oznacza to, że zatrzymanie obywatelskie może odbyć się w obu przypadkach, ale waga czynu jest inna. Zatrzymanie w sposób widowiskowy i siłowy nastolatka, który wynosi gumę do żucia, może skończyć się dla sklepu gorzej niż dla sprawcy. Rodzice mogą podnieść zarzut naruszenia nietykalności, a sąd cywilny może przyznać odszkodowanie za bezprawne pozbawienie wolności czy naruszenie dóbr osobistych. Nie brakuje sytuacji, gdy ktoś zostaje niesłusznie oskarżony. Przykładowo: klient włożył własny telefon do kieszeni, a ochroniarz uznał, że to towar. Pomyłka, a jednak zatrzymanie nastąpiło. Tu ryzyko odpowiedzialności cywilnej sklepu jest bardzo realne. Polskie sądy podkreślają, że instytucja zatrzymania obywatelskiego nie może być nadużywana ani stosowana „na wszelki wypadek".

Na marginesie warto wspomnieć o ustawie o ochronie osób i mienia. Daje ona ochroniarzom dodatkowe uprawnienia, takie jak legitymowanie czy wezwanie do opuszczenia obiektu, ale nadal nie zrównuje ich z policją. Ochroniarz może działać w granicach prawa cywilnego i karnego, a każde przekroczenie grozi nie tylko sprawą sądową, ale i utratą koncesji przez firmę ochroniarską. W praktyce najrozsądniejsze działanie wygląda więc tak: ochrona zatrzymuje sprawcę w granicach rozsądku, uniemożliwia mu ucieczkę, ale nie używa przemocy ponad potrzebę. Informuje policję, a do jej przyjazdu stara się zapewnić spokój i bezpieczeństwo w sklepie. Zgoda na dobrowolne pokazanie torby? Jak najbardziej. Przymus? Zdecydowanie nie.

Zatrzymanie obywatelskie to ciekawy przykład, jak prawo równoważy

eprasa.pl d4691ad3e6

dwie wartości, czyli ochronę własności i wolność jednostki. O ile w filmach scena „ujęcia złodzieja” jest dynamiczna i efektowna, w prawdziwym życiu dużo bardziej opłaca się zachować zimną krew i działać w granicach przepisów. Bo inaczej to nie złodziej, lecz sam sklep może stanąć przed sądem.

ZMIANY TREŚCI stosunku pracy przez pracodawcę

Wielokrotnie na łamach „Tygodnika Solidarność” poruszana była kwestia treści stosunku pracy, tego, że tworzą ją wzajemne prawa i obowiązki pracownika i pracodawcy. Ponadto było także wskazywane, że to, jakie te prawa i obowiązki są, wynika z jednej strony z woli stron (określane są one w umowie o pracę), a z drugiej – z przepisów prawa (ustaw, rozporządzeń, ale też układów zbiorowych i regulaminów).

Dr hab. **Jakub Szmit**, specjalista z zakresu prawa pracy

Skupię się na tej części stosunku pracy, która wynika z umowy. Mówimy zatem o tych zobowiązaniach, które wiążą strony, gdyż obie się na nie umówiły. Przykładowo: to, że pracownik pracuje na cały, a nie na pół etatu, wynika z tego, że i on, i pracodawca tak wspólnie zdecydowali (aczkolwiek trzeba mieć na uwadze, że jest to podejście teoretyczne, a w praktyce często warunki te określa pracodawca, a pracownik ma jedynie do wyboru: albo je przyjąć, albo odrzucić).

W konsekwencji oczywiste jest, że najbardziej prawidłowym i logicznym sposobem zmiany (modyfikacji) któregoś z elementów wzajemnej relacji, który wynika z umowy, jest działanie dwustronne, czyli takie, w ramach którego zgodę na taki krok wyraża zarówno pracownik, jak i pracodawca.

Okazuje się jednak, że ustawodawca przewidział szczególne regulacje, które przyznają pracodawcy kompetencje do dokonywania takich zmian w wyniku swojego jednostronnego działania, czyli z pominięciem woli pracownika. Warto jeszcze przy tym wyjaśnić, że nie chodzi tu o zwykłe polecenia kierownicze, gdyż w ich drodze nie następuje modyfikacja ustaleń umownych, a jedynie ich doprecyzowanie i uszczegółowienie (np. w drodze polecenia pracodawca ustala konkretne godziny pracy w danym dniu, co mieści się w ramach uzgodnionego przez strony wymiaru czasu pracy).

Największe praktyczne znaczenie ma tutaj art. 42 § 1 Kodeksu pracy, w oparciu o który pracodawca może – jeżeli jest to uzasadnione jego potrzebami – powierzyć pracownikowi inną pracę niż określona w umowie pod warunkiem, że okres powierzenia nie przekroczy 3 miesięcy w roku kalendarzowym, nie spowoduje to obniżenia wynagrodzenia i że ta praca odpowiada kwalifikacjom pracownika. Jest to instrument służący pracodawcom, którzy zyskują dzięki niemu większą elastyczność w dysponowaniu swoimi pracownikami.

Podobny charakter ma rozwiązanie przewidziane w art. 81 § 3 kp. Tutaj także pracodawca zyskuje prawo do jednostronnego powierzenia pracownikowi innej odpowiedniej pracy, przy czym w tym wypadku okolicznością to uzasadniającą jest wystąpienie przestoju, a dodatkowo pracownikowi przysługuje wynagrodzenie przewidziane za powierzoną pracę, nie niższe jednak od jego wynagrodzenia zasadniczego.

Oba te instrumenty są zatem korzystne dla pracodawców, a skorzystanie z nich (o ile spełnione są przesłanki, tj. uzasadnione potrzeby pracodawcy lub przestój) jest dla pracodawców fakultatywne.

Z drugiej strony można wskazać na regulacje, które co prawda także dają pracodawcy podstawę do przeniesienia pracownika do innej pracy, ale tym razem takie przeniesienia są obowiązkowe i służą ochronie interesów pracowników. Przykładem może być obowiązkowe przeniesienie kobiety w ciąży do innej pracy, jeżeli ta, którą normalnie wykonuje, jest zabroniona ciężarnym (art. 179 kp) lub przeniesienie do innej pracy nienarażającej pracownika na działania negatywnych czynników, w razie stwierdzenia u niego objawów wskazujących na powstawanie choroby zawodowej (art. 230 § 1 kp).

PYTANIA DO EKSPERTÓW

Pytania do naszych ekspertów prosimy słać na adres **redakcja@tygodniksolidarnosc.com** (w tytule wiadomości należy wpisać „**prośba o poradę prawną**”) lub listownie na adres: „Tygodnik Solidarność”, ul. Prosta 30, 00-838 Warszawa. Redakcja zapewnia anonimowość nadawcy.

Pytanie powinno być napisane w sposób zwięzły i dotyczyć jednego problemu.

eprasa.pl d4691ad3e6

RYSUNEK NA KONIEC KRYSZTOPA



Nasi autorzy

Sławomir Jastrzębowski (Znowu..., s. 39), był w przeszłości redaktorem naczelnym „Super Expressu" oraz właścicielem portalu Salon24.pl. Od 2022 r. prowadzi (w duecie z Rafałem Wosiem) autorski program „Lewy z Bicepsem" – obecnie emitowany na antenie TV Republika. W 2018 r. opublikował swoją debiutancką powieść „Toksyna". Jego dewiza brzmi: „Gdy nie wiesz, co robić, zrób biceps (dla Polski)".

Zdzisław Krasnodębski (Polityka..., s. 30), jeden z najważniejszych współczesnych polskich socjologów, wieloletni profesor Uniwersytetu w Bremie. W latach 2014–2024 poseł do Parlamentu Europejskiego. W latach 2018–2019 jego wiceprzewodniczący. Jego najnowsza książka to wydana w 2023 roku „Kurtyna podniesiona" (Ośrodek Myśli Politycznej).

Marek Nowak (Po co..., s. 26), publicysta i scenarzysta. Jego najnowszy film to „Intersection".

Magdalena Okraska (Traci..., s. 15), publicystka, pisarka i działaczka społeczna związana ze środowiskiem pisma „Nowy Obywatel". Autorka dwóch głośnych książek opisujących Polskę z perspektywy mniejszych miast i miasteczek. Jej „Ziemia jałowa. Opowieść o Zagłębiu" ukazała się w 2018 roku (Wydawnictwo Trzecia Strona), „Nie ma i nie będzie" (Wydawnictwo Ha! art) w roku 2022.

Sebastian Reńca (Pierwsza..., s. 56), pisze dla nas od roku 2024. Jego najnowsza powieść „Świadek" ukazała się w roku 2021 (wydawnictwo LTW). Jest to historia dziennikarza śledczego próbującego rozwikłać zagadkę tajemniczego zaginięcia swego przyjaciela, który w latach 90. badał m.in. w sprawę strzałów kopalni „Wujek".

Piotr Skwieciński (Wydmuszka..., s. 32), jeden z najbardziej doświadczonych polskich dziennikarzy i publicystów. W przeszłości był m.in. prezesem Polskiej Agencji Prasowej czy zastępcą redaktora naczelnego tygodnika „Sieci". W latach 2019–2022 dyrektor Instytutu Polskiego w Moskwie. Następnie ambasador RP w Armenii. Jego najnowsza książka to „Koniec ruskiego miru? O ideowych źródłach rosyjskiej agresji" (2022).

PRENUMERATA NA 2025 ROK

Prenumeratę „Tygodnika Solidarność" można zamówić na dwa sposoby:

1) Bezpośrednio u wydawcy „TS" – TYSOL Sp. z o.o., 00-838 Warszawa, ul. Prosta 30, tel. 22 882 27 80, e-mail: prenumerata@tygodniksolidarnosc.com numer konta: Mbank 58 1140 1065 0000 2038 9400 1001. Prenumerata przyjmowana jest na dowolny okres i w dowolnym momencie;

2) w wersji elektronicznej przez: **tysol.pl**;

Prenumerata krajowa

- I kwartał – 108,00 zł (12 wydań)
- II kwartał – 117,00 zł (13 wydań)
- **I półrocze – 225,00 zł (od nr. 1 do 25)**
- III kwartał – 126,00 zł (14 wydań)
- IV kwartał – 108,00 zł (12 wydań)
- **II półrocze – 234,00 zł (od nr. 26 do 51/52)**

Roczna prenumerata – 459,00 zł

Prenumerata zagraniczna

- Roczna prenumerata – 281 euro – przesyłka priorytetowa

Więcej na: www.tysol.pl/s6-Prenumerata-tygodnika-solidarnosc
Przy większych zamówieniach cena podlega negocjacji.
Koszty wysyłki ponosi wydawca.

eprasa.pl d4691ad3e6

REPUBLIKA

Ostre rozmowy Miłosza Kłeczka ze znanymi politykami
o najważniejszych sprawach dotyczących Polski.
Wszystko W RUCHU, podczas aktywnego uprawiania sportu



www.radiotvrepublika.pl | Telewizja Republika | @RepublikaTV | RepublikaTV | @RepublikaTV

Republikę oglądać można na ogólnopolskim multipleksie naziemnej telewizji cyfrowej tzw. MUX-8 na pozycji 51 listy kanałów. Niezbędna do tego jest antena kierunkowa np. typu YAGI, ustawiona, w zależności od miejsca zamieszkania, poziomo lub pionowo. Ustawienie anteny sprawdź w aplikacji EmiMaps. Ósmy multipleks dociera prawie do 95% Polaków i jest nadawany w zakresie VHF. Dodatkowo można nas oglądać przez satelitę (Polsat Box, CANAL+, Orange), w sieciach kablowych, IPTV oraz w lokalnych multipleksach z Ornontowic – MUX L2 oraz Lubina i Głogowa – MUX L7. Republikę obejrzysz na żywo także na serwisie www.tvrepublika.pl, a wszystkie programy znajdziesz na oficjalnym kanale YouTube: @Telewizja_Republika.

SKANUJ KOD QR
WSPIERAJ DOM WOLNEGO SŁOWA

eprasa.pl d4691ad3e8

45. rocznica
POWSTANIA SOLIDARNOŚCI

WYDANIE SPECJALNE

DO KUPIENIA NA WWW.SOLIDARNOSC.SKLEP.PL, W EMPIKU I W WYBRANYCH SALONACH PRASOWYCH.



Piotr Duda: Polska potrzebuje Solidarności

Andrzej Gwiazda o Sierpniu, odwadze i niepodległości

Jan Paweł II – papież Solidarności

45 Solidarność TYLKO RAZEM

eprasa.pl d4691ad3e6